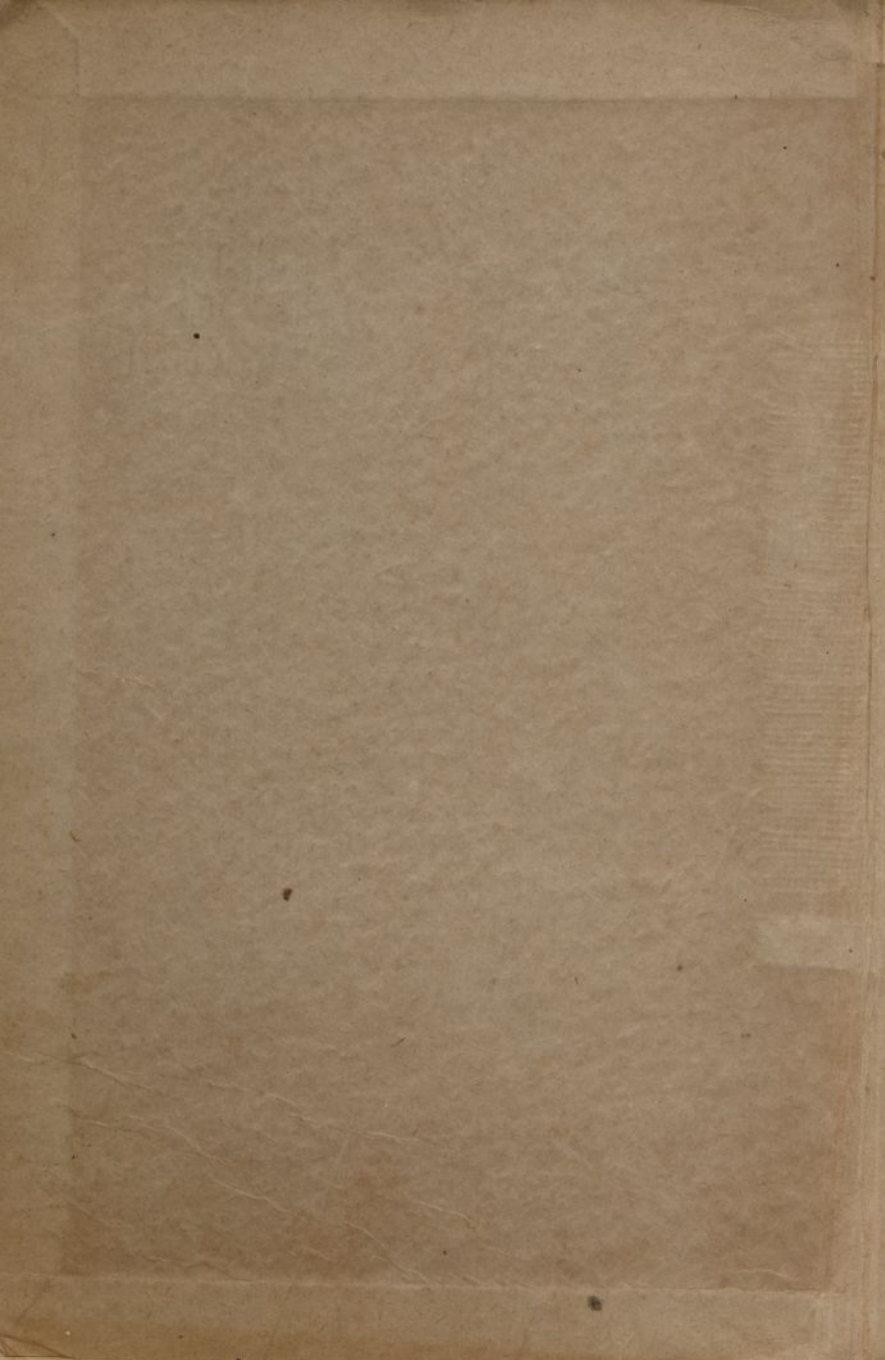
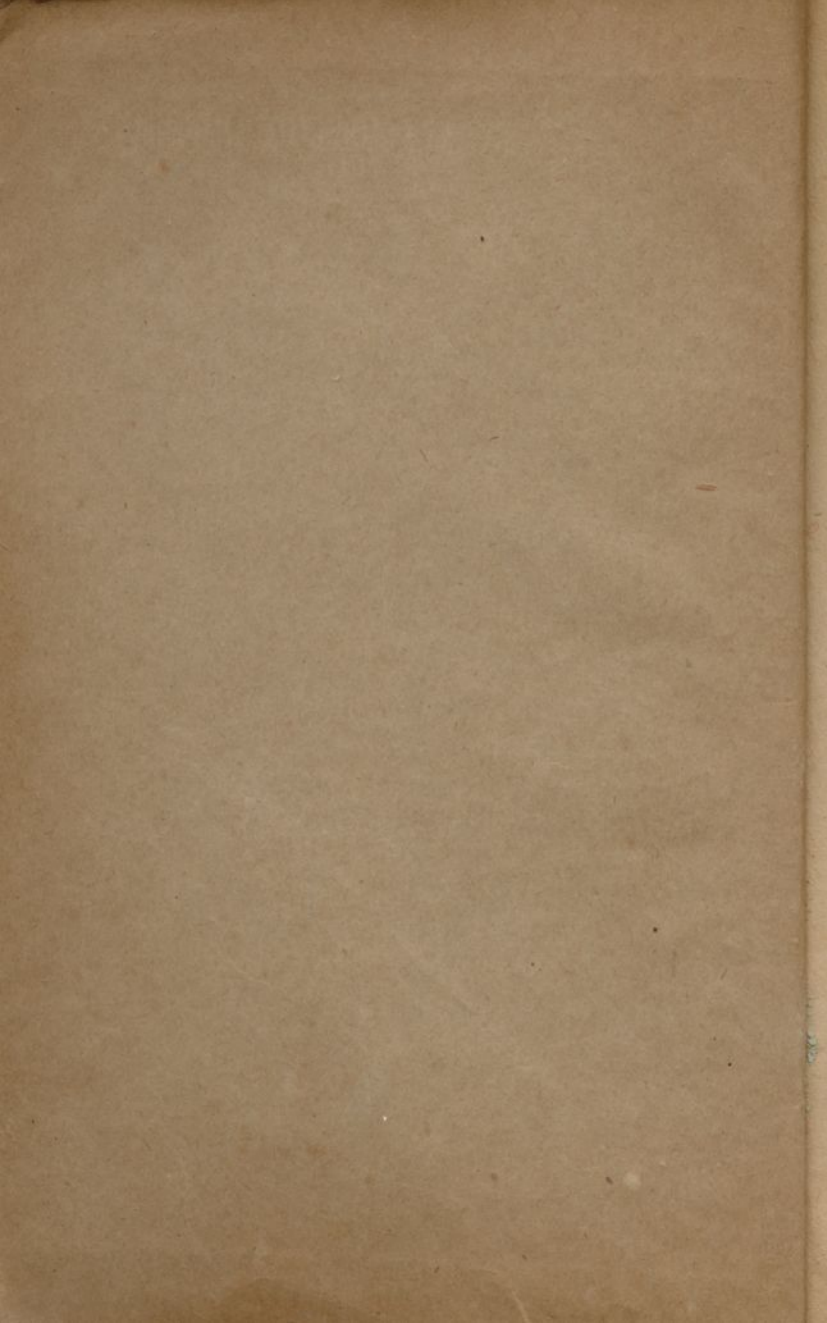


KWIATY BOŻEGO OGRODU



W SIEGARNIA S^Y WOKIECHA

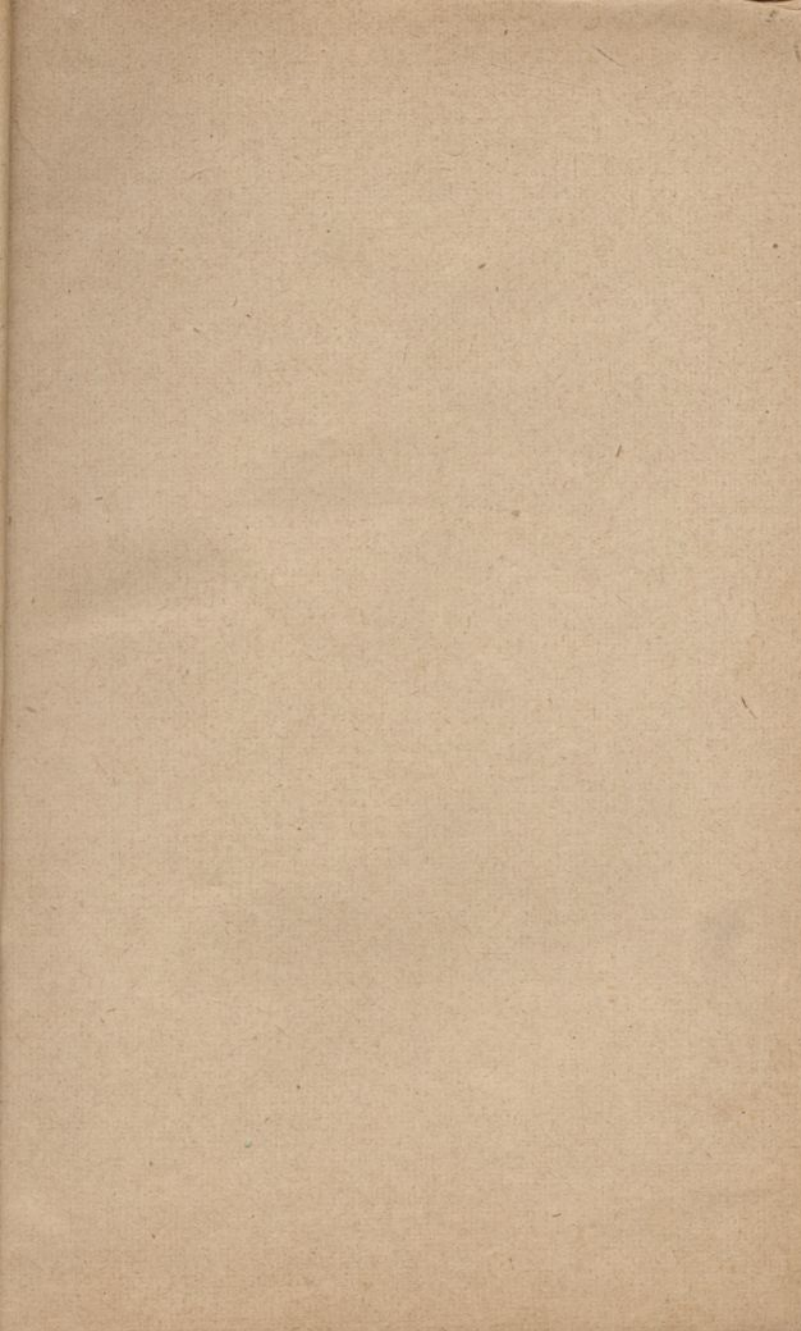




KWIATY BOŻEGO OGRODU.









DOPUŚCIE DZIETECZKOM PRZYCHODZIĆ
DO MNIE.

(Kwiaty bożego ogrodu.)

WYDAWALNIA DZIECI I KSIĘŻKI
W WARSZAWIE I POZNAŃU

KS. FRANCISZEK HATTLER T. J.

KWIATY BOŻEGO OGRODU
ZBIÓR LEGEND Z ŻYCIA ŚWIĘTYCH

PRZETŁUMACZYŁA Z NIEMIECKIEGO
= ANTONINA DOMAŃSKA =

TYSIĄC 4—6.

Z ILUSTRACJAMI

POZNAŃ WARSZAWA
NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

Nihil obstat.

X. Ant. Stychel,
ensor.

Imprimatur.

Poznań, d. 19 lipca 1916.

(L. S.)

Konsystorz Arcybiskupi
X. Weimann.

NIECH BĘDZIE POCHWALONY JEZUS CHRYSZTUS!

Przed wielu wielu laty, w pięknym słonecznym kraju, w Hiszpanji, żyło młodziutkie rodzeństwo, które się bardzo kochało. Braciszek miał na imię Rodryg, siostrzyczka Teresa.

Wybierali sobie zaciszne i cieniste kąciki w rodzicielskim ogrodzie, a usiadłszy na darniowej ławce, czytawali razem Świętą legendę, jak w owych czasach nazywano pospolicie księgi z żywotami świętych Pańskich. Z tej legendy dowiadywali się, jak to w pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie tylko starcy i dorośli ludzie, ale nawet dzieci młodziutkie, małe dziewczynki i mali chłopcy woleli oddać głowy pod miecz katowski, aniżeli Boga najmniejszym grzechem obrazić. Przez tę śmierć męczeńską zdobywali szczęśliwość wiekuistą u stóp tronu Bożego w niebie.

Czytając te wzniosłe przykłady, Rodryg i Teresa pałali gorącym pragnieniem osiągnięcia takiej samej nagrody, choćby ją przyszło również własnem życiem okupić. Marzyli o śmierci męczeńskiej. Ale rychło musieli wyrzec się tej

myśli, gdyż w kraju katolickim, jakim od wieków była ich ojczyzna, nie mogło być mowy o prześladowaniu chrześcijan. Tedy naradzali się, czyby nie zbudować sobie lepianki w głębi lasu i tam wieść życie pustelnicze. I te zamysły nie dały się wykonać. Więc postanowili naśladować świętych w pobożności i dobrych uczynkach, Uszczuplali sobie przyjemności, rozdawali ubogim jałmużny, o ile ich na to stać było, i odprawiali wspólne modlitwy, z których najmiłszą był im różaniec.

Rozczytując się w żywotach męczenników i wyznawców, nie mogli ogarnąć swym młodzieńkim umysłem tej wielkiej, tajemniczej prawdy, że jak nagroda za dobre życie trwać będzie wiecznie, tak i kara za grzechy musi być nieskończona — wieczna. Ta myśl, ten wyraz, budziły w nich podziw i przerażenie. „Zawsze, zawsze, bez końca, na wieki!“ powtarzały wzajem, a bojaźń boża zamieszkała w ich serduszkach i strzegła od grzechu.

Ta święta trwoga przyczyniła się w dalszym życiu do ich udośkonalenia: dziewczynka dorósłszy, zajaśniała w świecie chrześcijańskim jak gwiazda. Jest to święta Teresa, reformatorka zakonu karmelitanek.

* * *

Widziałyście zapewne, drogie dzieci, jak pszczołki miód zbierają; małeńka pracownica

przechodzi z kwiatka na kwiatek, zanurza się w głębi kielicha, wysysa wonną słodycz, gromadzi żółty pyłek na swych łapkach, i tak obładowana odnosi zdobycz do ula; powraca znowu, dalej pracuje bez odpoczynienia od świtu, do zachodu słońca. Za przykładem pszczołki starajcie się zbierać bogactwa duchowe; wielką wam pomocą do tego będzie czytanie żywotów Świętych. Im głębiej wnikniecie w te wspaniałe kwiaty cnót wszelakich, tem i wasze serca obficie zakwitną ku bożej chwale, a waszemu udoskonaleniu.

W tym właśnie zamiarze napisałem niniejszą książeczkę. Są to opowiadania prawdziwe, z życia dobrych, pobożnych, błogosławionych dzieci. Kto z was chce uzyskać prawdziwą korzyść z tych powiastek, niech posłucha mojej rady.

Po pierwsze: Nie czytaj dużo naraz. Pisałem wprawdzie z myślą sprawienia ci przyjemności, ale daleko, daleko więcej chodziło mi o to, by cię zrobić lepszym. A stać się lepszym, to rzecz nie tak prosta i łatwa, jak przeczytać kilka zajmujących historyjek; prawda?

Po drugie: Gdy znajdziesz w którym z tych opowiadań jakiś piękny przykład, zastanów się nad nim; pomyśl chwilę; zapytaj siebie, czy w podobnym wypadku postąpiłbyś tak samo, jak to święte dziecko, o którym czytałeś.

Po trzecie: Chciej szczerze i mocno iść w jego ślady.

Po czwarte: Wszyscy jesteśmy słabi i ułomni... Może masz gorącą wolę, i najlepsze chęci, ale czy ta wola wytrwała? Do jutra ostygnie, zapomnisz o dobrych postanowieniach. Cóż trzeba robić, aby pragnienie cnoty umocnić w duszy? Oto, uklęknij po przeczytaniu świętej powiatki, i pomódl się serdecznie; mów do Pana Jezusa poprostu, własnymi słowami, śmiało, jak do ojca, proś Go, żeby cię wspierał, żeby ci dopomagał, bo chcesz koniecznie stać się pocziwem, bogobojnem dzieckiem.

I teraz, gdyś te słowa przeczytał, uklęknij sobie i proś gorąco najśłodszego Zbawiciela, by zesłał swe błogosławieństwo na ciebie i tych, których kochasz. Proś Go, aby wszystkie a wszystkie dzieci, co będą czytały tę książeczkę, stawały się coraz lepszemi. Taką modlitwą sprawisz wielką pociechę Sercu Jezusowemu. Powtarzaj ją codzień, a spełnisz prawdziwie dobry uczynek i przypodobasz się Bogu.

Boski przyjaciel dzieci i Jego Serce.

Razu pewnego wieczorem P. Jezus szedł z uczniami na nocleg. Zmęczony był i spracowany niezmiernie, cały dzień bowiem nauczał rzesze, uzdrawiał chorych i kaleki, pocieszał dobrotniwe słowem strapionych. Więc znużony był bardzo. Przechodząc wedle gaju, usiadł pod drzewem i chciał wypocząć.

Aż tu w oddaleniu ukazała się gromada niewiast, i zbliżyła się szybko wprost ku Zbawicielowi. Jedne niosły na rękach niemowlątka, inne prowadziły za rączki starsze dzieci.

— Czego tu chcecie? — spytał surowo jeden z uczniów — nie naprzykrzajcie się Mistrzowi.

Kobiety odpowiedziały:

— Proś Nauczyciela, by pobłogosławił nasze dziatki.

— Odejdźcie precz; — rzekł inny uczeń — zali nie widzicie, że strudzon srodze?

— Niech ino pojrzy na nie, a da im szczęście! — Niech ino rękę położy na ich główkach, a da im zdrowie! — błagały matki.

Ale uczniowie zastąpili drogę z gniewem i odpędzali niewiasty.

Pan Jezus słysząc te mowy, rozrzewnił się w sercu swem nad niezłomną wiarą owych matek, i rzekł do uczniów:

— Dopuszczcie dziecięczkom przyjść do mnie, a nie zakazujcie im, albowiem takowych jest królestwo niebieskie. Zaprawdę powiadam wam, ktobykolwiek nie przyjął królestwa bożego jako dzieciątka, nie wnijdzie do niego.

I przytulając do siebie dzieciątka, błogosławił je.

To serce miłości pełne, kochało wszystkie dzieci, i kocha je zawsze. Niejeden przykład

w tej książeczce opowie ci, jak najmilszy Zbawiciel czynił dzieci pobożnymi, cierpliwymi, posłusznymi, pilnymi; jak im dawał wytrwałość w dobrem, wesołość w znoszeniu przykrości, silną wolę do spełniania Jego przykazań. Rozumiesz kochany czytelniku, że i ciebie otacza P. Jezus Swą opieką, błogosławi twoje młode życie. A gdy się przekona, że szczerze pragniesz być prawdziwie chrześcijańskim dzieckiem, wtedy obsypie cię hojniej jeszcze Swemi łaskami; bo ani ojciec, ani matka nie kochają nas tak bez granic, jak Chrystus Pan, Odkupiciel nasz.

A wiesz, co trzeba robić, aby się stać godnym tej miłości? Zaraz ci to wytłumaczę.

Patrz, oto obrazek przedstawiający Pana naszego Jezusa Chrystusa. Na piersiach Jego wyobrażone jest Serce Przenajświętsze. Powiem ci, co masz rozważać w duchu, patrząc na ten obrazek.

1. Uprzytomnij sobie, kto jest, na kogo patrzysz. To jest Bóg! Jego serce, jest sercem Boga. A równocześnie staraj się zrozumieć, że ten sam P. Jezus jest najszlachetniejszym, najlepszym, najświętszym człowiekiem; Serce zaś Jego, to skarbnica wszelkich doskonałości. Jakże mamy czcić, wielbić i naśladować to Boskie Serce!

Gdy jesteś w kościele na mszy św., patrzysz na przenajświętszą Hostję w czasie podniesienia, pomyśl sobie wtedy, że twój Zbawiciel zstąpił

z nieba na ziemię, i utajony pod postacią chleba, z miłością zbliża się do nas. Powitaj Go najpokorniej, mówiąc te słowa:

„Cześć, chwała, miłość i dzięki w każdej chwili Tobie o Serce Jezusa, utajone pod postacią chleba na ołtarzach naszych, teraz, i aż do końca świata, amen“.

(Sło dni odpustu raz na dzień).

2. Jak widzisz na tym obrazku, Serce Pana Jezusa otoczone jest ognistymi promieniami. Cóż to oznacza? To jest ogień wielkiej miłości, którą Zbawiciel pała ku wszystkim ludziom. Tej miłości zawdzięczasz wszystkie dobre uczucia, wszystko co masz, i czem jesteś. Trzeba nad tem chwilkę pomyśleć. Jak bardzo nas Pan Jezus kocha, jeżeli z tej miłości stał się człowiekiem, dzieciną maleńką, żył w ubóstwie i długie lata pracował na chleb w pocie czoła. Dlatego że nas kocha, zgodził się ponieść najokrutniejsze męczarnie i śmierć sromotną na krzyżu. To wszystko sprawiło Jego najświętsze Serce. Ono cię kocha tak niewypowiedzianie... ono pragnie uczynić cię prawdziwie bożem dzieckiem, abys kiedyś, dożywszy kresu cnotliwego życia, przebywał z Nim w niebie, i cieszył się szczęściem wiecznem. Ach niestety... jak to trudno być dobrym! Przy najlepszej chęci zdarzy się zgrzeszyć. Serce Pana Jezusa daje ci i na to lekarstwo: wypowiadaj się z żalem i szczerem po-

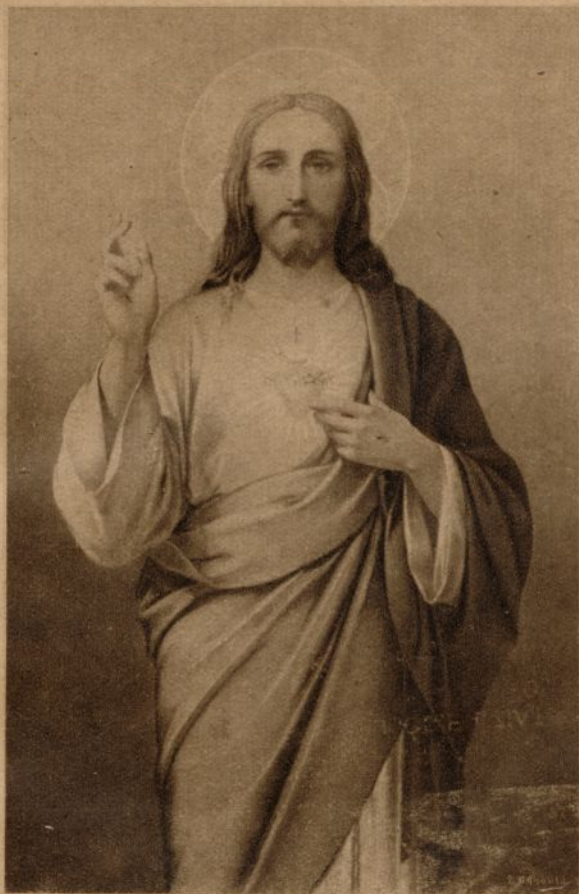
stanowieniem poprawy, a w tejże chwili Bóg ci wszystko przebaczy.

Rozumiesz teraz, jak bardzo cię Pan Jezus kocha?

Nie dosyć Mu na tem, chce dla ciebie uczynić stokroć więcej; chce wejść do twego serca w Komunji świętej. Nie możesz Go wprowadzić widzieć oczyma ciała, ale wiesz na pewno, że jest z tobą; umacnia dobre pragnienia w twojej duszy, prowadzi cię jakby za rękę i powstrzymuje od grzechu.

Znałem dzieci bardzo niepocziwe, skłonne do najgorszych rzeczy. Jedne kłamały po dzień się razy na dzień, drugie były uparte, inne zuchwałe, zapamiętałe w złości, leniwe, nieposłuszne, samolubne. Rodzice i nauczyciele nie umieli sobie z nimi poradzić. Na szczęście nadszedł czas przygotowania się do spowiedzi; niektóre z tych dzieci sam pouczałem i przygotowywałem do sakramentu pokuty. Czego nie zdołali naprawić ludzie, naprawił ukochany Zbawca. Wiele z tych moich znajomych dzieci zmieniło się na lepsze po spowiedzi, a bardziej i trwalej, po Komunji św. Ze złoślików stali się łagodnymi, z kłamców prawdomównymi, z upartych posłusznymi. Wszzechmocne dobrotliwe Serce Jezusa dopomogło im.

Gdy rozważysz chwilę tę wielką łaskawość i dobroć Boga, uklęknij i podziękuj Mu jak najgoręcej. Nie trzeba nato wspaniałych słów, ani



NAJŚW. SERCE P. JEZUSA.

(Kwiaty bożego ogrodu)

WYDAWCA DZIAŁOŚĆI WYDAWNI
DR. WYDZIAŁOŚĆI WYDAWNI

długich modlitw, bynajmniej. Bóg nie zważa na słowa, lecz patrzy na serce. Jeżeli dziękujesz za co rodzicom, to przecie nie dobierasz wyrazów, prawda? Całujesz mamę lub ojca w rękę i powiadasz poprostu: „Dziękuję mamusi“, „dziękuję tatusiowi“. Tak samo i w modlitwie możesz zrobić: ucałuj krzyżyk, albo obrazek i powiedz z gorącą wdzięcznością, co ci serce podyktuje.

A czy ty kochasz Pana Jezusa? Wierzę mocno, że radbyś Go kochać, prawda? Ale ja-koś nie umiesz. O moje drogie dziecko... jeżeli tylko naprawdę tego bardzo pragniesz, to znaczy, że już Go kochasz. Ale to jeszcze małe, słabiutkie kochanie. Nikt nie zdoła kochać Boga z całej duszy, ze wszystkich sił, bez pomocy z nieba. Miłość boża, jest darem Ducha Świętego. On sam jedynie wlewa ją w serca nasze. Ale Go trzeba o to prosić, modlić się o tę wielką łaskę. Ilekroć spojrzysz na obrazek taki, jak w tej książce, zaraz sobie westchnij: „O słodkie Serce Jezusa mojego, spraw to, abym cię kochał coraz więcej“.

Ale nie zapomnij i o tych słowach Zbawiciela: „Kto pełni moje przykazania, ten jest, który mnie miłuje“. Znasz przykazania boskie i kościelne, postępuj w życiu według nich, a okażesz Bogu, że Go kochasz. Wchodzisz np. do kościoła, zmów zaraz taką modlitewkę: „O Panie Jezu... przyrzekam Ci zachować się pobożnie; nie będę się rozglądał ani rozmawiał ze znajomymi, tylko uważnie odmówię modlitwy przy

mszy św., do chcę się przypodobać Twemu najświętszemu Sercu“. To znowu masz się uczyć, a tak ci się jakoś nie chce... Pomyśl sobie tak: „O Panie Jezu, patrzysz na mnie, widzisz jak mi trudno, dopomóż mi, abym się pilnie uczył, chętnie pracował!“ Po tej krótkiej modlitwie, zabierz się szczerze do roboty, a sprawisz wielką radość boskiemu Sercu. Spotkasz czasem na ulicy ubogiego, masz w kieszeni grosiki na owoce albo ciasteczka; odmów sobie małej przyjemności, a daj biednemu jałmużnę. Naśladuj wedle możliwości najmiłosierniejsze Serce Jezusowe. A może się czasem trafi, że ci ktoś dokucza, na złość robi, wyśmiewa się z ciebie; zdarzają się niepoczciwi koledzy, prawda? Wtedy nie płacz złem za złe, nie mścij się, ale powiedz w duchu: „O najdroższy Zbawicielu. Tyś dla mnie cierpiał straszne męki i zelżywości; przyjmij w podarunku tę przykróść, którą zniosę w milczeniu dla Twojej miłości. Przebaczam temu dziecku, a proszę Cię, Panie Jezu, daj, aby się poprawiło“.

Może i to się zdarzyć, że cię ktoś będzie namawiał do kłamstwa, do nieposłuszeństwa, albo do cięższych jeszcze grzechów. O wtedy módl się gorąco, broń się przeciw pokusie. „O Jezu... niechże mnie Twoje Serce strzeże od złego! Opiekuj się mną, abym Cię nigdy nie obrażał“. Przeżegnaj się i uciekaj od nikczemnika, co z djabłem w zmowie, chce zabić twoją duszę.

Tak, moje kochane dziecko, masz myśleć, mówić, postępować, a okażesz, że kochasz najświętsze, najczystsze, najcierpliwsze, najdoskonalsze Serce Zbawiciela.

3. Spójrzjmy na obrazek, co tam więcej widzimy? Wieniec cierniowy okala Serce Jezusowe. Co to ma za znaczenie? Jeżeli nam ludzie dokuczają, drwią z nas, szydzą, oszczerstwami obrzucają, jak bardzo nas to boli! Taki ból, tylko nieskończenie sroższy przeszywa serce naszego Pana, gdy Go ludzie grzechami obrażają. I tobie się zdarza nieraz — może często — zasmucić Pana Jezusa. Ach pomyśl tylko... z twojej winy cierniowe kolce ranią Najświętsze Serce! Biednyś ty... Lepiej ci było zachorować i umrzeć, zanim grzech popełniłeś. Ale Zbawiciel jest miłosierdziem i litością. Biegnij do Niego, padnij na kolana przed krzyżykiem albo obrazkiem i z pokorą zawołaj: „O Jezu, byłem bardzo zły, obraziłem Ciebie, najlepszego Ojca mojego! Ale mi tak żal... brzydzę się tem, com zrobił... nie chcę tego popełnić nigdy a nigdy! Przebacz mi, Panie Jezu, i dopomóż, abym się mógł wypowiadać jak najprędzej“. Wstaniesz od modlitwy lekki i spokojny, Pan Jezus ci przebaczył.

4. Na tym obrazku, ponad sercem, znajduje się krzyż. Powiem ci, co ten krzyż znaczy; najlepiej ci to objaśnię przykładem:

Nikt z nas nie wie, kiedy umrze, ani z jakiej choroby. Nie wiemy, czy będzie długa, ciężka,

czy nagła jak grom. Ale, gdybyś już dziś wiedział na pewno, że za kilka lat napadną cię jacyś okrutni ludzie, skrępują twarde mi powrozami, wrzucą do ciemnego więzienia, a wywłókszy zeń potem, będą bić z taką wściekłością, że całe twoje ciało krwią się zaleje... gdybyś wiedział, że przybiją grubymi gwoźdźmi twoje ręce i nogi do krzyża i pozostawią cię na tem drzewie męczarni póty, aż skonasz w bólu i sromocie, powtarzam, gdybyś dzisiaj już wiedział, że taką śmiercią zginiesz, czy mógłbyś choć jedną godzinę być wesoły? Czybyś się mógł uśmiechnąć? Nie! Sama myśl o tem, co cię czeka, byłaby już najstraszniejszą torturą. A teraz przedstaw sobie w duchu boleść Chrystusa Pana, który od pierwszego dnia życia Swego na ziemi wiedział o przyszłej męce i śmierci krzyżowej. Jako człowiek miał on naturę ludzką; niemowlętko nieświadome leżało w żłóbku. Ale jako Bóg znał przyszłość. Dlatego Zbawiciel nasz nie miał w tem ziemskim życiu ani chwili wesołości, oczy Jego widziały zawsze koronę cierniową i krzyż. Takie jest znaczenie krzyżyka na przenajświętszem Sercu. A czyż tylko mękę i śmierć poniósł dla naszego odkupienia? Od pierwszej godziny do ostatniej, życie Jego było cierpieniem. Urodził się w nędznej szopie w zimną noc grudniową; leżał w żłobie, na sianie, owinięty w ubogie pieluchy... biedne dzieciątko! A mógł spoczywać w złocistej kołysce, marmurowy pałac mógł być

Jego mieszkaniem, liczni dworzanie mogli Mu usługiwać; wszak wedle naszego rozumienia, najwyższe przepychy powinny były otaczać Boga wcielonego. Nie chciał bogactw. Z miłości dla nas znosił ubóstwo, upokorzenia, a zawsze z najśłodsza łagodnością. Powiada o sobie: „Jam jest cichy i pokornego serca“.

Staraj się naśladować Pana Jezusa.

Może twoi rodzice są ubodzy? Może jesteś sierotą? Nieraz może głodny jesteś, a w domu bieda; nieraz ci zimno, ubranie masz podarte... A choćbyś żył w dostatkach, to znowu masz inne przykrości: nauka ci idzie ciężko, nie możesz lekcyj zapamiętać, profesor się gniewa, koledzy drwią z ciebie... Często chorujesz, to głowa cię boli, to zęby... W każdym smutku, w każdej niedoli szukaj pociechy u dobrotliwego Ojca. Idź do kościoła, albo klękni przed obrazkiem i rozmyślaj, ile Pan Jezus cierpiał dla nas. Potem z prostotą i ufnością opowiedz Mu o wszystkim co ci dolega i zakończ temi słowy: „O drogi Zbawicielu! Będę cierpliwym i pokornym, zniosę te zmartwienia w milczeniu, racz mi dopomóc, abym nie wyrzekał i nie skarżył się“. Powtarzaj często modlitewkę odpustową: „Jezu cichy i pokornego serca, uczyni serce moje podobnem do Twego“.

5. Widzisz jeszcze na obrazku głęboką ranę w Sercu Pana Jezusa. Tę ranę otrzymał najdroższy Zbawiciel, gdy skołał na krzyżu, a żołnierz

przystąpił i przebił bok Jego włócznią. Z rozdartego serca spłynęła krew i woda. Za grzechy nasze oddał Syn Boży własną krew do ostatniej kropli!

Gdy więc tak bardzo ukochało nas Jego Serce, możemy prosić z ufnością o wszystko, czego nam trzeba w życiu; jeżeli to nam przyniesie pożytek, albo nie wyrządzi krzywdy naszej duszy, Pan Jezus wysłucha nas niezawodnie. Pamiętaj, proś Go codzień, proś Go o wszystko. A najbardziej o to, żeby cię uczynił pocziwem dzieckiem, miłym Bogu. Nie szukaj takiej modlitwy w książce do nabożeństwa, jużem ci radził jak się masz modlić. Jeżeli np. jesteś głodny, to idziesz do mamy i mówisz: „Mamusiu, jeść mi się chce“. Czasem nie dosłyszysz, albo nie zauważy, albo czem innem zajęta, nie ma ochoty zajmować się tobą. Czy odchodzisz z niczem? O nie; powtarzasz swoje, trzy i cztery razy, aż dostaniesz. Tak samo trzeba robić z modlitwą: prosić, prosić, prosić, z ufnością, pokornie, a wytrwale. „O słodkie Serce Jezusa, daj mi dobrą pamięć przy nauce! albo „uczyni, abym się nie złościł“ albo „daj mi zdrowie!“ Powtarzaj codzień te prośby, a będziesz wysłuchany. Możesz się modlić o wszystko czego pragniesz, byle w twych zamysłach nie było obrazy boskiej.

Uczyni sobie postanowienie, że jeden dzień nie przejdzie, abyś nie sprawił pociechy Sercu Jezusowemu. Codzień jakiś dobry uczynek;

przysługa potrzebującemu, odwiedziny chorego, podarunek ubogiemu dziecku, pomoc przy lekcji koledze. Pan Jezus policzy ci to wszystko i w złotej księdze zasług zapisze.

Odlóż teraz książeczkę na bok i zastanów się, czy nie mógłbyś już dziś, odrazu, przypodobać się najdroższemu Zbawicielowi. Jeżeli sobie coś takiego przypomnisz, idź zaraz i uczyni to.

NAJŚWIĘTSZA PANNA MARJA.

Za panowania króla Heroda, mniej więcej w czternastym roku jego rządów, żył w Nazarecie majątny człowiek, imieniem Heli. Imię jego wymawiali niektórzy Heljakim, a inni Joachim. Wywodził on swój ród z pokolenia króla Dawida. Żona jego Anna pochodziła z miasteczka Betleem. Żyli sprawiedliwie przed Bogiem i zachowywali wiernie święte przykazania. Dochody majątku swego dzielili na trzy części: jedną oddawali kapłanom świątyni jerozolimskiej, drugą ubogim, a trzecią obracali na własne utrzymanie. Ale smucili się wielce, bowiem nie mieli dzieci.

Pewnego razu, poszedł Joachim do Jerozolimy na uroczystość rocznicy poświęcenia świątyni, aby tam złożyć ofiarę. Ale starszy z kapłanów, któremu chciał swe modły polecić, nie przyjął daru; owszem, surowo doń przemówił, mniemając, że chyba ciężkim grzechem obraził Boga, kiedy go tak widocznie karze jakby klątwą, — bo bezdzietnością.



ZWIASTOWANIE N. P. MARJI.

(Kwiaty bożego ogrodu.)

PROTOKOLUNA DRUGAWI POSEDMW
W WILCZEGU I POLANCU

Słowa kapłana ubodły pobożnego człeka w samo serce; powrócił do domu rozżalony i opowiedział swe strapienie małżonce. Postanowili pościć przez kilka tygodni, rozdawali obficie jałmużny niż zazwyczaj, i codziennie wspólnie błagali Pana o łaskę. W tych modłach ślubowali ofiarować na służbę bożą dzieciątko, jeżeli ich Bóg potomkiem obdarzy.

I stało się, że Anna powiła córeczkę. Dzień ten błogosławiony przypadł ósmego września, roku 733 od założenia Rzymu. Wedle najstarszych podań, był to dzień sabatu, czyli w chrześcijańskim rachunku tygodnia, sobota.

Kościół katolicki każe nam obchodzić pamiątkę śmierci świętych; dni te są notowane w kalendarzu. Jedynie Pan nasz Jezus Chrystus, Marja Panna i Jan Chrzciciel, święcą prócz tego dzień swych urodzin. A jaka jest tego przyczyna? Tylko Bóg-Człowiek, Matka Jego i święty Jan przyszli na świat bez grzechu pierworodnego, co znaczy, że już w chwili urodzenia byli świętymi. Inni ludzie, dopiero przez chrzest bywają oczyszczeni. Kościół otacza dzień narodzenia Matki Bożej szczególną chwałą i uroczystością, gdyż to narodzenie przyniosło najobfitsze błogosławieństwo całej ludzkości. Wszak Marja stała się Matką Odkupiciela! Przyniosła światu zbawienie, którego wyczekiwał z utęsknieniem przez cztery tysiące lat.

Marja jest zarazem i naszą matką; kocha nas i wspomaga łaskami wszystkich, którzy się do niej uciekają.

Prawo przepisywało Żydom nadawać imię dziewczynkom piętnastego dnia po ich urodzeniu. Joachim i Anna z objawienia bożego wybrali dla swej córeczki słodkie imię Marja. Święty Hieronim powiada: „Wzniosłe imię Marja nadane Bożej Matce, nie jest ziemskiego pochodzenia, ani go ludzie wymyślili, zostało ono nadane Najświętszej Pannie z rozkazu samego Boga“.

Gdy Bóg przeznacza wybrańcowi swemu imię, posiada to imię wszystkie cechy znamienne tej świętej osoby. Tak więc „Marja“ w języku hebrajskim znaczy tyle, co „wzniosła“, „mocna“, „potężna“, a wreszcie „Pani“.

Najświętsza Panna jest zaprawdę istotą wzniosłą; i jako Matka Boga, i jako dziecko boże przez łaskę.

Jest mocną, bowiem siłą nadprzyrodzoną starła głowę piekielnego węża, a zwyciężony szatan wije się w prochu u jej stóp.

Jest potężną, ponieważ za jej wstawieniem otrzymujemy od Pana naszego wszystko, o cokolwiek prosimy.

Jest Panią i władczynią, jako matka Króla nieba i ziemi.

Dlatego to imię Bożej Matki było przez wszystkie wieki, jest i będzie najmilszem, i najwyższej czci naszej godnem. Błogosławiony Pa-

wel od krzyża odkrywał pokornie głowę, ilekroć to imię wymawiał. Kościół katolicki nakazuje kapłanom, by także schylali głowę wymawiając imię Marji przy mszy św. Od najdawniejszych czasów obchodzili wierni święto „Imienia Marji“. Uroczystość ta wzięła początek w Hiszpanji, a została zatwierdzona przez papieża w r. 1513. Zaś od r. 1683 jest obchodzoną w świecie katolickim powszechnie.

Pismo święte nie wspomina ani słowem o latach dziecinnych Marji. Dopiero w późniejszych wiekach Ojcowie Kościoła zebrali nieco wiadomości z podań ustnych, z pokolenia w pokolenie przekazywanych. Są to szczegóły drobne, ale sercom czcicieli Marji drogie.

Joachim i Anna ślubowali, jak już wspominałem, ofiarować swe dzieciątko (jeżeli ich Bóg wysłucha), na służbę w świątyni jerozolimskiej. Znajdował się tam pomiędzy innemi zabudowaniami dom, przeznaczony na wychowanie dziewcząt żydowskich, które po kilku latach nauki i posług kościelnych, wracały do domu rodzicielskiego. Gdy córeczka ich skończyła trzy lata, Joachim i Anna odwieźli ją do Jerozolimy, zaprowadzili na górę Morja do świątyni, i tam, wedle nakazanego ceremonjału ofiarowali ją Bogu; potem oddali ją kapłanom. Tych mędrców obowiązkiem było, zaznajamiać powierzone swej opiece dziewczynki z prawem bożem i przepisami religji Mojżeszowej. Stateczne niewiasty, czu-

wające nad ich wychowaniem, uczyły je prząść, tkać, haftować złotem i srebrem. Utrzymanie w czystości szat kościelnych było przywilejem, o który się dziewczęta dobijały.

Aczkolwiek młodziutka latami, ale od pierwszych dni życia łaską udarowana, Marja przewyższała swe towarzyszki miłością Boga. Słuchała pilnie nauk, nauczyła się czytać w niedługim czasie, powtarzała póty psalmy Dawidowe, aż je wszystkie umiała napamięć; a do robót niewieścich przykładała się z wielką pracowitością.

Zaledwie wyszła z pierwszego dzieciństwa, długie godziny spędzała na modlitwie, lub rozpaмиętywaniu dobroci i doskonałości bożej. O północy wstawiała pocichutku ze swego posłania, i ukląkszy modliła się gorąco za swój naród i za całą ludzkość. Wczesnym rankiem modliła się znowu. Potem uczyła się i pracowała do obiadu. Po południu czytała Pismo święte aż do zachodu słońca, o której to porze składano ofiarę wieczorną w świątyni. Wtedy przechodziła razem z towarzyszkami na krużganek oddzielny przeznaczony dla kobiet, i tam śpiewały psalmy.

Cała jej myśl, każde słowo, ruch każdy skierowane były ku Bogu. Gdy ją kto witał „dnia dobrego ci życze“, odpowiadała „Bogu niech będą dzięki“. Towarzyszkom swoim okazywała serdeczną przyjaźń, zawsze gotowa usłużyć im; a gdy im zadano jaką robotę, brała na siebie co

najtrudniejsze, i pracowała ochotnie. Zawsze była wzorem cierpliwości i pogody ducha; nikt jej nie widział chmurną, ani nadąsaną, gdy przeciwnie inne dziewczęta klóciły się między sobą i często bywały karane za nieposłuszeństwo. To było najcięższem zmartwieniem Marji; serce w niej zamierało na widok obrazy boskiej, to też słowem i przykładem strzegła swe przyjaciółki od grzechu.

Święty Ambroży tak opisuje młodociane lata Marji:

„Była czystą na ciele i na duszy; w sercu „jej mieszkała pokora; mówiła mało i skromnie. „Cały dzień w pracy, nie była żadna pochwał „ludzkich, ale przypodobania się Bogu. Nikogo „nie uraziła, a każdemu starała się przysłużyć, „zwłaszcza starszym, którym była pokornie „słuszną. Nie znała zawiści, samochwalstwa, „gniewu, baczna na głos sumienia, starała się do „skonalić w cnotach. Ani nawet spojrzeniem nie „pogniewała rodziców, tkliwością otaczała sła- „bych i ubogich. Z oczu jej wyzierała uprzej- „mość, nie skalala nigdy swych ust mową nie- „przystojną, chód jej był poważny, głos mile „brzmiący. Jednem słowem, cała postać świętej „dziewicy była rzeczywistem odzwierciedleniem „jej czystej duszy. Życie jej tak było doskonałem, „że pozostanie po wszystkie wieki niedościgłym „wzorem do naśladowania“.

W czasie pobytu swego w świątyni Marja uczyniła ślub, że nigdy w stan małżeński nie wstąpi, ale na służbie przy kościele pozostanie przez całe życie, jeżeli wola boska nie będzie temu przeciwna.

W pracy, modlitwie i nauce Pisma świętego upłynęło lat jedenaście; święta panienka pragnęła gorąco pozostać nadal w Jerozolimie, ale żądaniu rodziców posłuszna, wróciła czternastoletnia Marja do Nazaretu. Tak samo uznając ich wolę za świętą, nie śmiała sprzeciwić się im i została przyrzeczoną w małżeństwo sprawiedliwemu i bogobojnemu Józefowi. Zanim jednak przyszedł dzień zaślubin, mieszkała jeszcze kilka tygodni w rodzicielskim domu. I wtedy to, gdy pewnego ranka pogrążona była w modlitwie, ukazał się jej anioł Gabrijel, i pozdrowiwszy ją ze czcią wielką, zwiastował, że stanie się Matką Zbawiciela świata. Święta dziewica poddała się pokornie wyrokowi bożemu, a dzień ten, podług rachuby Kościoła przypadający dwudziestego piątego marca, jest jednym z największych świąt chrześcijańskich.

*

*

*

W dawnych wiekach, gdy nie znano jeszcze przyrządów, ułatwiających orientowanie się po bezgranicznych przestrzeniach oceanu, żeglarze puszczający się w podróż dawali wielkie baczenie na gwiazdę polarną. Jej światło jaśniejsze na fir-

mamencie niebieskim w noc pogodną, wskazywało kierunek drogi. Zwano ją pospolicie „Gwiazdą morza“.

Życie chrześcijanina tak samo jest niepewną i uciążliwą podróżą w lichej łodzi po niebezpiecznych głębiach oceanu. Pokusy i zasadzki szatana wciągają z łatwością słabych lub zarozumiałców w przepaść potępienia. Nie znaleźlibyśmy nigdy błogiego portu o własnych siłach: Marja jest naszą przewodniczką, pomocą, ratunkiem, Marja jest Gwiazdą morza! Zwracaj twe oczy z miłością i zaufaniem ku światłu tej Gwiazdy, a nie zginiesz.

ANIOL STRÓŻ.

W królewskich rodzinach wielką bacność zwraca się na to, by mali książęta i księżniczki nie wydalali się nigdy sami z domu, ani do ogrodu, ani na przechadzkę. Towarzyszy im zawsze niańka, nauczyciel, ochmistrzyni, czasem ktoś z dworzan; słowem paniątka są pilnie i troskliwie strzeżone, by im broń Boże kto nie ubliżył, by się przez nieświadomość nie skaleczyły, albo wogóle nie poniosły szkody na zdrowiu.

My, przez łaskę chrztu św. dzieci boże, mamy większe jeszcze prawa i przywileje od królewiczów: do samego Stwórcy świata wolno nam mówić „Ojcze nasz!“ Ten Ojciec wszechmocny i najdobrotliwszy otacza nas nieustanną opieką, a ku pomocy i ratunkowi szle nam anioły Swoje. Ile jest ludzi żyjących na tej ziemi, każdy ma przydanego anioła stróża. Pan Jezus powiedział raz do uczniów: „Uważcie, abyście nie zgorszyli jednego z tych małuczkich; za prawdę powiadam wam, ich aniołowie patrzą w oblicze Ojca mego.

Nikt z nas nie widzi swego anioła stróża oczyma ciała, a jednak na pewno posiada każdy tego wiernego przyjaciela. I twój stoi przy tobie ciągle, ani na chwilę cię nie odstępuje. Zna każdą myśl twoją, słyszy każde słowo, jest świadkiem twoich czynów. Trudno ci uwierzyć? Wszak gdybyś np. był ślepy, a ojciec twój stał przy tobie, byłbyś tego najzupełniej pewnym, choćbyś go nie mógł widzieć.

Bóg obdarzył niektórych wielkich świętych łaską, że nie tylko czuli wyraźnie obecność swych aniołów stróżów, ale widywali ich czasem we śnie, a nawet i na jawie. Przytoczę ci kilka przykładów.

1. Gdy święty Grzegorz z Tours był małym dzieckiem, zachorował mu ojciec. Pomodliwszy się gorąco o zdrowie tatusia, chłopczyk poszedł spać. We śnie ukazał mu się anioł i tak przemówił: „Weź małe drewnienko, napisz na niem imię Jezus i połóż na poduszce chorego ojca“. Zbudziwszy się, mały Grześ opowiedział sen swój matce, która naturalnie kazała mu czem prędzej zrobić tak, jak anioł polecił. I rzeczywiście ojciec wyzdrowiał w niedługim czasie. We dwa lata później, ojciec Grzegorza zachorował znowu. I tym razem ujrzało dziecko we śnie anioła, a ten go spytał, czy zna historję Tobiasza. „Nie znam“, odpowiedział chłopczyk. Rzekł mu anioł: „Tobiasz został uleczony rybą wątroba; użyj tego samego środka, to i twój ojciec będzie

zdrów“. Mały Grzegorz zerwał się z posłania i w tej chwili pobiegł opowiedzieć dziwny sen matce. Wysłano do rzeki ludzi z sieciami, ulowili ogromną rybę, rozplątano ją natychmiast, wyjęto wątrobę, i matka Grzegorza upiekła ją na rozżarzonych węglach w pokoju męża. Skoro tylko chory poczuł woń smażonej ryby, gorączka ustąpiła odrazu i wstał zupełnie uzdrowiony. Cała rodzina padła na kolana i złożyła dziękczynienie świętemu aniołowi stróżowi.

2. Czytamy w żywocie świętej Franciszki Rzymianki, że straciła ukochanego synka, za którym bardzo tęskniła i ciągle o nim myślała. Na imię chłopczykowi było Ewangelista. Wkrótce po śmierci ukazał się jej we śnie, uśmiechnięty nadziemską wesołością. Przy nim stał drugi chłopczyk nieco starszy, ale o wiele piękniejszy. Franciszka spytała synka, co to za dziecko. Odpowiedział jej:

— W królestwie niebieskiem jest dziewięć chórów anielskich. Ci, co należą do wyższych i bliższych Bogu, mają obowiązek prowadzić ku doskonałości swych młodszych braci. Pan w Swej szczodrej łaskawości raczył mię przeznaczyć do drugiego chóru; towarzysz mój jest archaniołem, dlatego też jaśnieje większą pięknnością i blaskiem. Bóg przysyła ci go za opiekuna na resztę ziemskiego żywota. Dniem i nocą stać będzie przy tobie i umacniać cię w dobrem.

Ewangelista znikł, lecz archanioł pozostał w widomej postaci. Franciszka, upadwszy na ko-

lana złożyła dzięki Bogu za tak wielką łaskę, poczem zwróciła się do archanioła i prosiła go, by nie zrażając się jej ułomnością, raczył prowadzić ją ku cnocie, a strzec od grzechu.

Po tej modlitwie wyszła ze swej izdebki i zajęła się codziennymi sprawami; anioł nie odstępował jej ani na chwilę. Od dnia zjawienia, widziała go stale przy sobie, otoczonego jakby kołem słonecznych promieni. Blask ten był tak olśniewający, że niepodobieństwem było Franciszce zatrzymać wzrok na postaci swego świętego stróża; radaby się była wpatrywać weń bez końca, a ledwie oczy podniosła, już je musiała spuszczać ku ziemi.

Nikt prócz niej nie spostrzegał błogosławnego zjawiska, nikomu też o niem nie wspominała; spowiednikowi jedynie wyznała swą cudowną tajemnicę. On zaś prosił ją, by mu opowiedziała, jak wygląda jej anioł stróż.

— Jest nadziemsko piękny, — odrzekła — wzrostem nie przewyższa dziewięcioletniego dziecka, mimo to, postawa jego jest wspaniała i pełna godności. Oczy ma najczęściej wzniesione ku niebu, oblicze miłe, jaśniejące pogodą. Odziany jest w długą szatę połyskliwą, na niej krótsza w rodzaju dalmatyki mieni się barwami tęczy lub skrzy jako śnieg w promieniach słońca. Chociaż kroczy po ziemi, towarzysząc mi wszędzie, przeczystych stóp jego nigdy kurz nie pokalał.

Nieraz św. Franciszka w niepewności jak ma postąpić, żeby zadość uczynić woli b-żej, smuciła się, że zamiast przypodobać się Bogu, może Go niechcący obrazić. Zwracała się wtedy do swego opiekuna, a on jej radził, co ma czynić. Również, gdy walczyła z pokusami, a siły jej słabły, wzywała pomocy archanioła. Jeden oślepiający promień jego spojrzenia odrzucał precz szatana. Gdy zasięgała rady lub wołała o ratunek, postać anioła zjawiała się wyraźniej przed jej oczyma, i mogła się weń dłużej wpatrywać.

Ten towarzysz przezczysty był jakoby zwierciadłem, w którym dostrzegała wszystkie swe ułomności. Gdy popełniła choćby najłżejsze przewinienie, anioł skrywał się i nie widziała go przy sobie. Wtedy przerażona robiła surowy obrachunek swoich postępków i z największą skruchą spieszyła do spowiedzi. Anioł powracał znowu, jasny i uśmiechnięty.

Gdy się bała, że niedość korzysta z łaski b-żej i leniwie pracuje około zbawienia swej duszy, anioł spoglądał na nią dobrotliwie i odrazu przywracał jej spokój. Czasem zanadto umartwiała swe ciało, zabraniał jej tego. To znowu zdawało jej się, że sprawy światowe i stosunki z ludźmi są zgubnem marnotrawstwem czasu; anioł pouczał ją, że wolą bożą jest, by wiernie spełniała obowiązki swego stanu.

Światło, bijące od anioła stróża, rozjaśniało przed oczyma Franciszki głębie dusz ludzkich:

widziała wyraźnie grzechy lub złe skłonności swoich bliskich i często upominała ich do poprawy. Pewien jej krewny, człowiek gwałtowny, nie znający granic w swej złości, obrażony ciężko przez swego przyjaciela, postanowił go zabić. Anioł stróż wyjawił Franciszce ten występny zamiar. Pobieгла czem prędzej do domu owego krewnego, przedstawiła mu wymownie okropność zbrodni, którą chciał popełnić, i póty błagała go ze łzami, aż jej przyrzekł poniechać zemsty, i najszczerzej, z całego serca przebaczył nieprzyjacielowi.

Chociaż dalecy od doskonałości świętych i niegodni oglądać naszych aniołów stróżów twarzą w twarz, módlmy się do nich codziennie i polecajmy się ich opiece. Zastanów się, drogie dziecko, co to za szczęście mieć takiego przyjaciela! Gdziekolwiek się zwrócisz, idzie z tobą; czy dzień jasny, czy noc zapadnie, on patrzy na cię. Przeto strzeż się usilnie zasmucić go choćby najmniejszym grzechem. Musiałby oskarżyć cię przed Bogiem, a tak bardzo tego nie chce, bo cię kocha, jak młodszego braciszka. Żato każdy twój dobry uczynek, myśl pocziwa przejmuje go radością; cieszy się, żeś usłuchał jego natchnienia. W jego objęciach żadne zło cię nie dosięgnie. Bądź pewny jego pomocy, rady, opieki; wszak niedarmo nazywa się aniołem stróżem.

ŚWIĘTY ALOJZY GONZAGA.

1. Dziecię święte.

Alojzy urodził się 9 marca 1568. Ojcem jego był margrabia Castiglione w Lombardji. Matka, cnotliwa niewiasta, wychowywała syna od pierwszych lat życia pobożnie. Zanim jeszcze mówić zaczął, już umiał się przeżegnać; Ojciec nasz, Zdrowaś, i inne małe modlitewki były niemal pierwszemi słowami, które wymówił.

Dziecko rosło niewinne, miłe Bogu i ludziom. Ponieważ ojciec jego służył w wojsku, Alojzy projektował w swej dziecinnej główce, że także zostanie żołnierzem. Dlatego też najczęściej przebywał wśród zamkowej załogi.

Pewnego upalnego popołudnia, żołnierze w koszarach i dowódca w swej komnacie wypoczywali zmęczeni kilkogodzinnymi ćwiczeniami. Nagle obudził wszystkich wystrzał armatni. Zerwał się z posłania margrabia Castiglione najpewniejszy, że między załogą wybuchł bunt, i któryś z oficerów strzelił na alarm. Czem prę-

dziej wybiegł na podwórze zamkowe, aż tu zawiadomiono go ze śmiechem, że to własny jego synek był sprawcą tego alarmu. Alojzy podpatrzył, gdzie wachmistrz proch przechowuje, usypał sobie sporą garść i skorzystawszy ze sposobności, że się mógł zbliżyć bezkarnie do armaty, nabił jako tako i zapalony lont przyłożył. Omal się nie dostał pod koła cofającego się po wystrzale działa, co byłoby spowodowało śmierć na miejscu. Przestraszył się biedny ojciec niezmiernie i chcąc oduczyć dziecko raz na zawsze tak niebezpiecznych figli, zapowiedział mu, że dostanie różgą. Ale kapitan i wszyscy żołnierze przepadali za maleńkim Alojzym, a jego odważna sprawka zachwyciła ich. Uderzyli więc w prośby i jakoś przebłagał margrabiego, który wkońcu i sam dumny był z dzielnego czteroletniego wojaka. Ojciec tedy darował mu winę, ale sumienie świętego dziecka zbudziło się i nie dawało mu spokoju. „O Boże“ — smucił się Alojzy — „popelnilem tak wielki grzech, ukradłem proch wachmistrzowi! Z całego serca żałuję... odpuść mi Panie Jezu kochany! Cóż mam zrobić, żeby choć w części złe naprawić?.. Aha, już wiem! Pobiegnę i przeproszę wachmistrza, może mi wybaczy ten pierwszy i ostatni raz“.

Ale wachmistrz podniósł chłopca w górę, uściskał, ucałował i uspokoił, zapewniając, że gdyby się tatuś nie pogniewał, codzieńby mu dał

chętnie prochu i strzelaliby obaj na wiwat tatusiowi.

Kochany i pieszczony przez żołnierzy, Alojzy najlepiej lubił bawić się przy nich, czego mu ani ojciec, ani matka nie bronili. Tymczasem jakkolwiek cała załoga zamku składała się z uczciwych ludzi, byli to po największej części nieokrzesani wieśniacy; w rozmowach pozwalali sobie często na grube żarty i rzucali wyrazy bardzo nieskromne. Alojzy nic z tego nie rozumiał, ale słysząc, że wszyscy wybuchają śmiechem na takie słowa, powtarzał je póty, aż zapamiętał. Raz, czy dwa razy nie zauważono w domu, co malec mówi, ale wkońcu usłyszał to ochmistrz małych Gonzagów i zdumiał się wielce. Dziecko zapytane, dlaczego używa takich szkaradnych wyrazów, podniosło na matkę oczka niewinne, i zapewniło ją, że nie wie, co te słowa znaczą, ale pewno coś zabawnego, bo się z nich żołnierze śmieją. Matka zganiła go surowo i wytłumaczyła, że to wielki wstyd, a nawet grzech, mówić tak brzydkie rzeczy. Od tego dnia nigdy już nieskromne słowa nie przeszły przez usta Alojzego; a gdy przypadkiem dosłyszał jaką nieprzyzwoitą rozmowę, rumienił się, spuszczał oczy, i uciekał czem prędzej.

Autor żywota Alojzego Gonzagi zaznaczał, że te bezwiednie wymawiane głupie słowa były najcięższymi błędami w nieskalanem życiu świętego młodzieńca.



ŚW. ALOJZY.

(Kwiaty bożego ogrodu.)

PHOTODUKCJA DRUKARNI KSIĘŻYŃCZY
W WARSZAWIE

Tak wzrastał mały Alojzy w bojaźni bożej pod okiem świątobliwej matki. Ona to, gdy skończył lat siedm, uczyła go poznawać wszechmocnego i dobrotliwego Boga, tłumaczyła, że człowiek nato jest stworzony, aby wszędzie, zawsze, każdym czynem Bogu służył, wolę Jego pokornie pełnił, i kochał Go ze wszystkich sił swego serca. Te słowa sprawiły niezatarte wrażenie na duszy chłopczyka; rozmyślał nad niemi i układał sobie, jak ma się zachowywać, aby się zawsze podobać Bogu. Dorósłszy, powtarzał nieraz, że od siódmego roku życia zaczęła się jego praca około własnego udoskonalenia. Nazywa to: „r o k m e g o n a w r ó c e n i a”.

2. Anioł czystości.

Gdy skończył dziewięć lat, zabrał go ze sobą ojciec do Florencji, na dwór księcia tokańskiego; tam zaczął się uczyć łaciny i doskonalił się w ojczystym języku. Pewnego dnia wpadła mu w ręce książeczka o nabożeństwie różańcowem. Czytał ją z wielkiem zajęciem, wielbiąc życie Najśw. Panny, i rozrzewniając się nad Jej cierpieniem. Im więcej rozważał tajemnice różańca, tem bardziej wzrastała jego miłość do Matki Bożej. Serce mu biegło ku tej Królowej nieba i ziemi, płonął żądzą służenia Jej wiernie. Zrozumiał, że da Jej najmiłszy dowód przywiązania, zachowując przez całe życie cnotę czystości.

Ponieważ wielu świętych, o których wam tutaj będę opowiadał, czyniło takie same postanowienia, jak Alojzy i dochowywało tej wielkiej cnoty do śmierci, uważam za stosowne pouczyć was, jak to macie rozumieć: Czystość polega na niewinności myśli, uczuć, słów i czynów. To znaczy, że kto chce osiąść i zachować tę cnotę prawdziwie anielską, powinien nieustannie czuwać nad swojemi myślami, nie dopuszczać do nich nic takiego, czegoby się musiał wstydzić przed Bogiem i przed ludźmi. Nie prowadzić nigdy rozmów nieskromnych, nie czynić nic takiego, czegobyśmy nie mogli czynić bez zarumienienia w obliczu Boga i całego świata. Najwyższym zaś stopniem tej cnoty jest dziewictwo, czyli wyrzeczenie się miłości ziemskiej i związków małżeńskich.

W pewnym florenckim kościele znajdował się w ołtarzu piękny obraz, przedstawiający zwiastowanie anielskie. Tłumy pobożnych schodziły się do tego obrazu, oddawały cześć Najśw. Pannie modłami i pieśniami. Tutaj przychodził i dziesięcioletni Alojzy; przed tym ołtarzem złożył swe serce Królowej dziewic w ofierze i do śmierci ślubów dochował. Maria otoczyła go nieustanną opieką i uprosiła dlań u Boga wielką łaskę, że nigdy w życiu nie doświadczał pokus przeciw skromności. Będąc z natury żywego i zapalczego usposobienia, niedowierzał własnym siłom, pracował wspólnie z tą łaską i unikał sposobności

do grzechu. Czynił to w następujący sposób: strzegł jak najsurowiej swego wzroku, wiedząc, że jedno spojrzenie może być przyczyną upadku człowieka. Idąc tedy na przechadzkę nie rozglądał się po ulicy, tylko spuszczał oczy ku ziemi, a myślał o rzeczach dobrych albo modlił się w duchu. Umartwiał swe ciało z miłości ku Zbawicielowi, który dla nas tyle wycierpiał. Łatwo tedy zrozumiemy, dlaczego zdołał zachować do końca życia anielską cnotę niewinności.

3. Dobra spowiedź.

Jeszcze w domu rodziców będąc, odbył Ałojzy pierwszą spowiedź. Zamieszkawszy z ojcem we Florencji postanowił przygotować się skrupulatnie i odprawić spowiedź z całego życia. Dopelniwszy ze skrucą rachunku sumienia, poszedł do kościoła i ukląkł przy konfesjonale zawstydzony i upokorzony, jakby najcięższe winy miał sobie do wyrzucenia. Lecz zaledwie przemówił pierwsze słowa do spowiednika, padł zemdlny i musiano go odnieść prawie nieprzytomnego do domu. Na drugi dzień stawił się znowu u konfesjonau, jeszcze lepiej i gruntowniej przysposobiony do świętego sakramentu. Nie tylko wymienił jak najdokładniej wszystkie swoje grzechy, ale ponadto przedstawił spowiednikowi jakie okoliczności wpływały nań szkodliwie, czego będzie się starał unikać, aby nie popaść w te sa-

me błędy. Ksiądz zdumiewał się dojrzałości duchowej dziesięcioletniego chłopczyka.

Najwięcej sobie wyrzucał Alojzy popędliwość. Wprawdzie nie pozwolił nigdy opanować się gniewowi, nie okazywał go na zewnątrz, ale w duszy czuł się często silnie zniecierpliwionym. Winien był temu gorący temperament, narodowa cecha Włochów. Alojzy potępiał się surowo i dawał sam sobie nauki, jakby z kimś innym rozmawiał. Przedstawiał, co to za wstyd ulegać gwałtownym napadom złości i tracić panowanie nad sobą. Człowiek zapamiętały w gniewie zapomina o wszystkim, i często sam nie wie, co wygaduje. — Po kilku takich rozmyślaniach postanowił przełamać się koniecznie, i z pomocą Bożą w niedługim czasie zwyciężył swą popędliwość zupełnie; tak zupełnie, że nie tylko nie okazywał zniecierpliwienia na zewnątrz, ale potrafił stłumić w swej duszy rozdrażnienie i nigdy się nie gniewać.

Drugim błędem, jaki w sobie dostrzegł, były słowa lekceważenia w rozmowach o znajomych, a czasem jakieś uwagi ubliżające im. Były to za ledwie małe, powszednie grzechy; ktoś mniej dbały o własne zbawienie wcaleby ich sobie nie wyrzucał, ale święty młodzieniec nie mógł znieść najmniejszej skazy na swej duszy. Dla wykorzeńnięcia i tego drobnego przestępstwa postanowił jak najrzadziej wdawać się w rozmowy i zabawy

z kolegami, bo w tem widział sposobność do zlego. Wyrzucano mu, że jest dziwakiem, odludkiem, ale on nie brał sobie do serca takich gadań.

4. Pierwsza Komunja św.

W roku 1580 powrócił do rodzicielskiego zamku. W tymże czasie przyjechał do Castiglione arcybiskup medjolański Karol Boromeusz (po śmierci uznany świętym) i mieszkał u tamtejszego proboszcza. Młodziutki Alojzy odwiedzał go często, zwierzał mu się ze swych myśli, pragnień, i prosił o rady, jak ma żyć, aby się Bogu podobać. Arcybiskup zapytał go, czy już przystępował do Komunji św. „Jeszcze nie“, — odpowiedział chłopczyk. Karol Boromeusz sam przygotował go do tego ważnego aktu i przyrzekł udzielić mu Najświętszego Sakramentu. W oczekiwaniu na najpiękniejszy dzień w życiu, Alojzy spędzał wiele czasu na modlitwie, przygotowywał się do godnego przyjęcia Pana Jezusa i ciągle badał swe sumienie, żali nie przypomni sobie jakiego niepotrzebnego słowa, jakiej myśli, któraby się Bogu nie podobała. Wreszcie pobiegł z płaczem do spowiedzi.

Gdy święte dziecko uklękło na stopniach ołtarza, by przyjąć w swe serce Ciało i Krew Pańską, wszyscy obecni w kościele byli wzruszeni i zbudowani widokiem jego anielskiej twarzyczki jaśniejącej miłością bożą.

Od tego czasu często przystępował do Komunii św. a zawsze z największą pobożnością. Podzielił sobie tydzień na dwie części: we czwartek, piątek i sobotę modlił się do Boga Ojca, do Syna i do Ducha Świętego, o pomoc do godnego przyjęcia Najśw. Sakramentu. Niedziela była dniem Komunii św.; zaś w poniedziałek, wtorek i środę dziękował w tenże sam sposób Trójcy Świętej za otrzymaną łaskę.

5. Wybór stanu.

Skończywszy lat piętnaście, zaczął się zastanawiać, w jakim zawodzie byłby najmniej narażony na grzechy, a najwięcej miał sposobności do służenia Bogu. Nie pożałował Pan łaski błogosławionemu dziecku: natchnął je chęcią niezłomną wstąpienia do zakonu jezuitów. Alojzy objawił ten zamiar ojcu, ale margrabia długo zwlekał z pozwoleniem, dla zbyt młodych lat syna. Gdy jednak widział, że to nie lekkomyślna zachcianka, tylko prawdziwe powołanie, już mu nie stawiał przeszkód i zgodził się z wolą bożą.

W ośmnastym roku wstąpił Alojzy do zakonu jezuitów w Rzymie. Był tam niedługo, bo tylko lat sześć. W owym czasie właśnie wybuchło we Włoszech morowe powietrze; młody zakonnik poświęcił się z całym zaparciem pielęgnowaniu chorych; ratował ich, pocieszał, umiaramym wskazywał miłosierdzie boże i niebo

otwarte, aż wreszcie sam uległ strasznej zarazie, i oddał swą czystą duszę Bogu w dniu 21 czerwca 1591 r.

* * *

Każdy z nas dostaje na chrzcie imię jakiegoś świętego. Zastanówcie się drogie dzieci, jaki cel ma w tem nasza katolicka religja? Oto, otrzymujemy odrazu na początku życia opiekuna i przyjaciela, którego cnoty winniśmy naśladować. Ojciec św. papież, przeznaczył świętego Alojzego na szczególnego patrona młodzieży.

BARTŁOMIEJA CAPITANIO.

Urodziła się w roku 1807, w wiosce Lovere, niedaleko Brescji w północnych Włoszech.

Zdolna i bystrego umysłu, uczyła się doskonale; pilnie opracowywała swe lekcje, odrabiała zadania, dbała o honor „dobrej uczennicy“. O nieposłuszeństwie wobec starszych nie miała nawet pojęcia.

Mimo tych zalet, było to dziecko nadzwyczaj trudne do prowadzenia. Od najpierwszych lat życia cechowała ją żywość niemal niepoohamowana. Poza obowiązkową pracą szkolną, której nie zaniedbywała nigdy, nie umiała usiedzieć spokojnie ani kwadransa. To biegała, to skakała, to się kręciła jak fryga, wszędzie jej było pełno. Żadna zabawa nie zdołała jej zadowolić na dłużej; jednej nie skończywszy, zaczynała drugą, i ta jej się wnet przykrzyła. A ciekawość!.. Rozmowy Bartusi ze starszymi bywały zawsze tylko szeregiem pytań, a języczek uwijał się jak szpulka u kołowrotka. Słowem, była to, jak się o takich dzieciach powiada, „prawdziwa iskra“.

Schodziła się z rówieśniczkami codzien, i wtedy naturalnie musiały bawić się tylko w takie gry, jakie ona wymyśliła.

Dzieci z takim usposobieniem, jak wam tu w kilku słowach przedstawiłem Bartłomieję, muszą nieustannie walczyć z sobą, i bardzo się namudzić, jeżeli im zależy na tem, by nie popaść w niezdolne wady. To też największem szczęściem dziewczynki było, że jej wychowanie dostało się w dobre ręce. Rodzice nie mieli dość wolnego czasu, by czuwać nad dzieckiem na każdym kroku; gdy więc Bartłomieję skończyła lat dwanaście, oddali ją do szkoły klasztornej w tej samej wsi, gdzie mieszkali. Tam przebyła cztery lata, przodując towarzyszkom w nauce i pocztwem sprawowaniu.

Bóg posłużył się dwiema napozór mało znaczącymi okolicznościami, by skierować myśli i pragnienia dziewczynki na drogę doskonałości duchowej. Było zwyczajem w klasztorze czytywać głośno pensjonarkom podczas obiadu i wieczerzy. Zakonnice wybierały na ten cel żywoty świętych, albo jakie pobożne legendy. Otóż, pewnego dnia przypadła kolej na żywot św. Alojzego Gonzagi. Już pierwsze słowa opowieści zajęły uwagę Bartłomiei, zapamiętała niemal wszystkie szczegóły, i rozmawiała o nich później z koleżankami. Rodzice dowiedziawszy się o tem, kupili dla niej książeczkę z żywotem św. Alojzego. Nie posiadała się z radości, czytała ją

niezliczone razy, aż się jej prawie napamięć nauczyła. Nosiła ją ciągle przy sobie, a rozpamiętywanie cnót młodzieńczego świętego wprawiało ją w zachwyty. Przełożona spytała ją raz, co najwięcej lubi w tej książce. „Wszystko, od początku do końca podoba mi się bardzo“ — odpowiedziała Bartłomieja. — „Kocham świętego Alojzego, i zdaje mi się, że ktoby chciał szczerze, mógłby naśladować jego cnoty, bo są miłe, pełne prostoty, a tak porywające duszę ku Bogu“.

Innym znów razem tak mówiła:

— Święty Alojzy to przecież patron młodzieży; Kościół go nam dał za opiekuna, tem samem obowiązani jesteśmy naśladować jego anielskie życie.

Nie były to czcze słowa. Bartłomieja zamieniła je w czyn. Zastanawiała się nad każdym swoim postępkiem, wszystko co robiła, mówiła, czy myślała, miało zawsze jeden cel, — zdobycie cnót św. Alojzego. Na pierwszym miejscu postawiła sobie przed oczyma jego niewinność, następnie jego umartwienie ciała.

Czytała w żywocie świętego, że ślubował Matce Bożej nie zawierać związków małżeńskich i wytrwać w niepokalanej czystości do śmierci. Takie postanowienie jest czynem wielkiej wagi, wymaga roztropności i doświadczenia; dlatego też nie godzi się, by nieletnie dzieci przyrzekały Bogu ofiarę, którejby może później nie były w stanie spełnić. Wystarczy pracować nad

sobą uczciwie, wykorzeniać swe wady, a nabywać cnoty. Pan Bóg mile patrzy na te usiłowania, i dopomaga dobrym dzieciom łaską uświęcającą. Wszelkie zaś wyższe dążenia mogą być tylko udziałem dusz wyjątkowych, a najwięksi nawet święci nie składali ciężkich ślubów bez porady i pozwolenia spowiednika. Tem bardziej się to odnosi do dzieci.

Tak też uczyniła Bartłomieja. Spytała swego ojca duchownego, czy może, biorąc za wzór św. Alojzego, ślubować Bogu czystość dozgonną. Spowiednik przeznaczył jej czas próby, zabraniając przysięgi; a gdy minął naznaczony przez niego termin, zgodził się na powtórna próbę i obiecał jej, że zezwoli na wieczyste śluby, jeżeli wytrwa w cnocie do lat szesnastu. Zaś do tego czasu ma postępować dalej śladami świętego Alojzego.

Bartłomieja czuwała surowo nad swemi myślami, zwracając je tylko do rzeczy szlachetnych; strzegła swego wzroku; z obawy przed zgorszeniem spuszczała najczęściej oczy ku ziemi; starała się mówić mało, a nie słuchać bezmyślnej gadaniny. Gdy koleżanki rozprawiwały szeroko i długo o sukienkach, o modach, przerywała im zřęcznie, i ani się spostrzegły, jak rozmowę skierowała ku przedmiotom pouczającym, albo świętym. Niezawsze jej się to udawało; próżne dziewczynki opierały się jej wpływowi, gawędziły dalej o strojach i wstążkach. Wtedy

upominała je łagodnie i serdecznie, prosiła, a wreszcie usuwała się od nich.

Zachowanie jej było zawsze spokojne; odzwyczaiła się wprędce od nadmiernej żywości w rozmowie i w ruchach, nie podnosiła zbyt głośno głosu, nie śmiała się hałaśliwie. Wcale jej to nie przeszkadzało w obcowaniu z towarzyszkami; owszem, bawiła się z niemi wesoło, dopomagała mniej zdolnym, kochali ją wszyscy w klasztorze, tak zakonnice jak koleżanki i służba.

W dalszem naśladowaniu cnót św. Alojzego postanowiła Bartłomieja umartwiać się w jedzeniu. Wiadoma to rzecz, że dzieci rosną szybko, z tej przyczyny natura daje im większy apetyt niż osobom dorosłym. Prawdziwie zdrowe dzieci są zawsze głodne.

Rodzice przysyłali często swej córeczce rozmaite owoce, konfitury, ciasteczka; Bartusia lubiła bardzo te dobre rzeczy; ale raz postanowiwszy wieść życie umartwione, dotrzymała słowa. Nie tykała sama wybornych przysmaków, tylko je dzieliła pomiędzy koleżanki, lub zanosila dzieciom ubogim. Gdy podawano przy obiedzie jej ulubione potrawy, dosypywała do nich umyślnie soli, pieprzu, aby uczynić je niesmacznymi; przeciwnie zaś zmuszała się do jedzenia pokarmów, które jej były wstrętne. Bardzo często doznawała z tego powodu wielkich przykrości. Spostrzegła to raz przełożona szkoły i wyrzucała jej niepotrzebne udręczanie siebie.

— Matko wielebna, proszę mi nie zabraniać tego małego umartwienia — odpowiedziała Bartłomieja pokornie. — Słyszałam, że dogadzanie podniebieniu zabija pobożność, a ja bym tak chciała być prawdziwie pobożną. Zresztą święty Alojzy jest mi i pod tym względem najmiłszym wzorem.

Przed każdym świętem Matki Boskiej zadawała sobie Bartłomieja rozmaite przykrości jako pokutę za grzechy. I tak np. modliła się długo, klęcząc bez oparcia, przy robocie siedziała umyślnie jak najniewygodniej, to znów kładła do trzewików małe kamyczki, które jej boleśnie zawadzały przy chodzeniu. Mając pragnienie, wstrzymywała się od picia.

Ale przedewszystkiem pracowała nad opanowaniem swej woli. Nie zadała sobie żadnego umartwienia, póki jej na to spowiednik nie pozwolił. Słuchała ślepo jego rozkazów, pełniąc je pokornie, bez wahania. Tak samo posłuszną była swym nauczycielkom na każde ich skinienie; starała się ich myśli zgadywać. Nie zaniedbywała przepisów klasztornej szkoły, ani jej przyszło do głowy wykręcać się od reguły, jak to nieraz robiły inne dziewczęta. Naprzykład, gdy zadzwoniono na godzinę milczenia, Bartłomieja przez cały ten czas nie wymówiła ani słówka. Choćby miała najpilniejszą robotę, rzucała ją, jeśli przełożona ¹ zała robić co innego. Z natury gwałtowna, skłonna do gniewu, jak jej ukochany

św. Alojzy, hamowała swą popędliwość całą siłą woli. Przychodziło jej to nieraz tak bardzo trudno, że walka wewnętrzna malowała się wyraźnie na jej twarzy.

Wielką także pokusą do złego były dla dziewczynki jej nadzwyczajne zdolności. Nauka przychodziła jej z łatwością, wypracowania jej były zawsze najlepsze, zasługiwała codziennie na pochwały. Jakże tu nie być dumną z siebie i zrozumiałą? Czuła to niebezpieczeństwo Bartłomieja i wzywała gorąco łaski Bożej na pomoc przeciw próżności. Upokarzała się często przed nauczycielką, oskarżała się o niedbalstwo, brak pilności, i prosiła o karę. To znów żądała od koleżanek, żeby ją upominały, gdy zrobi co złego, obwinała się na klęczkach, że nie jest dla nich dobrym przykładem. Nadzwyczaj rzadko, ale trafiało się czasem, że zasłużyła na nagane; wtedy nie tłumaczyła się, ani się starała uniewinnić, owszem dziękowała za połajanie i przyrzekała poprawę.

W ten to sposób przeczytanie żywota świętego młodzieńca przyczyniło się do udoskonalenia Bartłomieja.

Drugie zdarzenie, którego Bóg użył dla jej dobra, było następujące: Pewnego dnia w czasie rekreacji, gdy najmłodsze dziewczynki biegały po ogrodzie, dozorczyńni szkoły rozmawiała ze starszemi. Przyszło jej na myśl zadać pytanie:

— Słuchajcie dzieci, która z was chciałaby zostać świętą?

Nie zbywało malcom na dobrej woli, zakrzy-
czyły wszystkie chórem:

— Ja! Ja! Ja!

— Wszystkie?

— Wszystkie!

— Piękne to pragnienie, ale czy się spełni?
Nie pomoże chęć bez pracy. A jak się wam zdaje,
która zostanie świętą najpierwej?

Umilkły, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Wiecie, co zrobimy? — rzekła zakonni-
ca żartobliwie — zabawmy się w losowanie;
wezmę tyle ździebeł słomy, ile nas tu jest, bo
i ja chcę należeć do związku. Która wyciągnie
najdłuższą słomkę, ta zostanie świętą najpierwej.

Dzieci obstały nauczycielkę ciasnem ko-
łem i wrywały jej z rąk słomki nierówno po-
cięte, których pęczek przysłonięty chustką trzy-
mała. Gdy je zmierzono, pokazało się, że słomka
Bartusi była najdłuższa.

Chociaż to losowanie było tylko zabawą,
jednak serce świętej dziewczynki przepełniła
radość niewysłowiona; toż w ostatniej chwili od-
mówiła cichutko Zdrowaś Marja, aby za przy-
czyną Matki Boskiej, ona to właśnie mogła za-
służyć na niebo. I dobra Matka wysłuchiwała pro-
śby niewinnej duszyczki. Od tego dnia Bartło-
mieja zapalała jeszcze gorętszą miłością ku
Najśw. Pannie.

Opowiadała raz o tej pobożnej zabawie przyjaciółce, która się poświęciła wychowaniu dzieci, i radziła jej używać tego rodzaju niewinnych figlów dla zwracania serc i umysłów dziecięcych ku sprawom niebieskim.

— Wydaje się to mało znaczącem; — mówiła — a jednak, doświadczyłam sama, jak niezatarte wrażenie sprawiła na mem sercu ta długa słomka. Zapał do pracy nad udoskonaleniem własnem podwoił się od owej chwili.

Bartłomieja przeżyła sześć lat w klasztorze; cztery jako uczennica, a po zdaniu egzaminów pozostała jeszcze dwa, jako nauczycielka. Potem wróciła do rodzicielskiego domu.

Po niejakiś czasie otworzyła szkołkę dla dziewcząt; uczyła je i wychowywała w duchu naszej świętej religji. Lecz niedługo trwała ta piękna praca, zmarła w roku 1833, przeżywszy zaledwie lat 26.

Rodacy ze czcią wspominają imię błogosławionej Bartłomiei.

* * *

Choćbyś był najgrzeczniejszym, najpocziwszym, posłusznym i niewinnym jak aniołek, jeżeli się dostaniesz w złe towarzystwo, zepsujesz się niebawem, a twoje czyste serduszko utarza się w brudzie grzechu. Gdy zaś przebywasz z dobrze wychowanemi, bogobojnemi dziećmi, to i ty sam stajesz się codzień lepszym. Tak sa-

mo się dzieje i z czytaniem; jeżeli ci wpadnie w ręce jedna, druga nikczemna, gorsząca książka, ani się spostrzeżesz jak rzeczy złe, które w niej przeczytasz, wsiąkną do twojej niewinnej duszy, i nieraz doprowadzą cię do wielkiej obrazy boskiej. Dlatego zaklinam was, dzieci kochane, nie czytajcie z bezmyślnej głupiej ciekawości byle czego, ale zawsze wpierw spytajcie rodziców lub kogoś, kogo oni poważają, czy warto czytać tę lub ową książkę.

Jak to już we wstępie do tego dziełka powiedziałem, nie przyniesie wam korzyści pobieżne czytanie, lub połykanie książek takich naprzykład, jak niniejsza. Te powiastki z życia świętych, to nie historyjki pisane li tylko dla waszej zabawy, które raz przeczytawszy odłożycie gdzie na półkę i zapomnicie o nich; to pożywna strawa dla duszy, dobre przykłady do naśladowania.

CYRYL, MAŁY MĘCZENNIK.

Cyryl urodził się w Cezarei, stolicy Kapa-docji. Rodzice jego bogaci i poważani ludzie, żyli w pogańskiej ciemności, jak i cały świat w pierwszych wiekach po Chrystusie nie znał prawdziwej wiary. Dziecko zaś, cudem Bożym oświecone, garnęło się do chrześcijan. Czy go niania uczyła, czy który z niewolników służebnych, czy może nawet mały jaki towarzysz zabawy, niewiadomo; dość, że nie mając jeszcze lat dwunastu, Cyryl był już wyznawcą Boskiej prawdy, i całym sercem kochał Pana naszego Jezusa. Najświętsze Jego imię często bardzo miał na ustach i głośno w domu opowiadał, że jest chrześcijaninem. Ale rodzice mało zważali na jego mowy, biorąc je za dziecinne jakieś brednie. Tymczasem Cyryl aczkolwiek latami dziecko, serduszek miał dojrzałe i umysł roztropny. Najwyższem jego pragnieniem było rozszerzać między znajomymi cześć ukrzyżowanego Zbawiciela; a że słowa swoje popierał czynem, był posłuszny rozkazom starszych, uczynny dla każdego, mi-

łosierny, łagodny, pilny w nauce, przeto i starsi i młodszy lgnęli do niego; ktokolwiek go poznał, musiał go kochać. Jeden tylko człowiek odwracał od niego swe serce, a tym człowiekiem był rodzony ojciec. Anielskie dziecko, miłe wszystkim, musiało cierpieć od ojca prawdziwe prześladowanie; widocznie zatwardziała w zabobnach dusza poganina czuła wstręt do cnót chrześcijańskich. Bez najmniejszego powodu gniewał się na Cyryla, krzyczał nań, bił i innymi karami gnębił. A chłopczyk znosił tę niesprawiedliwość z niewysłowioną słodyczą; wiara dodawała mocy jego sercu. Im więcej go ojciec uciemniał, z tem większą cierpliwością przyjmował Cyryl lajania i raży, nie czuł żalu do niego, owszem kochał go mimo wszystko i okazywał mu zawsze pokorne przywiązanie. Ale szatan sprawił, że w miarę jak dziecko stawało się coraz lepsze, stary poganin utwierdzał się w swej złości. Słowa Cyryla, że jest chrześcijaninem, obłyły się niejednokrotnie o jego uszy, postanowił złamać stanowczość synka, choćby najokrutniejszymi środkami.

Pewnego dnia kazał niewolnikom zbić go różgami tak, że całe ciało krwią spłynęło. Przywołał go potem, i krzyżując pytał, czy wyrzeknie się swej głupiej wiary. Cyryl potrząsnął głową przecząco, bo zmęczony i pokaleczony nie miał siły mówić. Wtedy ojciec rozkazał go wyrzucić za bramę domu, wyrzekł się go i wydziedziczył.

Z pieszczonego spadkobiercy bogatych rodziców stał się Cyryl w jednej chwili żebrakiem-sierotą. Ale niedarmo ukochał nad wszystko Zbawiciela; Pan Jezus nie poskąpił mu pociechy. Łaską Bożą wsparty, chłopczyk czuł się wesół i szczęśliwy, nie martwiło go ubóstwo, bo większe, nieśmiertelne skarby nazywał swoją własnością.

Tak niesłychany wypadek, jak wyrzucenie syna z domu rodzicielskiego, poruszył całe miasto. Kto żył zdumiewał się nad niezłomną siłą duszy w tak młodym chłopcu. Chrześcijanie wielbili Boga, który w małym dziecku okazał wszechmoc Swoją, a poganie palali wściekłością, że właśnie tak małe dziecko waży się obrzucać wzgardą ich stare bogi.

Pretor, czyli sędzia, zawołał przed swe oblicze małego zbrodniarza, postanowił naprowadzić go na dobrą drogę łagodnym napomnieniem, a w razie nieposłuszeństwa groźbą chłosty.

— Upamiętaj się, biedne dziecko, — tak zaczął sędzia — spotkała cię od ojca bardzo ciężka ale zasłużona kara. Byłeś krnąbrny i uparty, nie dziwota, że cię obić kazał i precz napędził. Ale ja się za tobą wstawię, przeprosisz go pokornie, i znowu cię przyjmie do swojej łaski jako umiłowanego syna i dziedzica.

A Cyryl tak odpowiedział:

— Zapewniam was, panie, że mię niesłuszny gniew ojca nie trapi; Pan mój i Stwórca ko-

cha mnie bardziej od niego. Cieszę się, iżem jest wygnany z domu, bo piękniejsze mieszkanie gotuje mi w swych pałacach Zbawiciel Jezus Chrystus. Raduję się, że ubogi tu na ziemi, zato w niebie stokroć większe skarby mnie czekają.

— W mojej mocy podać cię na męki, a nawet śmiercią skarać! — srożąc się zawołał sędzia.

— Pan Jezus doda mi siły, — odparł Cyryl — śmierci się nie boję, przez wrota śmierci wejść do życia wiecznego.

Słowa te wypowiedziało dziecko z odwagą i spokojem. Tylko moc nadprzyrodzona, Boże natchnienie mogło go nauczyć takiej mowy. To też pretor stropił się wielce i przez chwilę nie wiedział co czynić. Wreszcie zawołał siepaczy, kazał chłopcu skrępować ręce sznurem i poprowadzić na stracenie. Głośno krzyczał, aby go spalono na stosie, lub ścięto mieczem. Ale to wszystko było tylko udaniem, na postrach; pocichu zaś szepnął swym sługom, by przygotowali ogień i miecz katowski, ale dziecku nie robili krzywdy.

Niewolnicy spełnili posłusznie rozkaz pański, ułożyli wysoki stos ze suchego drzewa i smolnych gałęzi, a jeden z nich porwał Cyryla za ramiona, jakoby go nań miał rzucić. Inny przyskoczył, grożąc mu biczowaniem, inny pokazywał mu widły żelazne, haki, obcegi. Dziecko patrzyło na katów spokojnie, niczem nieustraszone.

Tedy wysłali jednego z pośród siebie z zapytaniem do pretora, co im rozkaże czynić, gdy groźba mąk i śmierci na nic się zdała.

Sędzia znał dobrze rodziców Cyryla i jego samego bardzo lubił; trudno mu więc było paścić się nad niewinnem dzieckiem. Raz jeszcze chciał spróbować namową i znowu zawezwał malca przed siebie.

— Przekonałeś się już na własne oczy, jakie męki cię czekają za upór — rzekł do niego łagodnie. — Jedno moje skinienie, a życie postradasz. Zastanów się, ulituj się nad sobą, a ja już sam pomówię z twoim ojcem, powrócisz do domu i do dziedzictwa.

— O panie... — odpowiedział święty chłopczyk — teraz to dopiero boleść mi zadajesz. Napróżno stos mi pokazywano, napróżno kat miecz wyostrzył; dlaczego nie chcesz rozkazać aby mię stracono? Do domu ze mną pójdziesz. Wszak ci już mówiłem, że stokroć piękniejszy dom będzie mojem mieszkaniem, a małość dzieci Bożych przewyższa wszelkie dziedzictwa tego świata. Czemu się wahasz? Każ mię zabić co prędzej, abym poszedł do nieba.

Na te zuchwałe słowa sędzia stracił doreszty cierpliwość i wydał na Cyryla wyrok śmierci.

Tłumy ludu towarzyszyły małemu męczennikowi na plac za miastem, gdzie miał być ścięty. Wszyscy litowali się nad nim, wielu płakało.

— Żle czynicie płacząc — rzekł do otaczających — owszem, radujcie się i błogosławcie Pana. Miłuję Go, i całym sercem ufam, że mię przyjmie do wspaniałych przybytków wiecznej szczęśliwości. Ach pozwólcie mi oddać życie za moją świętą wiarę!

Z temi słowami na ustach podał ochotnie głowę pod miecz katowski. Cała Cezarea pałała uwielbieniem dla dwunastoletniego bohatera, a śmierć jego tak chwalebna pozyskała Chrystusowi Panu wielu nowych wyznawców.

* * *

Niebo to prawdziwa nasza ojczyzna. Życie ziemskie jest tylko próbą, tylko niedługą wędrówką. Czy będziemy godni, aby nas Bóg przyjął do tej upragnionej ojczyzny?

Pan Jezus zapytany raz przez pewnego młodzieńca, co ma czynić, aby być zbawionym, tak mu odpowiedział: „Jeśli chcesz wniknąć do żywota, chowaj przykazania“.

Niech każdy z nas zapyta swej duszy, czy miałby nadzieję dostać się do nieba, gdyby mu dziś umrzeć przyszło?

BŁOGOSŁAWIONA MARJA LATASTE.

Mała wioska Mimbaste w południowej Francji, jest miejscem urodzenia Marji. Rodzice jej nie odznaczali się ani bogactwem, ani wysokiem pochodzeniem; byli to prości wieśniacy, nieuczeni, ale pobożni, uczciwi i pracowici. Mieszkali na końcu wsi w małej zagrodzie, która nosiła nazwę „Pod starym dębem“. Nie mieli na kształcenie Marysi w mieście, we wsi szkoły nie było, matka więc uczyła córeczkę wszystkiego, co sama umiała, to znaczy: pacierza, katechizmu, czytać, pisać i trochę rachować. Przytem i do gospodarskich zajęć wprawiała Marysię zawczasu; kiedy inne dziewczynki ledwie umieją igłę w palcach utrzymać, Marysia już niezłe szyła i przędła na kołowrotku. Matka pilnowała ją bardzo, żeby nie trwoniła czasu na bezmyślne próżniactwo.

Najwięcej było kłopotu z nauką religji; Marysia nie lubiła katechizmu; przykrzyło jej się uczyć napamięć wszystkich prawd wiary, cnót, grzechów, sakramentów; żywa, nieposłuszna,

uparta, wykręcała się od tej trudnej lekcji jak mogła. Starsza siostra pomagała jej, tłumaczyła, zachęcała; czasem się udało zatrzymać roztrzępaną dziewczynkę przy książce, ale codzień prawie trzeba było szukać jej po wszystkich kątach i napędzać do nauki. Przytem jeszcze martwiła matkę zuchwalstwem, uporem i nieposłuszeństwem; słowem, było to dziecko bardzo trudne do prowadzenia.

Pani Lataste nieraz już sił brakło, zwątpienie ją ogarniało; ale modliła się gorąco, wzywając Boskiej pomocy. I Pan Bóg dopomógł. Ale nie stało się to w sposób widoczny, owszem, początek odmiany w życiu Marji miał źródło w grzesznej pobudce. Sama opowiada o tem w jednym z listów do swego proboszcza, pisanych w kilkanaście lat później: „Małem dzieckiem będąc, wyobrażałam sobie, że mi się wcale inne życie i otoczenie należy niż to, w którem się z woli Bożej znajdowałam. Stanowisko córki niezamożnych rodziców, przebywanie w lichej wioszczynie, ciche i jednostajne dni, miesiące, lata, wszystko to wydawało mi się jakby krzywdą. Tęskniłam za czemś większem, lepszem. Marzyłam, co za wspaniała przyszłość przypadłaby mi w udziale, gdybym miała rodziców bogatych i znakomitych. Posiadłabym wysokie wykształcenie i mogłabym zajaśnieć w świecie. Gdy mi się zdarzyło spotykać ludzi tak od losu obdarowanych, zazdrościłam im

z całej duszy i smuciłam się, że nigdy taką nie będę. Kryłam się jednak z temi myślami; nikt z bliskich nie mógł odgadnąć, co za gorycz i bunt zalewały mi serce. Cierpiałam bardzo, bo widziałam, że moje pragnienia nie ziszczą się nigdy“.

Jakkolwiek Marja nie zdradziła przed nikim treści swych smutnych rozmyślań, to jednak matka i siostra widziały jej przygnębienie. Modliły się obie za nią i podwoiły serdeczną troskliwość.

W dwunastym roku życia podobało się Bogu uleczyć ją z tej ciężkiej choroby duszy. Lekarstwem była pierwsza Komunja św. Bliskość tego ważnego dnia w życiu, sprawiła głębokie wrażenie na Marysi; z wielką czcią dla Najśw. Sakramentu przygotowywała się do spowiedzi i komunji. Teraz już nie uciekała od lekcyj religji, owszem, uczyła się najchętniej katechizmu i prosiła matkę o wytłumaczenie, gdy czego nie mogła zrozumieć. Tem samym zaczęła się zastanawiać nad sobą, poznała swoje wady i postanowiła szczerze pracować nad wykorzeniem złego. Stała się uległą, pilną i pobożną.

Gdy po raz pierwszy w życiu przyjęła Zbawiciela do swego serca, zapalała niewypowiedzianą radością i powtarzała ciągle:

— O jakże błogo łączyć się z Panem Jezusem! Jak słodko posiadać Go w swem sercu!

Matka odrzekła jej na to:

— Spodziewam się, że postarasz się z całych sił zasłużyć na łaskę częstej Komunii świętej.

— O mamoo... — odpowiedziała Marysia — zobaczycie, jak się od dzisiejszego dnia poprawię!

I dotrzymała słowa. Pomoc Ducha Św. zaznaczyła teraz jeszcze wyraźniej zwrot jej ku lepszemu. Rodzice i siostra zdumiewali się, jak z nieznośnego, przykrego dla wszystkich dziecka zrobiła się dziewczynka łagodna, usłużna, pracowita i zawsze mile uśmiechnięta, a nie nadąsana jak dawniej.

Raz obudzona szlachetna dusza Marji rzuciła jasne promienie ku niebu i ku bliźnim.

Za dobre sprawowanie się, za pilność w nauce, dawała jej czasem matka parę groszy na ciastka; ojciec także przeznaczył jej małą miesięczną pensję na drobne sprawunki. Dziewczynka nie wydawała tych pieniędzy na niepotrzebne łakocie, tylko chowała oszczędnie do woreczka. Pewnego dnia, gdy wracała z matką z kościoła do domu, stary żebrak zaszedł im drogę i prosił o jałmużnę. Pani Lataste nie miała przy sobie pieniędzy i przykro jej było, że musi odprawić ubogiego z niczem. Ale Marysia dobyła swój woreczek z kieszeni i podała go matce z uszczęśliwioną minką.

— Niech mamusia da dziadkowi z moich pieniędzy. Jeszcze dosyć dla mnie zostanie.

— Jakże zrobię? — odpowiedziała matka — kiedy niema drobnych, tylko srebrniaczki. Zresztą daj mu sama, ile zechcesz.

Dziewczynka wsunęła żebrakowi w rękę pół franka mówiąc:

— Pomódlcie się za mnie, żebym się jak najprędzej poprawiła.

Poczem dogoniła matkę i zawołała z radością:

— Wiecie, mamusiu, już teraz na pewno będę dobrą, bo dziadek powiedział: „niech ci Bóg stokrotnie zapłaci“. A przytem prosiłam go, żeby się modlił na moją intencję.

Różnaitemi sposobami pełniła Marja obowiązki swe względem bliźnich. Jedną z jej najmilszych rozrywek było gromadzić dokoła siebie młodsze dzieci, które jeszcze nie chodziły do szkoły, i uczyć je najważniejszych prawd naszej wiary. Umiała robić te lekcje tak przystępnymi i zrozumiałymi, tak przytem zabawiała swoich małych uczniów, że gromadka powiększała się z każdym niemal dniem. Dzieci lgnęły do młodej nauczycielki i łatwo zachowywały w pamięci to, co im tłumaczyła. Jeden tylko był chłopczyk pomiędzy nimi tępego pojęcia, i ten niczego się nie mógł nauczyć, mimo że Marysia najwięcej nad nim pracowała. Po upływie roku tyle właśnie umiał, co przed rokiem, co znaczy, że tak samo nic nie umiał. Zaledwie potrafił wyjąkać Ojczy nasz i Zdrowaś.

— Skąd ty dobierasz cierpliwości z tym nieukiem, Marysiu! — rzekła do niej matka pewnego dnia. — Nie męcz się, bo niczego go nie nauczysz.

— O mammo — odpowiedziała dziewczynka — wyście też mieli niemało utrapienia ze mną; ja nawet gorsza byłam daleko, bo nie chciałam się uczyć, a on biedaczek radby z całego serca, tylko ma takie ciężkie zrozumienie. Nic to, nie będę się zrażała, owszem, cieszę się, że odpokutuję choć trochę za mój upór i złą wolę. Zobaczycie, mamusiu, że mi Pan Jezus dopomoże, nauczę Piotrusia katechizmu. A co to będzie za uciecha jeśli go doprowadzę do świętej Komunii! Wtedy musi pomodlić się za mnie!

Pewnej niedzieli po południu szła Marysia na nieszpory i spotkała dwie znajome dziewczynki w przedsionku kościelnym. Rozmawiały głośno, a chichotały się jeszcze głośniej. Zasmuciło ją bardzo takie nieposzanowanie Domu Bożego, ale nim zebrała myśli, żeby im powiedzieć jakieś rozsądne słowo, już pobiegły w ulicę podskakując.

W kilka dni później spotkała znowu jedną z tych dziewcząt; i tak się do niej odezwała:

— Pamiętasz, Józiu, jakieśmy razem przystępowały do pierwszej Komunii św.? Ja bardzo często o tem sobie wspominam i bardzo cię lubię.

— O i ja ciebie kocham — odpowiedziała tamta.

— W dowód przyjaźni chciałabym... ale boję się, że fałszywie zrozumiesz moje słowa i po gniewasz się na mnie.

— Ja na ciebie? Nigdy w świecie. O cóż ci chodzi?

— Mam ci coś powiedzieć...

— Co takiego? Nie bójże się!

— Czy przypominasz sobie, gdzieśmy się widziały przeszłej niedzieli?

— Przed kościołem; albo co?

— Przed kościołem; — powtórzyła Marysia łagodnie — zdaje mi się, że... zachowanie się wasze...

— Było bardzo naganne! — wpadając jej w mowę zawołała przyjaciółka. — Stałyśmy się przyczyną zgorzenia, dałyśmy młodszym dziewczętom zły przykład, słusznie mi zwracasz uwagę. Dziękuję ci i przepraszam.

— O nie, moja droga, nie mnie obraziłaś, nie ja mam prawo gniewać się na ciebie. Pan Jezus się gniewa, pójdźmy Go przeprosić, dobrze?

Poszły razem do kościoła i ukłękły przed ołtarzem.

Miłość bliźniego objawiała się u Marji wielką słodyczą w obcowaniu z ludźmi i niezmierną wyrozumiałością na ich błędy. W sąsiedniej wiosce zachorował pewien gospodarz, znajomy La-

tastów. Powszechnie było wiadomo, że człowiek ten zaniedbywał obowiązki nakazane przez religję, nie chodził do kościoła i od wielu, wielu lat się nie spowiadał. Przechodząc ścieżką przez pole, usłyszała Marysia urywek rozmowy między żniwiarzami:

— Bezbożnik, niedowiarek, zakała wsi... — mówił jeden z parobków.

— Przyszło mu teraz na koniec! — szyderczo zaśmiał się drugi.

— Ano, jakie życie, taka śmierć — wtrąciła swoje któraś z kobiet. — Niczem ten kamień, co się stacza w przepaść, tak on spadnie do piekła; a jakże.

— Ach nie! proszę was, nie mówcie takich okropnych rzeczy! — zawołała Marysia, stając wśród nich. — Kto z nas ma prawo sądzić tego biedaka? Może go nikt w młodości nie uczył, może miał złe przykłady w domu; gdyby mu Bóg użył takich łask, jakie niejedna z nas lekceważy, może byłby daleko lepszym od nas. Zamiast go potępiać, uzalmy się nad nim; przyrzeknijmy wszyscy, jak tu stoimy, że pomodlimy się codzień na jego intencję: „Pomnij o najlitościwsza Panno“, zgadzacie się? Gdy wszyscy będziemy prosili, Matka Boska nie może nam odmówić i nawróci go.

Usłuchali tej pocziwej rady i rzeczywiście w kilka dni później człowiek ów przyjął ostatnie święte sakramenta z wielką skruchą.

Łaska Boża działała w duszy Marji i rozja-
rzała coraz mocniej słaby z początku płomyk
dobrej woli i cnotliwych popędów. Doświadczała
cierpień, smutków, pokus, ale równocześnie do-
dawał jej Pan Jezus coraz więcej siły do zwal-
czania złego, a utwierdzania się w dobrem. Przy-
toczę znowu wyjątek z listu do tego samego
księdza, o którym wyżej wspominałem.

„Gdy zaczęłam czternasty rok, przychodziły
na mnie często niepokoje i obawy. Niemal bezu-
stanne pokusy przeciw skromności dręczyły
mnie. Duszę moją przepelniał smutek, czułam się
zmęczoną i słabą. Szukałam pociechy w modli-
twie, a znajdowałam oschłość. Ani matka nie
mogła mi pomóc; martwiła się razem ze mną,
choć nie wyjawiałam jej co mi dolega. Te ciężkie
i upokarzające próby zsyłał na mnie Pan Bóg,
aby mi dać poznać niebezpieczeństwo życia
w świecie, aby mię zmusić do walczenia z sobą.
Ale bronią moją przeciw podszeptom złego du-
cha było gorące ukochanie dziewiczej niewinno-
ści; bałam się utracić ją i strzegłam jak najmil-
szego skarbu. To bojowanie z pokusami trwało
długo, ale i troska o zachowanie czystości wzra-
stała i coraz mi dodawała sił ku zwyciężaniu
złych myśli. Wreszcie na wielkie moje prośby
zgodził się spowiednik, bym ślubowała Najśw.
Marji Pannie zachowanie czystości duszy i ciała
przez jeden rok. Od tego dnia ustąpiły pokusy
i uspokoiłam się. Ale cóż... jedno złe minęło, za-

częło się inne. W roku 1839 skończyłam lat 17; wtedy to rozliczne złe skłonności zbudziły się w mojej duszy; miałam wrażenie, że straszny nieprzyjaciel wyzywa mię do walki na śmierć i życie. Pycha mych lat dziecięcych podniosła znów głowę, nieraz wydawało się, że mię opakuje zupełnie. Gniew zalewał mi serce o lada drobnostkę; byłam ciągle rozdrażniona i łatwo obraźliwa. Nie dostrzegałam własnych ułomności, a na cudze, choćby najbłahsze miałam bystre oko i surowy sąd. Ach co to za męka takie życie! Uciekałam z domu i biegłam szukać pomocy u Pana Jezusa. Przystępowałam co miesiąc do Komunii św., Zbawiciel ratował mnie, uspokajał, tylko w kościele, przed Przenajśw. Sakramentem doznawałam ulgi. I teraz, najmilszy mój spoczynek, jedyne wytchnienie tam tylko znajduję; tam ogarnia mię radość, której opisać nie zdołam. Pan Jezus utajony w tabernakulum broni mię przed czartem, światem, przed grzesznymi myślami, jest mi pociechą w cierpieniu, sprzymierzeńcem w walce, rajem na ziemi, moim Bogiem, mojem wszystkim, mojem zbawieniem“.

Te gorące modlitwy, ta ufność niezachwiana, zjednały błogosławionej dziewicy zdroje łask; nieraz oczom jej duszy ukazywał się Chrystus Pan wyraźnie, przemawiał do niej, nauczał jak ma się modlić, rozmyślać, jak postępować, aby Mu być wierną i miłą służebnicą. Posłuszna wewnętrznemu głosowi wstąpiła do zakonu Najśw.

Serca Jezusowego i tam zmarła, przeżywszy lat dwadzieścia pięć, w roku 1847, młoda wiekiem, ale dojrzała dla nieba.

* * *

Co nam trzeba zapamiętać przeczytawszy to opowiadanie? Oto, że Marja wybłagała moc duszy i broń przeciw grzesznym popędom jedynie przez wielkie nabożeństwo do Najśw. Sakramentu. Czyń i ty tak samo, jeżeli serdecznie chcesz wyrosnąć na uczciwego człowieka, miłego Bogu i ojczyźnie.

Czytałem raz bardzo piękne zdanie, przyda się, abym je tu przytoczył: Zdała od Boga zamiera i ginie dusza człowieka, tak samo jak ginie i zamiera wszelka roślina w zimie, gdzie słońce jej nie ogrzewa. W ciepłe słonecznem wznoszą się krzewy, rozwijają się kwiaty, a w promieniach łaski żyje prawdziwym życiem człowiek. Im bardziej się zbliża do Boga, tem doskonalszym się staje.

Nie zapominaj o tem, kochaj Pana Jezusa; niech bojaźń Boża zamieszka w twem serduszk, wtedy nie obrazisz Boga nigdy dobrowolnie, a On cię uzna za swe posłuszne, dobre dziecko i także cię kochać będzie. Lecz, gdyby niestety grzech opanował to słabe, młode serce, wszystko dobre skrzepłoby jak mrozem ścięte, stałbyś się złem, nieszczęśliwym dzieckiem. Jeżeli tedy przychodzą takie chwile, że cię coś kusi i jakby przemo-

cą ciągnie do grzechu, bądź pewny, że to zły duch stoi u drzwi twej duszy i domaga się dostać do jej wnętrza koniecznie. O nie otwieraj mu! Nie poddawaj twierdzy nieprzyjacielowi, ale walcz z nim najlepszą bronią — modlitwą. Przeżegnaj się i mów: „O najdroższe Dzieciątko Jezus... nie dopuść abym Cię obraził! Strzeż mię, odpędź pokusę, ja Cię tak pragnę kochać i zawsze być dobrym! Potem staraj się myśleć o czem innem, zaśpiewaj jaką ładną piosenkę; ale najlepiej zrobisz, gdy pobiegiesz zaraz do kościoła, jeżeli jest w pobliżu. Tam padnij na kolana przed Najśw. Sakramentem, tam znajdziesz ratunek i opiekę.

ŚWIĘTY MARCIN.

Jednym z najbardziej czczonych przez Kościół katolicki mężów jest św. Marcin. Życie jego, to wzór niedościgły bogobojności, miłości bliźniego w słowie i w czynie. Bóg odznaczył wiernego sługę swego darem czynienia cudów. Opisał ten żywot serdeczny jego przyjaciel Sulpicjusz. Przy końcu dzieła tak się wyraża: „Marcin był tak wielkim, że mowa ludzka nie zdoła przedstawić godnie doskonałości jego. Nie było godziny w dniu, w którejby się nie wznosił ku niebu modlitwą, lub czytaniem ksiąg pobożnych. Nie zdarzyło się nigdy, by kogokolwiek ze swych bliźnich potępił; ani mu przyszło na myśl szukać pomsty za krzywdę sobie wyrządzoną. Był tak cierpliwym, że znosił z łagodnością obrazę nawet i wtedy, gdy jemu, kapłanowi, najpośledniejszy ze służby ubliżał. Miłował swych nieprzyjaciół i dopomagał im w potrzebie. Nie widziano go nigdy wzburzonem, ani rozgniewanym, nigdy nad miarę wesołym lub smutnym, a oblicze jego jaśniało zawsze niebiańska pogodą. Często

plakał z litości nad ludźmi, którzy go oczerniali fałszywie“.

Marcin urodził się w Sabarji, r. P. 316. Było to miasto rzymskie w dzisiejszych Węgrzech; prawdopodobnie znajdowało się ono w tej samej okolicy, a może i w tem samym miejscu, gdzie dziś leży miasto Sant Marton (św. Marcin). Tuż za niem wznosi się góra zwana Świętą, ze szczytu której można widzieć wielki szmat kraju, około 200 wsj i miasteczek.

Urodził się z pogańskich rodziców; ojciec jego był jednym z wodzów wojska cesarskiego. W parę lat po przyjściu na świat syna poszedł ze swym oddziałem do Italji, do miasta Pawji, niedaleko Medjolanu. Tam wzrastał mały Marcin pod okiem zacnej, ale pogańskiej matki. Opatrzność jednak przeznaczała go do wielkich celów; nic więc dziwnego, że już w dzieciennym wieku był pod szczególniejszą opieką Bożą. Dowiedziawszy się od kogoś o miejscu zgromadzeń chrześcijan, poszedł raz z pustej ciekawości zobaczyć i posłuchać, co się tam dzieje. Ujrzał ludzi modlących się z gorącością ducha, ujrzał miłość bratnią, usłyszał słowo Boże. Wszystko to sprawiło silne wrażenie na młodem, niezepsutem sercu. Od tego czasu nawiedzał często ów dom modlitwy, a po niejakiem czasie prosił przełożonego chrześcijańskiej gminy, by go przyjął pomiędzy swoich uczniów. Prośba jego została wysłucha-

ną; kapłan pobłogosławił go i zrobił mu na czole znak krzyża.

Dwa lata już trwała nauka świętej wiary. W tym czasie usłyszał Marcin opowiadanie o świątobliwych mężach, co uciekały od świata na pustynię i tam wiedli życie umartwione, oddani rozmyślaniu i pokucie. Takim był wówczas Hilarjon w Ziemi Świętej. Ten także z urodzenia poganin, wcześniej poznał prawdę i już w piętnastym roku życia został pustelnikiem. Słyszając o Hilarjonie, Marcin zapragnął go naśladować, ale miał dopiero lat dwanaście, i wytłumaczono mu, że za słabe jeszcze jego siły, aby mógł wieść tak surowy żywot. Pozostał więc nadal w domu rodzicielskim, skromny, cichy, stroniąc od rozrywek.

Alisci cesarz rzymski wydał dekret, by synowie wojowników ćwiczeni byli w sztuce rycerskiej i oddawani do legionów. Może ten rozkaz cesarski niekażdemu był miły, ale ojciec Marcina poddał mu się ochętnie, albowiem nieprzychylnem okiem patrzył na postępowanie syna, nienawidził nowej wiary i ufał, że w służbie wojskowej tyle będzie miał wrażeń i pracy, że o niepotrzebnych mrzonkach prędko zapomni. Wprawdzie w owym rozporządzeniu zaznaczone było wyraźnie, że młodzieńcy zdadni do wojska musieli mieć skończonych lat siedemnaście, ale ojciec Marcina, jako jeden z wodzów łatwo przeprowadził swoją wolę i sprawił, że piętnastolet-

niego chłopca przyjęto. Że zaś sam służył w konnicy, więc i Marcina do jazdy zapisał.

Synowi tak znakomitego rodu należała się liczna służba, ale Marcin wybrał sobie tylko jednego żołnierza do posług i obchodził się z nim łagodnie a serdecznie, jakby z rodzonym bratem. Zdarzało się, że ćwicząc się w pokorze, sam zdejmował swemu słudze z nóg obuwie i czyścił je. Kazał mu jadać przy jednym stole ze sobą, i często mu sam podawał potrawy. Młody ten żołnierz był sierotą i nie znał innej rodziny prócz towarzyszy broni; pokochał też dobrego pana całą duszą.

Marcin nie otrzymał był jeszcze chrztu św., gdy wstąpił do wojska; mimo to życie jego świeciło przykładem cnót najpiękniejszych. Zmuszony obcować z rozpustnymi żołdakami, zachował niewinność duszy anielską; tak był skromny w mowie, umiarkowany w jedzeniu i picciu, że nawet poganie podziwiali go i uznawali jego wyższość nad sobą. Ubogich i chorych wspierał jałmużną, nawiedzał, pocieszał, oddawał im prawie wszystko swój żołd.

Zaraz w początkach służby Marcin został wysłany z częścią armji do Galji czyli do dzisiejszej Francji. Stanęli w mieście Amiens. Pewnego dnia kilkunastu żołnierzy, a z nimi i Marcin, wyjeżdżało z rozkazami starszyny za miasto do innego legjonu. Zima była ciężka, ostry wiatr dął z północy, opowiadano ze zgrozą, że

wielu ludzi na śmierć zmarzło. Pod bramą miejską stał żebrak prawie nagi, skostniały od mrozu i błagał o litość. Wszyscy żołnierze minęli go obojętnie, jeden Marcin zatrzymał się, zdjęty litością. Niestety nie miał przy sobie ani denara, gdyż jak zwykle rozdał był całą swą miesięczną pensję ubogim. Patrzył na drżącego z zimna biedaka i serce mu się krajało od żalu. Co zrobić? Niepodobna zostawić nędzarza bez pomocy na śmierć niechybną.

Rzymscy żołnierze nosili szerokie płaszcze zeszyte z dwóch kawałów sukna, w które można się było owinać od stóp do głowy w razie chłodu. Nie namyślając się długo, zdjął Marcin płaszcz ze siebie i przeciął go mieczem na dwie połowy; jedną otulił przeziębłego żebraka, drugą sam się owinał jako tako. Spostrzegłszy to niektórzy z kolegów, wyśmiewali się zeń i szydzili z rozciętej płachty; inni, szlachetniej myślący, wstydzili się w duszy swego braku litości.

Zajechali przed gospodę, gdzie im przeznaczono popas i zjadłszy wieczerzę pokładli się spać. I śniło się Marcinowi, że widzi przed sobą Jezusa Chrystusa, otoczonego nieprzeliczonemi zastępami aniołów. Odziany był w połowę żołnierskiego płaszcza, którą młody rycerz darował był przed godziną żebrakowi. Przemówił Pan do anielskiej rzeszy: „Patrzcie jako mię okrył litośnie ów, który uczy się dopiero prawdy, a nie jest jeszcze chrześcijaninem“.



ŚW. MARCIN.

Kwiaty bożego ogrodu.)

FOTODRUKIWA DRUKARNI NIEŚWIĘCIE
PR. WYDZIAŁA W. POLSKIEGO

W długie lata później zbudowano kościół na miejscu, gdzie św. Marcin miał to widzenie. Pamięć czynu miłosierdzia przechowuje się do dziś dnia między ludem, i choć z biegiem czasu świątynia rozpadła się w gruzy, mieszkańcy Amiens pokazują plac, na którym stała.

To święte zjawisko spotęgowało w duszy Marcina pragnienie chrztu. Doprowadził swój zamiar do skutku w ośmnastym roku życia; wtedy zrozumiał, że niepodobna mu będzie pozostać dłużej w legionie, głównie dla tej przyczyny, że wojska cesarskie miały nakaz obchodzić wspólnie wszystkie święta pogańskie, a grzechem byłoby dla chrześcijanina uczestniczyć w tych uroczystościach. Zdarzało się, że za odmówienie pokłonu bożkom srogie kary spotykały opornych żołnierzy, bywały nawet wypadki, że zaciekli w pogaństwie dowódcy skazywali na śmierć nieposłusznych, pomimo że krwawe prześladowania chrześcijan dawno się już skończyły. Rozważając to wszystko, Marcin postanowił wystąpić z wojska.

A właśnie gdy to chciał uczynić, nadszedł do armji rozkaz cesarski wyruszenia w bój przeciw Germanom. Wojsko doszło na miejsce, gdzie dziś leży miasto Wormacja; starszyzna kazała przystępować rotom i wypłacała żołd. Według zwyczaju wywoływano żołnierzy po nazwisku. Gdy przyszła kolej na Marcina, skorzystał z tej

sposobnej chwili i prosił o zwolnienie go od służby.

— Nie wstydzisz się stawać przede mną z takim żądaniem? — krzyknął wódz oburzony. — Podłym tchórzem jest, kto ucieka z pola w przededniu walki.

Marcin odpowiedział spokojnie, patrząc wodzowi w oczy.

— Na dowód, że bojaźni w sercu nie mam i nie strach mną powoduje, proszę cię, panie, jak o łaskę, postaw mię jutro w pierwszym szeregu; pójdę na nieprzyjaciela z imieniem Jezus na ustach, bez żadnej innej broni prócz znaku krzyża św.

— Dobrze, stanie się jako chcesz; biorę cię za słowo — rzekł wódz.

Zaprowadzono młodzieńca do więzienia, a nazajutrz miał iść na czele swej rotacji bezbronny przeciw mieczom wroga. Lecz inne były zamiary Boże: zanim bój rozpoczęto, Germanowie przysłali gońca, prosząc o pokój. Tedy otrzymał Marcin uwolnienie.

Udał się niezwłocznie do świątobliwego biskupa Hilarego i pod jego kierunkiem kształcił się długie miesiące w nauce naszej świętej religji. Umocniony na duchu, z błogosławieństwem biskupa wrócił do rodzicielskiego domu. Za łaską Bożą nawrócił do chrześcijaństwa ukochaną matkę, ojciec niestety pozostał zatwardziałym poganinem do śmierci.

Lata mijaly, Marcin wyjechał znowu do Galji, został biskupem w Tours i tam umarł w dniu 8 listopada r. 397, dożywszy 81 lat.

* * *

Niema na świecie człowieka, któryby nie mógł dawać jałmużny. Czyż to koniecznie trzeba pieniędzmi wspomagać ubogich? Małem dzieckiem jesteś, może nie masz ani grosika w kieszeni, to nic nie szkodzi; oddaj biednemu połowę swojej bułeczki; nie możesz dać ciepłej sukienki, daj serdeczne słowo; pociesz smutnego, użal się nad nim, popatrz nań ze współczuciem; powiedz mu, że bardzo szczerze chciałbyś ulżyć jego niedoli, ale sam nic nie masz. Czasem kilka słów, z serca płynących, więcej dobrego zrobi, niż pieniądze. A ile razy spotkasz ubogiego, pomyśl sobie, że pod postacią żebraka Pan Jezus staje przed tobą. Okaż litość nieszczęśliwemu, naśluduj św. Marcina.

ŚWIĘTA RÓŻA Z LIMY.

Dziecięce lata Róży; bojaźń boża, miłość boża.

W roku 1586, w dzień św. dziewicy Agnieszki de Montepulciano, w mieście Limie stolicy Peru (Południowa Ameryka), przyszła na świat dziecinka. Rodzice jej byli hiszpańskiego pochodzenia. Na chrzciny obrano dzień Zielonych Świątek, czyli, jak je tamtejszy lud nazywa, R ó ż a n a Wielka noc. Na cześć babuni dano dziecku imię Elżbiety, czyli po hiszpańsku Izabelli.

Pewnego dnia, gdy dziewczynkę wyniesiono z kołyską do ogrodu, matka spostrzegła, że ślicznie rozkwitła róża zwisa tuż nad główką jej córeczki. Pomyślała sobie wtedy: „Kto wie, może to znak z nieba, może moje dziecko będzie kiedyś takim kwiatem pięknym, rosnącym na chwałę Bógu, a na pociechę ludziom“, i od tego dnia nie chciała nazywać jej inaczej, tylko Różą.

Różyczka była wyjątkowo miluchnem dzieciątkiem: już od pierwszych miesięcy życia okazywała się zupełnie inną niż wszystkie niemowlęta. Lada drobnostką można ją było zabawić, nie

plakała, ani krzyczała co chwila, jak się to zwykle zdarza u dzieci, wogóle mało sprawiała kłopotu matce i służącym; a kto na nią spojrzał, musiał ją polubić.

Pierwsza świadoma myśl o Bogu zabłysła w jej duszy bardzo wczesnie i z przyczyny prostej, a jednak w swych skutkach zadziwiającej. Pięcioletnia Róża bawiła się razem z dziećmi sąsiadów i ze swym starszym bratem na podwórzu. Deszcz padał poprzedniego dnia, kałuże nie wyschły jeszcze, a że dzieci biegały i wyskakiwały, któreś obryzgało niechcący błotem śliczne włoski Róży. Zasmuciła się tem, bo wielce dbała o czystość i porządek; więc usunęła się na bok, aby się drugi raz nie powalać. Braciszek myślał, że się dąsa, pobiegł więc za nią i przybierając poważną minę, powiedział jej kazanie.

— Siostrzyczko, siostrzyczko... zali to wielka obraza, że trochę błota padło na twoje włosy? Trzeba ci wiedzieć, że włosy dziewcząt to sidła, w które szatan łowi dusze młodzieńców dla piekła. Tak bardzo lubisz swoje włoski? Ale Panu Bogu pewno się one nie podobają, kiedy zezwolił na to, aby się zbrukały.

Te słowa żartem wypowiedziane, padły w duszę dziecka jak kamień. Pierwszy raz, jakby we mgle niewyraźnej, ukazał się jej oczom grzech. Kto źle robi, obraża Boga, idzie w służbę czarta i ginie w piekle. Serduszko jej ścisnęło się wielką trwogą przed tem piekłem, o którym brat

jej wspominał. Pobiegła do domu, powtarzając ci-chutko.

— O Jezu bądź pochwalony! Nie opuszczaj mnie! O Jezu ratuj mnie! Poczem chwyciła no-życzki i obcięła sobie włosy.

Od tego dnia, mimo że tak bardzo jeszcze małeńka, strzegła się próżności jak ognia, unikała wszystkiego, czem mogła zwrócić uwagę ludzi na siebie, i być im albo sobie samej powodem do grzechu. A tu właśnie matka jej, kobieta pospolita, niewykształcona i światowa, koniecznie chciała pysznić się przed całym miastem niezwykłą urodą swej córeczki. Chciała tę piękność jeszcze podnieść różnemi sztuczkami tualetowemi, nie żałowała na świecidełka, sukienki, byle dziewczynka wyglądała jak najładniej.

Pewnego razu, gdy poszły w odwiedziny do znajomych, spostrzegła na stole wieniec ze świe-żych kwiatów; a wiedząc jak Różyczce we wszystkim ładnie, kazała jej się ustroić w ten wianuszek. Ale pokorne dziecko wymawiało się jak mogło i prosiło matkę, by mu oszczędziła tych popisów. Na nic się zdały prośby, wkońcu Róża musiała włożyć wieniec na głowę. Uległa, ale przygniotła sobie umyślnie skronie, żeby przynaj-mniej bólem ukarać się za ten czyn próżności.

Innym razem powyjmowała matka z szuflad paciorki, łańcuszki, bransolety i kazała Róży przy-stroić się w to wszystko; chciała jej utrefić włosy a twarzyczkę ubielić i wyróżzować. Przerażona

dziewczynka błagała ze łzami, aby mogła pobiec przynajmniej do kościoła, zapytać spowiednika o pozwolenie. Wkrótce wróciła razem z księdzem, który przedstawił matce poważnemi słowy, jak źle robi, zmuszając pobożne dziecko do rzeczy tak niepotrzebnych, a nawet szkodliwych, jak zbytne stroje. Na szczęście potrafił ją przekonać, i od tego dnia nigdy już nie namawiała Róży do próżności. Owszem ustąpiła jej gorącym prośbom i sprawiała jej bardzo skromne sukienki, nie zwracające uwagi ani barwą, ani krojem. A o to właśnie Róży chodziło, by nikt na nią nie patrzył.

Czuła niezmierny wstręt do grzechu, o czem wszyscy w domu wiedzieli; to też wystrzegano się wymówić przy niej chociażby jedno niepocziwe słowo. Czasem rodzeństwo jej przynosiło do domu piosenki nieobyczajne albo jakieś brzydkie żarty; gdy to przypadkiem posłyszała, biegła do matki i padała na kolana płacząc, że się dzieje obraza Boska. A gdy była świadkiem jakiego złego uczynku i nie mogła mu przeszkodzić, zalewała się gorzkimi łzami. Brzydziła się fałszem do najwyższego stopnia i tak mawiała: „Choćbym pozyskała całą ziemię, albo nawet całe niebo za cenę kłamstwa, nie skłamię, bo Bóg jest prawdą”. — Gdy słyszała kogoś mówiącego kłamliwie, odzywała się delikatnie, ale stanowczo: „Przepraszam, rzecz się ma inaczej, wiem to na pewno”. Albo: „Zdaje mi się, że nie tak było jak powiadasz”.

Trzymała swe ciało i zmysły na wodzy, strzegła jak najtroskliwiej czystości swej duszy, nie też dziwnego, że Bóg otaczał ją ojcowską opieką, i przez całe życie nie zdarzyło się, by myślała nawet zgrzeszyła przeciw skromności.

Tak wzrastała bogata w cnoty, pod okiem Bożem, nieskażana na sercu i na duszy, jak wonna biała róża, kolcami chroniąca swych śnieżnych płatków od brudnego dotknięcia.

Chrystus Pan powiedział: „Kto wiernie chowa moje przykazania, ten jest, który mię miłuje“. W całym życiu Róży z Limy, na każdym kroku, w każdym uczynku okazuje się wielka, płomienna miłość Boga.

Pobożność.

Z tą miłością Bożą dzieje się podobnie jak z miłością do rodziców: dobre, kochające dziecko najlepiej lubi przebywać przy tatusiu i mamie. Nieraz koledzy wołają do zabawy, albo na spacer, nęci je to, jednak pozostaje w domu; nie waleśa się po ulicach, mimo że tam niejedna ciekawa rzecz jest do widzenia. Bawi się przy matce, uczy się pilnie, bo wie, że tem sprawi największą przyjemność rodzicom, a przecie z całego serca chce być ich pociechą.

Tak właśnie działo się z błogosławioną dzieciną Różą. Łaska nadprzyrodzona pociągała ją ku Bogu, a ona szła za głosem łaski. Takie uspo-



ŚW. RÓŻA Z LIMY.

(Kwiaty bożego ogrodu.)

WYDZIAŁ KRAJOWY DZIENNIKARSTWA I KSIĘDZYSTWA
W WARSZAWIE

sobienie duszy sprawiało, że nie zajmowały ją zabawy rówieśników. Nieraz przychodziły dzieci sąsiadów do ogrodu rodziców Róży, przynosiły z sobą różne cacka, postrojone laleczki i przywoływały Różę do wspólnej zabawy. Ale ona uciekała w najdalszy kąt ogrodu i tam przebywała w samotności na rozmowie z Panem Jezusem. Pewnego dnia brat wziął się, że ją wyszuka i przyprowadzi.

— Dlaczego stronisz od nas — zapytał, zastawszy ją klęczącą pod drzewem przy parkanie. — Niegrzeczna jesteś, niegościnna, chodź bawić się.

— Zostaw mnie tutaj — prosiła serdecznie — nie gniewajcie się na mnie; tak mi tu dobrze, a kto wie, czy wasza zabawa podoba się Bogu, może tam niema Pana Jezusa między wami.

Ta nieustanna myśl o Bogu zrosła się z każdą inną myślą Róży. Czy przy robocie ręcznej, czy przy jakim innem domowem zajęciu, zawsze czuła obecność Boga przy sobie i rozmawiała z Nim w duszy, jak dziecko, skazane na przebywanie zdala od matki, tęskni za nią i mówi do niej, choć usta się nie poruszają. Możliwyby przyrównać Różę do słonecznika, co zwraca się za słońcem od wschodu do zachodu i patrzy weni z miłością swym pięknym złocistym kwiatem. Czy przedła albo szyła, czy haftowała, czy rozmawiała lub czytała, czy pozostawała w domu, szła ulicą, albo klęczała w kościele, zawsze

i wszędzie dusza jej zwrócona była ku Bogu. Nie myślcie, że jej to choć trochę przeszkadzało przy robocie. Sami wiecie, że można szyć, rysować, pończochę robić, a przytem zupełnie swobodnie rozmawiać. Owszem każda robota Róży była wykonana jak najdokładniej; nawet matka, dość dla niej surowa, nie mogła jej nic zarzucić.

Z biegiem lat, gdy podrosła, a miłość Boża coraz bardziej się rozkrzewiała w jej sercu, przemyśliwała coby to zrobić, żeby móc częściej i bez przeszkody obcować duchowo z Panem Jezusem. Wynalazła ustronny kącik w ogrodzie, tam przy pomocy brata swego Ferdynanda zbudowała z desek małą szopę, którą przezwała swoją pustelnią. Dwie drewniane ścianki przypierały do muru ogrodowego; z gęsto posplatanych gałęzi i grubej warstwy liści zrobili dach, a stary szeroko rozwarty krzak jałowcu zasłaniał wejście. Przy murze ustawiła rodzaj ołtarzyka, nad nim zawiesiła duży krzyż z tektury, a dokoła wszystkie święte obrazki, jakie tylko miała. Zdobila ten ołtarzyk kwiatami z ogrodu i przed nim spędzała wszystkie wolne chwile. Ledwie słońce zeszło, już się zrywała z łóżka i biegła zmówić pacierz do swej kapliczki; ubrawszy się, zanosila tam robotę, szyla lub naprawiała bieliznę; gdyby jej nie odwoływano, gotowa była cały dzień przesiedzieć w ukochanej pustelni. Jeżeli kto z domowych potrzebował Róży, wiedziano, gdzie jej

szukać. „Idźcie do chatki w ogrodzie, ona tam jest z pewnością“, mawiano.

Pewnego dnia tak się zapamiętała na modlitwie, że wieczór zapadł i ściemniło się zupełnie. Różyczka odziedziczyła po matce lękliwą naturę, a nawet bardzo nierozsądnie bała się strachów. Rodzice domyślili się, że siedzi przerażona w pustelni i nie ma odwagi iść sama przez duży ogród. Trzeba było pójść po nią. Cóż, kiedy i matka tak samo się bała jak córka. Tedy poszedł z nią ojciec, wyzwolili Różę, i wrócili wszyscy troje do domu. Dziewczynka dziękowała rodzicom, że o niej pamiętali; ale w tejże chwili przemknęło jej przez głowę: Dziwna rzecz... mama za nicby nie poszła sama do ogrodu pociemku, a jak z ojcem to się nic a nic nie boi. To i ja nie powinnam się bać; wszakże Pan Bóg, mój Ojciec najlepszy, jest zawsze przy mnie! Od tego dnia pozbyła się niemądrej bojaźni, nocne cienie przestały ją przerażać, chodziła sama po najdalszych ścieżkach ogrodu swobodnie, jak w biały dzień.

Gdy uprosiła matkę o pozwolenie, biegła do bliskiego kościoła; tam było jej stokroć jeszcze lepiej, niż w ogrodowej pustelni, bo tam ukryty w cyborjum mieszkał prawdziwie Pan Jezus. Wybrała sobie ławeczkę naprzeciw ołtarza i klęcząc modliła się godzinami. Gdy tylko dowiedziała się, że w którym kościele jest nabożeństwo z wystawieniem Przenajśw. Sakramentu, spie-

szyla tam uwielbiać najdroższego Zbawiciela. Po odbytej pierwszej Komunii św. serce jej łaknęło Chleba Anielskiego; nie mógł spowiednik oprzeć się jej prośbom, wszak znał niewinną jej duszę, więc zgodził się, by przystępowała co tydzień do Stołu Pańskiego. Przygotowywała się do tego wielkiego aktu z całym skupieniem, poprzedzając go zawsze doskonałą spowiedzią. Chcąc się przekonać, czy młodziutki umysł dobrze pojmuje doniosłość otrzymanej łaski, zapytał ją raz spowiednik, jakiego uczucia doznaje po Komunii św.

— Zdaje mi się — odpowiedziała — jakby słońce wschodziło w mojej duszy. Blask, radość, jasność, niewypowiedziane szczęście, oto co czuję.

Przywiązanie do rodziców.

Rodzice Róży nie byli bogatymi ludźmi; to też niezmiernie im było ciężko wychować jedynaścioro dzieci, któremi ich Bóg obdarzył. Najczęściej małe dziewczynki nie zastanawiają się nad tem, co się w domu dzieje; Róża podzielała kłopoty matki i robiła co tylko było w jej mocy, by jej ulżyć w gospodarstwie. Nieraz do późna w noc szyla, cerowała, łątała, żeby tym sposobem umniejszyć wydatków na bieliznę i sukienki dla rodzeństwa. Porobiła własnymi rękoma kilka grządek w ogrodzie, nasadziła kwiatów, pielęgnowała je, podlewała, a gdy się pięknie rozwinęły, wiązała z nich bukiety i posyłała przez służące

na sprzedaż do miasta. Pewien znajomy ksiądz zapytał raz, czy naprawdę sobie wyobraża, że ten groszowy dochód przyda się matce na co?

Uśmiechnęła się i odpowiedziała:

— Moja praca mało przynosi, wiem o tem; ale Pan Jezus bardzo dobry, rozmnoży te grosiki na pewno.

Gdy które z rodziców zachorowało, rzucała wszystko, a posługiwała im najtroskliwiej dzień i noc, baczna na każde skinienie, myśli ich odgadując.

Nie było i zapewne niema na świecie dziecka równie posłusznego jak ona. Cokolwiek chciała robić, zawsze pierwszej pytała matki o pozwolenie; nawet szklanki wody nie wypila bez pozwolenia. Zdarzało się czasem, że matka, podrażniona domowemi troskami, była w złym humorze i zabraniała jej pić. Biedne dziecko znosiło pragnienie nieraz przez parę dni, a nie przestąpiło zakazu. Ile razy szła do szafy po robotę, zawsze pytała, czy wolno. Raz matka zniecierpliwiona rzekła:

— Wiecznie tylko pytasz i pytasz; widzisz przecie, że szafa otwarta, czego mnie nudzisz?

— Moja robota licha, nie na wiele się przyda, — odpowiedziała dziewczynka — dlatego chciałabym jej dodać wartości przez posłuszeństwo.

Ale to było tylko pokorne rozumienie o sobie, gdyż przeciwnie wszystko czego się tknęły, zręczne paluszki Róży, było zrobione porządnie i dokładnie. Umiała zwłaszcza haftować jedwa-

biami bardzo pięknie. Pewnego razu, chcąc jej doświadczyć, kazała jej matka wyszyć kwiaty przewrotnie i niewłaściwemi kolorami. Usłuchała bez namysłu. Po jakimś czasie matka przyszła obejrzeć robotę i udając zagniewaną krzyknęła ostro:

— Cóżes to za szkaradzieństwa powyrabiała? Śpisz chyba nad robotą, czy rozumu nie masz? Do czego te kwiaty podobne?

Różyczka odpowiedziała ze słodyczą:

— I mnie się zdawało, że tak nie będzie ładnie; jeżeli mama pozwoli, to spruję i drugą raz wyszyję. Postaram się zrobić to jak najprędzej i jak najlepiej.

Najpiękniej objawiała się miłość Róży do rodziców cierpliwem znoszeniem przykrości, jakich nieraz doznawała od nich. Babka także obchodziła się z nią surowo, a często niesprawiedliwie. I tak np. wołała na nią „Izabella!“, a gdy dziecko przybiegało na zawołanie, dostawało karę od matki, która cłciała by ją przezywano Różą. I nawzajem, gdy się dała komu nazwać Różą, babka biła ją różgą. Inne dziecko próbowałoby z pewnością bronić się, a nawet odplacać zuchwalstwem; ona zносиła te niezasłużone kary cierpliwie i w milczeniu. Cóż, kiedy niestety jej słodycz, pokora, zamiast łagodzić jeszcze bardziej drażniły matkę, która w przeciwieństwie do swej świętej córeczki, była szorstką i porywczą. Gniewała ją pobożność Róży, jej małomówność, jej zamilowanie do

samotności, lajała ją co chwila, przemawiała do niej surowo, często biła różgą, a nawet... kijem. Rodzeństwo i służący, widząc postępowanie matki i babki, dokuczali ze swej strony bezbronnej swą dobrocią dziewczynce, robili jej na złość, a gdy się nie mściła ani słowem, ani czynem, przezywali ją obłudną świętoszką. Ale Róża przyjmowała wszystko bez skargi, a myśl o Zbawicielu, który wycierpiał tak straszne męczarnie za grzechy świata, dodawała jej mocy.

Przeżywszy zaledwie lat 32, Róża umarła w roku 1616, a w pięćdziesiąt lat później została kanonizowaną i doznaje wielkiej czci jako patronka Peru.

* * *

Ile to wspaniałych cnót w życiu tej świętej, prawda? Jakby to dobrze było choć odrobinę być do niej podobną. Pomyśl w czembyś ją chciała naśladować? Spróbuj naprzykład unikać kłamstwa; nigdy w najmniejszej drobnostce nie mówić nieprawdy. Ta cnota bardzo się Bogu podobna. Albo słuchać rodziców na każde skinienie; niektóre dzieci rezonują, pytają „dlaczego?“ Róża z Limy była posłuszną ślepo z całym poddaniem swej woli rozkazom starszych. A możeby dobrze było odpędzać od siebie próżność, nie zadawać się ze zwierciadelkiem. Może masz zwyczaj dużo mówić? Pomnij na Różę z Limy, naśladowuj jej milczenie i rozwagę.

MALI MĘCZENNICZY JAPONŃSCY.

Na dalekim Wschodzie, poza stałym lądem Azji, wyłania się z oceanu wielki archipelag, czyli grupa wysp, które noszą nazwę Japonji. Państwo to nie znało religji chrześcijańskiej aż do połowy XVI wieku, a cała ludność kłaniała się potwor-
nym bożyszczom.

Japończycy jak są dzisiaj, tak i przed setkami lat byli narodem dzielnym, roztroprnym, chciwym wiedzy i inteligentnym.

W roku 1549 przybył do tego kraju św. Franciszek Ksawery, zakonnik jezuita, i począł opowiadać ewangelję poganom. Niedługo po nim zjechało wielu jego duchownych współbraci, i nie upłynęło lat czterdzieści, a prawdziwa wiara rozkrzewiła się w Japonji jakby cudem. Wielu książąt wyrzekło się martwych bałwanów i przyjęło chrzest wraz ze swemi rodzinami; nawet kapłani pogańscy zwani bonzami, nierzadko się nawracali, a liczne rzesze ludu garnęły się do chrześcijaństwa z nieopisanym zapalem.

A jednak Opatrzność Boża w Swych niezbadanych celach dopuściła w Japonji straszego krwawego prześladowania nowej wiary, które wybuchło nagle i trwało lat sześćdziesiąt. Tysiące chrześcijan ginęło w najstraszniejszych męczarniach, nawet dzieci umierały bohaterską śmiercią. Opowiem wam o kilku małych Japończykach, niezłomnych w wierze wobec śmierci.

Bracia królewscy.

Jedną z wielu prowincyj Japonji była Arima. Król miał tu dwóch braci, Franciszka i Mateusza; starszy miał lat osiem, młodszy dopiero sześć. Wszyscy trzej byli chrześcijanami.

Gdy stronnictwo prześladowców rozpanoszyło się w kraju, król stchórzył, odstąpił prawdziwego Boga i tak dalece posunął się w swej nikiemności, że nawet rodzonych braci się wyrzekł. Przywołał urzędnika, któremu powierzył najskrytsze swe zamiary, i rozkazał mu zgładzić ze świata obu małych książąt, ale w sposób tajemny, żeby wieść o tem nie wzburzyła ludu, przywiązanego do dzieci królewskich. Powiernik zabrał natychmiast chłopców, wrzucił ich do głębokiego, ciemnego lochu, gdzie przez czterdzieści dni pozostawali, a w mieście rozpuszczono pogłoskę, że wyjechali wraz z siostrą do Meako.

Niewinne chłopięta, przeczuwając, że ich śmierć czeka, przygotowywały się do niej modlitwą i postem.

Pewnego wieczora, gdy właśnie przyniesiono im jedzenie, Franuś rzekł:

— Nic dziś nie będę jadł za pokutę.

— A cóżes tak złego uczynił? — spytał go młodszy braciszek.

— Poturbowałem żołnierza, który tu stoi na warcie; schwyciłem go oburącz za głowę.

— O, o!

— Słowo ci daję, że tylko żartem, zaręczam ci, że z figłów; ale być może, iż mu zrobiłem przykrość, więc też za karę pójde spać o głodzie.

Żołnierz słyszał tę rozmowę braci, i rzekł do Franusia ze śmiechem:

— Nie troskaj się, królewiczu, wcale a wcale nie jestem poturbowany; owszem, przykroby mi było, gdybyś był głodny z mojej przyczyny. Proszę was bardzo, zjedzcie obaj wieczerzę.

Franuś przeprosił go raz jeszcze i jadł ze smakiem. Mateusz położył się zaraz potem i usnął. Starszy zaś upadł na kolana i zmówił pięć Zdrowaś; a powstawszy zamyślił się głęboko i zaczął płakać.

Był tam podówczas w więzieniu razem z książętami pewien wysokiego rodu młodzieniec, także chrześcijanin, imieniem Ignacy. Ten widząc smutek i łzy dziecka, zapytał co mu dolega.

— Myślałem o mecie i śmierci Pana Jezusa za nasze grzechy i strasznie mi się żal zrobiło,

że jest jeszcze tylu ludzi na świecie, którzy nie wiedzą o tem dobrodziejstwie; ażem się rozplakał.

Zdumiał się Ignacy takiej dojrzałości myśli u dziecka; jemu samemu łzy stanęły w oczach, wiedział bowiem z posłyszanej rozmowy straży, że właśnie tej nocy królewscy bracia mieli być zamordowani. Brakło mu siły powiedzieć o tem Franusiowi, chciał jednak w jakiś sposób przygotować go na śmierć, ukląkł więc i zaczął modlić się głośno:

— O najświętsza Panno, Matko Boża! Proszę Cię i błagam, przez gorzką mękę Syna Twego Jezusa Chrystusa pomnij na mnie grzesznego, gdyby mi przyszło umierać niezapowiedzianego, może dzisiejszej nocy. O dobra Matko... w Twoje święte ręce oddaję ciało moje i duszę moją!

Franuś powtarzał za nim każde słowo, i wezwawszy trzydzieści trzy razy imienia Jezusa i Marii, przeżegnał się święconą wodą i poszedł spać. Ignacy zaś klęczał dalej i modlił się z głębi serca o wieczne szczęście dla tych niewinnych ofiar, które już nie miały się obudzić do życia. O północy wszedł do więzienia żołdak i przebił sztyletem śpiące dzieci.

Wiść o ich śmierci rozeszła się niewiadomą drogą po całym królestwie i przepełniła żalnością serca chrześcijan. Jeden tylko człowiek, wyrodny brat małych męczenników, niedość, że pozostał odstępcą, ale nadal prześladował chrześcijan z dzikim okrucieństwem.

Rzewna odpowiedź.

Pewnego razu misjonarz zapytał synka bogatych i znakomitych rodziców:

— Jakbyś odpowiedział, gdyby cię zapytano, czy jesteś chrześcijaninem?

— Odpowiedziałbym „tak“ — rzekło bez wahania dziecko.

— Ale możeby cię za to chciano ukrzyżować; cóż wtedy?

— Wtedy musiałbym się gotować na śmierć.

Misjonarz pytał dalej z pewną natarczywością:

— Jakże to rozumiesz: „gotować się na śmierć“?

Chłopczyk podniósł rączyny w górę i odpowiedział stanowczym tonem:

— Pókibym tylko mówić zdołał, ciąglebym powtarzał: O Jezu, zmiłuj się nade mną! Jezu, zmiłuj się nade mną!

Misjonarz zasłonił oczy rękoma i płakał.

Szata śmiertelna.

W czasie prześladowania chrześcijan w Japonji żyła w pewnem mieście kobieta, która zarabiała szyciem na swe utrzymanie. Miała ona dwóch synów i córeczkę. Ta córeczka zastała ją raz szyjącą bardzo ładną suknię.

— Ach mamusiu... dla kogoż będzie to śliczne ubranie? — zapytała.

— Dla mnie — odrzekła matka. — Tylu chrześcijan zginęło śmiercią męczeńską, lada dzień i ja zostanę ukrzyżowana. A to przecie będzie najpiękniejszy dzień mego życia. Skończą się kłopoty i zmartwienia, niedostatek, a rozpoczną w niebie wieczne wielkie święto. Na taki dzień muszę być ładnie ubrana.

— Mamusi, uszyj i dla mnie sukienkę — prosiła dziewczynka.

— Mam już gotową dla ciebie i dla młodszego braciszka.

— A starszy?

Matka milczała.

Siostra pobiegła z największym pośpiechem do brata i zawołała:

— Powiem ci coś ważnego: mama uszyła trzy piękne suknie na dzień naszego ukrzyżowania; dla siebie i dla nas młodszych, szkoda, że o tobie zapomniała... Ale ty ciągle myśl o tem, że jesteś chrześcijaninem i choćby cię skazano na śmierć, nie zaprzyj się Pana Jezusa, pamiętaj!

Wiara nie jest przedmiotem żartów.

Jedna z wielu wysp Japonji zowie się Amakuza. Panował tam w XVI stuleciu wielki wróg chrześcijaństwa, książę Tarasaba. Wśród jego dworzan znajdował się syn szlacheckiej rodziny, chłopiec trzynastoletni imieniem Jan.

Pewnego razu podczas wspaniałej uczy, którą książę wydał dla swych przyjaciół, jeden z gości zauważył, jak zręcznie posługuje ów młody dworzanin. Przywołał go bliżej i spytał, skąd jest rodem. Chłopiec odpowiedział, że z Nagasaki.

— Mieszkańcy Nagasaki są przeważnie chrześcijanami; czy i ty wyznajesz tę nową wiarę? — spytał gość.

Zmieszał się chłopczyk i milczał chwilę; wiedział jaką nienawiścią pała jego pan do religii Chrystusowej, nie więc dziwnego, że bojaźń ścisnęła mu serce. Ale i o tem pamiętał, że grzechem jest zapierać się swej wiary. To też oprzytomniał wprędce i odpowiedział spokojnie, że tak jest istotnie.

— Żartujesz chyba dla zabawienia nas?

— O nie, panie — odrzekł Jan — nie ośmieliłbym się żartować ani z rzeczy tak wielkiej wagi, ani w obecności mego najdostojniejszego pana.

Tarasaba zmarszczył brwi srogo i zapytał młodego dworzanina, czy ojciec jego należy do tej obmierzłej sekty. A właśnie przed kilku dniami wyznaczył mu był wysoką dożywotnią pensję.

— Tak jest, miłościwy panie.

Na te słowa książę wpadł w złość niepomowaną i byłby rozkazał obu ściąć tego samego dnia, gdyby nie strach przed buntem oburzonych takim okrucieństwem poddanych. Przywołał syna i ojca do siebie, przyrzekał im wielkie łaski,

dary kosztowne, by ich skusić do odstępstwa od wiary św. Gdy to nie pomagało, groził torturami, śmiercią, dręczył ich przez kilka dni, wreszcie kazał ich precz wygnać ze swego państwa.

„Ja właśnie tego chcę“.

Szedł sobie raz pewien królewicz na przechadzkę i spotkał znajomego chłopczyka. Nie mógł sobie przypomnieć jego imienia i zapytał go o nie.

— Nazywam się Krzysztof — odpowiedziało dziecko.

— Cóż za szkaradne imię! — zawołał księżę. — Dawniej miałeś inne, ładniejsze.

— Tak jest, ale dawniej byłem poganinem, a teraz jestem ochrzczony. Moje imię bardzo mi się podoba.

— Nędzniku! Jak możesz łączyć się z podłymi zbrodniarzami, co mordują niewinne dzieci i karmią się ich ciałem! Poczekaj, przyjdzie i na ciebie kolej, zabiją cię i pożrą.

Chłopczyk odpowiedział z wielkim spokojem:

— Wszystko to są ohydne bajki, wymyślone przez pogańskich kapłanów; nie wiercie im, panie. Chrześcijanom nie wolno zabijać nikogo, nawet nieprzyjaciół. Wierzymy w jedyne Boga, który rządzi całym światem; to zaś, do czego ty się modlisz, miłościwy panie, są tylko bałwany,

z drzewa lub kamienia, albo obrazy ludzi złych i okrutnych, którzy pomarli i dawno już poszli do piekła za swoje grzechy. Kto się kłania takim bożyszczom, dostanie się także do piekła.

Książę wyrwał miecz z pochwy i krzyknął:
— Albo w tej chwili odwołasz te bluźnierstwa, albo zginiesz!

Krzysztof ani drgnął i mówił dalej odważnie:
— Zdaje mi się, że bardzobyś się musiał wstydzić, gdybyś zabił bezbronne, słabe dziecko, to nie jest czyn godzien szlachetnego męża. A przytem, nie zdołasz mi zaszkodzić. Nie zabijesz przecie mojej duszy, tylko ciało; dusza pójdzie do nieba, a ja właśnie tego chcę! Będzie mi w niebie daleko, daleko lepiej niż tutaj.

Książę był tak zmieszany mową chłopczyny, że odszedł odeń w milczeniu. Opowiedział to zdarzenie innym poganom i wszyscy zdumiewali się, skąd biorą chrześcijańskie dzieci taką mądrość i tak mężnego ducha.

Jagnię zwycięża wilka.

Innym znów razem przyszło dwoje dzieci do pewnego misjonarza i prosiły z naiwną prostotą, aby je ochrzcił.

— A umiecie katechizm? — zapytał kapłan.

— Umiemy, chodziliśmy na naukę.

— Bardzo dobrze; cieszę się, żeście tacy pilni; trwajcie nadal w pragnieniu chrztu św.,

a gdy nadejdzie stosowna pora, to go otrzymacie. Teraz wracajcie do domu i zachowujcie się pocziwie.

Tak mówił ksiądz umyślnie, żeby się ich pozbyć, przypuszczał bowiem, że to tylko chwilowa dziecinna zachcianka, a malcy nie mają nawet wyobrażenia o świętości Sakramentu, którego żądają. Ale dzieci nie dały się odprawić z niczem: uklękły przed księdzem i szlochając prosiły, aby im nie odmawiał tak wielkiej łaski.

— No dobrze, już dobrze, pomyślimy o tem — rzekł zakłopotany. — Ale rozumiecie chyba, że nie mam prawa chrzczyć was bez pozwolenia rodziców; czemuż kto starszy nie przyszedł z wami?

— Owszem, prosiliśmy naszych ojców o pozwolenie i zgodzili się — rzekł jeden z chłopców; — nie wyjdziemy stąd, póki nie zostaniemy chrześcijanami.

— Nie wyjdziemy! — powtórzył drugi.

Wtedy ksiądz wypytał ich o najważniejsze prawdy wiary i o święte Sakramenta, a widząc, że nie tylko umieją wszystko napamięć, ale rozumieją doskonale, nie mógł się już sprzeciwić i ochrzcił ich.

Odeszli szczęśliwi, jakby skarb znaleźli.

Wkrótce potem darował ktoś jednemu z nich obrazek; zaniósł go do domu i powiesił nad swoim łóżkiem. Równocześnie nadszedł ojciec i spostrzegł obrazek. Chociaż był poganinem i nie zadawał się z chrześcijanami, poznał odrazu, że to

musi być jakaś rzecz święta. Czy zapomniał istotnie, czy nie chciał pamiętać, że synowi nie bronili chodzić na naukę do misjonarzy, dość, że ofuknął chłopca:

— Cóż to za szpargał wisi na ścianie? Czy przypadkiem nie zachciało ci się zostać chrześcijaninem?

— Tak jest, ojcze, ale z twojem wyraźnem pozwoleniem; prawda że pamiętasz?

— Co? Ja miałbym pozwolić na takie bezeceństwo? Zaraz mi padniesz na kolana przed naszym starem, czcigodnem bóstwem i przeprosisz je. A nie, to ci utnę głowę.

Chłopczyk odpowiedział:

— Wolno ci, ojcze, zrobić ze mną co chcesz; oto jest miecz, zabij mnie, ale chcę żyć i umierać jak chrześcijanin.

Pogański ojciec wpadł w straszną wściekłość, rzucił się na syna jak dziki zwierz, zdarł zeń odzienie i nagiego powiesił na sznurze pod ramiona u belki, poczem go zaczął smagać różgą, powtarzając za każdym uderzeniem:

— No jakże, pokłonisz się bogom? Namyśliłeś się?

A dziecko znosiło bicie z męczeńską cierpliwością i odpowiadało niezmiennie:

— Jestem chrześcijaninem.

Ojciec aż przytomność tracił ze złości i bił coraz mocniej, aż poszarpane ciało krwią się ob-

łało. Wtedy rzucił nawpół omdlałego syna w kąć izby i wyszedł z domu.

Zbiegli się krewni i domownicy i zamiast litować się nad skatowanem dzieckiem, szydzili z jego głupoty. Chłopiec milczał spokojny; zdawało się, jakby ktoś inny cierpiał za niego, ktoś inny dodawał mu sił i odwagi.

Byłby go może zły ojciec na śmierć zameczył, ale misjonarze ujęli się za dzieckiem i zabrali je pod swoją opiekę.

Iguacy.

W roku 1616 umarł cesarz japoński Dayfusama, drugi z rzędu prześladowca chrześcijan. Po nim nastąpił syn jego Xogun, gorszy jeszcze wróg nowej wiary. Ten krwiożerczy tyran rozkazał stracić w jednym dniu 52 chrześcijan. Było to 22 września 1622 r. Dzień ten zapisany jest w martyrologji pod nazwą Wielki dzień męczeństwa. Około 30.000 chrześcijan zeszło się z wielu miast i wsi, aby swą obecnością oddać hołd męczennikom i wzmocnić własne serca widokiem ich niezachwianej wiary.

Wyprowadzono świętych skazańców poza bramy miasta Nagasaki, na wzgórze ponad morzem. Niektórzy mieli być spaleni na stosie, inni mieczem ścięci. Między tyni ostatnimi znajdowała się kobieta rodem z Portugalji; mąż jej był spalony przed rokiem. Miała ona czteroletniego

synka, imieniem Ignacego. Ochrzczył go świętobliwy jezuita, ojciec Spinola. Ten misjonarz stał właśnie wśród skazanych na śmierć ogniową. Podczas gdy pachołkowie kata ustawiali stosy, kapłan miał ostatnie w życiu kazanie do swych duchownych dzieci.

Spostrzegłszy znajomą kobietę, przypomniał sobie o jej synku, a nie widząc go z powodu tłumu zapytał:

— A gdzież Ignas? Nie wzięliście go z sobą?

— Owszem, ojcze, jest tutaj — wzięła dziecko na ręce i podniosła w górę. — Ofiarowałam Bogu co mam najdroższego; mój synek chce umrzeć dla miłości Jezusa i cieszy się, że pójdzie do nieba razem ze mną. Ignasiu, prosz ojcę, aby cię pobłogosławił na śmierć.

Chłopczyna ukląkł przed księdzem, złożył rączki i prosił o błogosławieństwo. Cały lud płakał.

Nadeszła ostatnia godzina skazanych. Najpierw ścięto mieczem 30 ofiar. Pierwsze trzy głowy spadły tuż przed oczyma stojącego przy matce Ignasia. Patrzył spokojnie, czekając swojej kolei. Czwartą z rzędu była jego matka. Gdy ją zamordowano, dziecko uklękło, nie czekając rozkazu i odchyliło kołnierz u koszulki... Jedno uderzenie miecza połączyło je z matką w niebie. Inni męczennicy zostali spaleni na stosie.

*

*

*

Święta, jedynie prawdziwa, katolicka wiara jest tak wielką łaską Bożą, tak niezmiernym skarbem, że powinniśmy bez wahania cierpieć dla niej, stracić wszystko raczej, nawet życie, byle jej nie odstąpić. Otrzymałeś ten skarb od Boga, dziękujże Mu za to często, dziękuj Mu codzień. Staraj się tak postępować w całym twym życiu, jak ta wiara naucza. Choćby kto zły wyśmiewał się z ciebie, choćby ci dokuczano, znoś to cierpliwie, a żyj po bożemu i pamiętaj na przykazania. Bogu się mamy podobać, a nie ludziom, prawda? A kto się wstydzi świętej wiary, ten jest nędznym, nikczemnym człowiekiem.

ŚWIĘTA TERESA.

Ta wielka służebnica boża urodziła się w roku 1515 w Hiszpanji, w mieście Avila. Ojciec jej był szlachcicem, nazywał się Alfons Sanchez de Cepeda, matka Beatrix de Ahumada. Teresa wstąpiła do klasztoru karmelitanek w dwudziestym roku życia, a największą jej zasługą jest, że za bożem natchnieniem odnowiła uśpioną gorliwość, wlała nowego ducha w członków zakonu. Przestrzegała ścisłego wypełniania reguł, założyła wiele klasztorów w swej ojczyźnie, i zmarła 4 października 1583 r.

Na rozkaz swych spowiedników pisała dzieje swego życia; to co opowiada o swej młodości, jest bardzo pouczające. Święta Teresa sądzi sobie niezmiernie surowo, wyznaje przed Bogiem i przed ludźmi wszystkie swe ułomności i wady. Oto co opowiada o latach dziecińczych:

Rodzina.

Miałam bogobojnych i cnotliwych rodziców; z ich pomocą i za ich przykładem postępując, mo-

głabym była wejść z łatwością na dobrą drogę, gdyby mi nie stała na przeszkodzie moja własna uparta złośliwość. Ojciec rad czytywał pobożne książki i nas dzieci zachęcał do tego. Matka przynaglała nas do modlitwy. Takie postępowanie obojga rodziców sprawiało, że już w szóstym, czy w siódmym roku życia (o ile sobie przypominam) czułam pociąg do dobrego. Ale najwięcej działało na mnie w tym kierunku przekonanie, że nie czem innem zasłużę na miłość mych rodziców, jak cnotą i pobożnością. Oni sami świecili nam wzniosłym przykładem. Ojciec kochał ubogich i chorych, oddawał się im prawdziwie serdecznie; a dla służących był zawsze łagodnym i wyrozumiałym panem. Nigdy się nie dał nakłonić do kupowania niewolników, jak to powszechnie czyniono; tak się litował nad nimi, że nie mógł mówić o ich nędznym stanie bez wzruszenia. Gdy raz niewolnica naszego stryja przebywała pewien czas w domu moich rodziców, ojciec obchodził się z nią miłościwie i żadnej różnicy nie robił między nią a rodzonemi dziećmi. Słyszałam sama jak mówił: „Nie mogę znieść tej myśli, że mój brat nie chce udarować tej dziewczyny wolnością“.

Ojciec mój odznaczał się także w wysokim stopniu miłością prawdy. Mówił zawsze prosto i jasno, nie przysięgał się nigdy, karność i prawość miał w wielkiej cenie.

Cnotliwe dziecko.

Wstyd mi gdy sięgnę myślą w me lata dziecinne i widzę, jak wiele łask otrzymywałam już wtedy od Boga, a później z własnej winy je traściłam. Rozdawałam jałmużnę ile tylko mogłam; coprawda było to bardzo mało. Szukałam samotności by się modlić i modliłam się długo. Gdym się bawiła z innymi dziećmi, najlepiej mi się podobało budować klasztory, gdzie naturalnie sama bywałam zakonnica. O ile sobie przypominam, powołanie zakonne zdawało mi się pięknym celem życia, choć bardziej jeszcze pragnęłam ponieść męczeńską śmierć dla Jezusa.

Miałam zdaje się dwanaście lat, a może nawet mniej, gdy mi matka umarła. Nie odrazu odczułam tę wielką stratę, ale przyszła chwila, że zrozumiałam sieroctwo moje, i ciężki smutek mię ogarnął. Wtedy poszłam do obrazu Najśw. Panny i błagałam Ją płacząc, aby mi chciała być matką. Modliłam się z dziecięcą prostotą, lecz widno zostałam wysłuchaną, bowiem kiedykolwiek wzywałam tej przeczystej Dziewicy, zawsze mi przyszła z pomocą.

Szkodliwe książki.

Zaledwie wyszłam z dzieciństwa, zaczęłam spostrzegać przymioty zewnętrzne, któremi Bóg mię obdarzył. Powiadano, że byłam szczerze uposażoną w te powierzchowne zalety. Ale za-

miast dziękować pokornie za te dary, posługiwałam się nimi ku boskiej obrazie. Zdaje mi się, że dopomogła mi w złem pewna okoliczność; lecz nim ją tu przytoczę, muszę zauważyć, jak to czasem źle postępują rodzice, jeżeli nie czuwają z największą troskliwością, by dzieci ich patrzyły tylko na rzeczy dobre, słyszały tylko mowy uczciwe. Pisałam już na początku, jak zacną kobietą była moja matka; jednak ja nie przejęłam się żadną z jej pięknych cnót, natomiast odziedziczyłam po niej jedną złą skłonność, i ta wyrządziła krzywdę mej duszy. Matka czytywała z nadmiernem upodobaniem: stare bohaterskie opowieści i romanse rycerskie. Widocznie to czytanie było dla niej daleko mniej szkodliwe niż dla mnie, bo nigdy nie zaniedbywała swych obowiązków. Przypuszczam, że bawiąc się w ten sposób, chciała zagłuszyć smutne myśli, zapomnieć chociaż chwilowo o różnych ciężkich utrapieniach. W tem zaś bardzo zawiniła, że nie tylko nie zakazywała, ale owszem chętnie pozwalała nam dzieciom czytywać te same książki. Może jej się zdało, że korzystniej będzie dla nas zająć się czytaniem niż w inny sposób, lub w niestosownem towarzystwie czas przepędzać. Ojciec przeciwnie, bardzo nierad widział te książki w naszych rękach i musieliśmy wręcz kryć się przed nim, żeby nam ich nie bronił. Przywiązałam się tak do tych uroczych opowieści, że nałóg czytania osłabił we mnie wszelkie lepsze dążności i wciągnął

mię na błędną drogę. Ani mi to przez myśl nie przeszło, że źle robię, czytając po całych niemal dniach, a nawet i w nocy te romanse; doskonale umiałam chować się przed ojcem, a nudny i smutny to był dzień dla mnie, gdy mi się nie udało dostać nowej książki. Zgubny wpływ tego zamilowania okazał się niebawem: stałam się próżnią, dbałą o strojne fatalaszki, pielęgnowałam ręce i włosy, szukałam sposobów, aby podnieść swoją urodę i przypodobać się. Używałam pięknych pachnideł i wiele innych jeszcze dobierałam środków, a bardzo byłam zręczna i pomysłowa. Nie poczuwam się do winy, bym miała w tem nieuczciwe myśli, albo chciała być komu przyczyną do grzechu. Tak nie było nigdy. Ale ta zbyt dbałość o własną urodę zawładnęła mną na długie lata, i wcale jej sobie nie poczytywałam za grzech; dzisiaj widzę, że źle postępowałam.

Zty przykład.

Niech mi wolno będzie zwrócić uwagę rodziców, jak wielkie ma znaczenie w rozwoju duchowym ich dzieci towarzystwo, w którym przebywają. Natura ludzka daleko łatwiej skłania się ku złemu, niż ku dobremu, tak właśnie działo się i ze mną. Miałam kilku ciotecznych braci mniej więcej w równym wieku ze mną; przybiegali bawić się ze mną, prawie ciągle byliśmy razem i bardzośmy się lubili. Cieszyło mię, gdy im mo-

głam sprawić przyjemność. Opowiadali mi o różnych pustych figlach i innych niedorzecznościach. Moja siostra, o wiele starsza ode mnie, dawała mi dobry przykład we wszystkim, co poczciwe i moralne, ale ani mi w głowie powstało naśladować ją. Obralam sobie raczej, za wzór stryjeczną siostrzyczkę, która odwiedzała nas bardzo często, a ten wzór był właśnie najgorszy. Była to dziewczyna tak lekka w pojęciu o złem i dobrem, tak licha w postępowaniu, że matka moja, póki żyła, robiła co tylko mogła, aby jej nie dopuścić do przyjaźni ze mną. Może przeczuwała, ile złych rzeczy nauczę się od niej. Ta dziewczyna jednak nie dawała się usunąć, zawsze sobie znalazła pretekst do przebywania w naszym domu. Niepodobna było jej się pozbyć. A mnie właśnie jej towarzystwo było najmilszem. Miałyśmy sobie wiecznie coś do opowiadania, ona to namawiała mnie do zalotności i innych niedorzecznych postępków, pomagała mi w pomysłach do stroju, słowem, psuła mnie. Przez to ciągle obcowanie z nią stawałam się coraz gorszą, podczas gdy przedtem, czyli do czternastu lat życia, nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek obrazila Boga ciężkim grzechem. Choć właściwie, poczciwe postępowanie moje wpływało raczej z troski o honor, który miałam w wysokiej cenie, aniżeli z bogobożności. Nje miałam nic droższego nad poczucie własnej godności. Żebym była wtedy rozumiała, o ile bardziej powinno mi być chodzić

o nieobrażanie Majestatu Bożego, aniżeli o to, co w ludzkim pojęciu nazywa się honorem.

Po śmierci matki ojciec i siostra opiekowali się mną troskliwie; bardzo im się nie podobała ta poufałość z kuzynką, często mię nawet karali z tego powodu. Ale że trudno było bez poróżnienia z rodziną zabronić jej wstępu do naszego domu, a ja ze swojej strony umiałam sobie radzić chytrze i sprytnie, przeto niweczyłam ich usiłowania.

Rozważam nieraz, jak nieobliczone szkody przynosi duszy złe towarzystwo. Gdybym tego sama na sobie nie doświadczyła, nie wierzyłabym.

W młodości zwłaszcza niebezpieczeństwo bywa największe. Ach, oby wszyscy rodzice chcieli korzystać z tego, co tu piszę i strzec jak najbaczniej swych dzieci!

Ta grzeszna przyjaźń odmieniła mię zupełnie w bardzo niedługim czasie. Ledwie pozory dobrego pozostały. Kuzynka wszczepiła we mnie wszystkie swoje wady i duchowe brzydoty. Stąd wysnuwam wniosek, co za korzystny wpływ dobre towarzystwo wywiera na młodzież. Pewną jestem, że łatwo stałabym się była prawą i odporną przeciw zepsuciu, gdybym była obcowiła w dziecinnych latach z osobami cnotliwymi.

Nie popełniłam wprawdzie nigdy grzechów śmiertelnych, ani się splamiłam nikczemnością, bo

już miałam z natury wstręt do rzeczy podłych; ale groziło mi wielkie niebezpieczeństwo, gdyż stale żyłam wśród okazji do złego, a nie uciekałam przed niemi. Sam Bóg wyratował mię od zguby, wyrywając przeciw woli mojej z niegodnych stosunków i nie dając zaginać mej duszy.

Nawrócenie.

Od trzech miesięcy trwało już to życie oddane światowej próżności, którem się zaraziłam od mej stryjecznej siostry, gdy nastąpiła w niem nagła zmiana: oddano mię do klasztoru. Był to zakład wychowawczy dla panien ze szlacheckich domów. Przez pierwszy tydzień mego tam pobytu było mi bardzo przykro, z powodu właśnie moich złych nałogów; bałam się, by nie spostrzeżono, jak jestem próżna i lekkomyślna. Ale już i sama zaczęłam uczuwać przesyt; coraz częściej sumienie nasuwało mi obawy, że Boga obrażam. Wspowiadałam się czem prędzej, i po kilku dniach przyszło uspokojenie. Czułam się daleko szczęśliwszą w klasztorze, niż w domu. Wszyscy byli zadowoleni ze mnie i polubili mnie. Ja także rada byłam żyć wśród zakonnicy, chociaż w owym czasie wcale mi jeszcze nie przychodziło na myśl samej zostać mniszką.

Pan Bóg wybrał za narzędzie oświecenia duszy mojej dozorczynię naszej sypialni. Znajdowałam przyjemność w obcowaniu z siostrą, miło mi

było rozmawiać z nią, słuchać jak mówiła o Bogu. Opowiedziała mi, co spowodowało jej wstąpienie do klasztoru. Oto raz czytając Pismo święte natrafiła na znany wszystkim ustęp ewangelji: „Wielu jest wezwanych, ale mało wybranych“. Wystarczyło jej te kilka słów, uczuła nieprzeparte powołanie do życia zakonnego. Prostemi słowy opisywała mi obfitą nagrodę, której Pan użycza tym, co wszystko ziemskie opuścili dla Jego miłości.

Towarzystwo tej bogobojnej siostry rozpoczęło dobry wpływ na moją duszę; zczasem pozbyłam się lekkomyślnej próżności, zbudziła się we mnie tęsknota za rzeczami wiecznymi.

W tym klasztorze przebyłam półtora roku; tam przyzwyczaiłam się do modlitwy ustnej; gorąco prosiłam wszystkich o modlitwy na moją intencję, aby mi Bóg wskazał, w jakim stanie chce, abym Mu służyła. Aliści nawiedził mię Pan ciężką chorobą; odesłano mnie do ojca. Gdy mi się trochę polepszyło, wyjechałam na wieś do siostry. Po drodze wypadło mi wstąpić do brata mego ojca, u którego zabawiłam kilka dni. Był to człowiek cnotliwy, zamięłowany w czytaniu mądrych ksiąg. Został nawet później zakonnikiem. Jakkolwiek krótko gościłam u stryja, dość było tych paru dni, by słowo Boże z ust jego posłyszane wywarło silny wpływ na mnie. Zbudziły się w mem sercu te same uczucia, co w dniach dziecinnych, rozważałam nicość życia światowego,

jego liche i prędko przemijające rozkosze i niezawodny koniec wszystkiego. Ogarnęła mię trwo-
ga piekła.

* * *

To był przełom w życiu Teresy. Zdecydowała się stanowczo wstąpić do zakonu. Nie przyszło jej to łatwo. Ciężkie pokusy dręczyły ją, musiała walczyć i zmagać się z nimi. Bóg ją zato później sowiec wynagrodził wewnętrznymi pociechami.

Przytoczę tu słowa św. Teresy jako radę dla nas wszystkich:

„Jeżeli czujesz w sobie poryw do spełnienia czegoś dobrego, nie wahaj się iść za nim, nie bój się, że nie podążasz. Gdy bowiem podejmujesz pracę z miłości dla Boga, nie możesz doznać niepowodzenia. Nasze siły są słabe, ale On wielki i mocny w każdym względzie“.

ŚWIĘTY KAZIMIERZ.

Niejedno dziecko ani się domyśla, jakim szczęściem dlań jest, że się urodziło w ubóstwie. Człowiek ubogi chętniej i goręcej się modli, bo któż mu dopomoże, jeśli nie Bóg. A gdy braknie pieniędzy na zbytki, tem mniej sposobności do grzechu. Bogatym dzieciom łatwiej Boga obrazić, biednym zaś łatwiej zachować niewinne serce i pobożność; zwłaszcza gdy mają troskliwych rodziców.

Na ile to pokus jest narażone dziecko bogate! Gdy się zdarzy, że takie właśnie, urodzone i wychowane wśród wspaniałości wielkiego świata, żyje skromne, niewinne, bogobojne, musimy uwielbiać działanie łaski Bożej, a owo dziecko zasługuje na szczerą zapłatę w czasie i w wieczności.

Takimi zdrojami Swej łaski udarował Bóg świętego Kazimierza. Był on królewiczem polskim, synem Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Austriackiej, córki cesarza Albrechta II. Urodził się w Krakowie dnia 5 października 1458 r., a umarł młodo, przeżywszy zaledwie lat 25.



ŚW. KAZIMIERZ. KRÓLEWICZ POLSKI.

(Kwiaty bożego ogrodu.)

PHOTODUKATURA DRUKARNIA I FOTOGRAFIA
Zm. WŁODZIECIELA W POTENDELU

Największą cnotą, jaką ten młody święty jaśniał, była niepokalana niewinność. Wśród pokus i niebezpieczeństw życia na królewskim dworze, zachował duszę czystą od kolebki aż do grobu.

Nigdy cnota nie przychodzi ludziom łatwo; Kazimierz strzegł surowo swych myśli, mowy i czynów, a Bóg mu był pomocą. Posłuchajcie, jak żył ten święty młodzieniec i jak nad sobą pracował.

Słuchał we wszystkim swej najzaciejszej matki i nauczyciela, któremu go rodzice oddali w opiekę. Królowa Elżbieta była jedną z najznakomitszych niewiast swojego czasu. Otaczała swe dzieci nieustającą opieką, a gorącym jej pragnieniem było wychować je w bojaźni Bożej.

Gdy mały Kazimierz dorósł do lat, w których go trzeba było zacząć uczyć, powierzyła dalsze jego kształcenie kanonikowi Janowi Długoszowi, mężowi wielkiej nauki i świątobliwości. Wszystkie dzieci królewskie kochały swego nauczyciela i były mu posłuszne, ale żadne nie było mu tak chętnie poddane jak Kazimierz. Nie czynił nic bez porady Długosza, ani też przeciw jego poleceniom. Tym sposobem uniknął wielu niebezpieczeństw i wytrwał w anielskiej czystości.

Drugą wielką cnotą Kazimierza była pokora. Jakkolwiek syn wielkiego, królewskiego rodu, nigdy się swem pochodzeniem nie pysznił, ani też od nikogo nie wymagał jakichś szczególniejszych czcłobitności. Powiadał, że prawdziwie dumnym

jest tylko z wysokiej godności, jaką przez chrzest otrzymał, stając się dziecięciem Boga, przeznaczonem do wiecznego królowania w niebie. Gdy przeto wszyscy ludzie byli tak samo jak i on dziećmi Ojca niebieskiego, widział w nich swoich braci, i jak z braćmi serdecznie postępował.

Ta pokora jednała mu obfite dary duchowe, bo Pismo św. powiada: „pokornym Bóg łaskę dawa“.

Święty Kazimierz modlił się często i gorąco. Jak innym dzieciom zabawa, tak jemu modlitwa była radością i najmilszym przepędzeniem czasu. Klęcząc przed ołtarzem oddawał cześć Panu Jezusowi, ukrytemu w Najśw. Sakramencie, albo rozmyślał nad gorzką Jego męką i śmiercią. Cierpienia Zbawiciela stawały tak wyraźnie przed oczyma świętego dziecka, że nieraz łzami się zalewał. Ponieważ ta męka i śmierć powtarza się codzień w bezkrwawej ofierze mszy św., król-wicz zbiegał co rana ze swych komnat do kościoła zamkowego i modlił się ze skupieniem i miłością. Patrzącym nań zdawało się, że widzą anioła.

Wielkie miał także nabożeństwo do Najświętszej Marji Panny, Matki Bożej. Kochał ją jak matkę i bardzo lubił wysławiać jej wielkie znaczenie w niebie, jej niezawodne pośrednictwo za nami u Boga, zachwycił się jej cnotami i starał się z całych sił naśladować ją. Odmawiał codzień hymn łaciński, opiewający jej cześć, który w polskiem tłumaczeniu zaczyna się od słów:

Już od rana — rozśpiewana
 Chwał, o duszo, Maryję;
 Cześć Jej świątkom — i pamiątkom,
 Codzień w niebo niech bije.
 Cud bo żywy — na podziwy
 Jej wielmożność u Boga.
 Panna czysta — Matka Chrysta,
 Przechwalebna, przebłoga.

Jest podanie, że sam św. Kazimierz ten wiersz ułożył; co zaś nie ulega wątpliwości, to to, że umierając, kazał go przepisać i włożyć sobie do trumny. Sto dwadzieścia lat później, gdy otwarto grobowiec, znaleziono ciało świętego nie-
 tknięte zgnilizną, a w jego rękach znajdowała się owa modlitwa także nieszczerniała, niezniszczona, mimo że podziemie, w którym przeszło wiek spoczywał, było niezmiernie wilgotne.

Święty Kazimierz nie dogadzał swemu ciału, ale surowo je trzymał na wodzy. Już w dwunastym roku życia począł zadawać sobie rozmaite umartwienia i często odmawiał sobie nawet niewinnych przyjemności. Rozdawał codzień jałmużnę i dobrym był dla ubogich. Nieraz wstawiał się za nimi u ojca, wyszukiwał nędzarzy i służył im. Dworacy próbowali czasem powstrzymać go; zwracali mu uwagę, że nie uchodzi synowi królewskiemu tak się poniżać. Pewnego razu odpowiedział im:

— Czemże jestem wobec Pana naszego Jezusa Chrystusa? On, Syn Boży, król nieba i zie-

mi, raczył zejść do nas biednych ludzi; leczył nasze słabości, stał się sam nędznym i ubogim, aby nas na wieki wzbogacił. Wszak wyraźnie powiedział: „Cokolwiek uczynicie jednemu z tych małych, mnieście uczynili“. Nie pragnę większych zaszczytów nad postępowanie śladami mego Pana.

Taką to usilną pracą nad zdobyciem cnót pozyskał Kazimierz obfite łaski Boże i stawał się coraz doskonalszym. Jak mówiłem już na początku, zachował czystość duszy i ciała do śmierci. Piotr Skarga, który opisał żywot tego świętego królewicza, przytacza jego własne słowa: „Raczej umrę, niżbym niewinność utracił“.

* * *

Póty człowiek jest niewinnym, póki nie popełni śmiertelnego grzechu. Wprawdzie szczerym żalem i pokutą można Boga przebłagać i odzyskać Jego łaskę, ale prawdziwa niewinność już nie wróci. Czy rozumiesz drogie dziecko, jak bardzo się trzeba wystrzegać tego pierwszego śmiertelnego grzechu? Jest on straszniejszy niż jadowita żmija, gorszy od śmierci.

Staraj się walczyć z pokusami i zwyciężać je tą samą bronią, co święty Kazimierz. Przeczytawszy to opowiadanie, zastanów się chwilę, czy będziesz wojował z nieprzyjacielem twojej duszy modlitwą, jałmużną, posłuszeństwem pokornym, lub umartwieniem? Pomyśl nad tem, i zacznij od dzisiaj.

BŁOGOSŁAWIONA GERMANA COUSIN.

W południowej Francji niedaleko Tuluzy znajduje się mała wioska Pibrac (Pibrak). Leży ona w górzystej okolicy, a domki są właściwie nędznymi chatkami; mieszkańcy tej wsi przeważnie ubodzy ludzie, trudnią się uprawą roli i chowem bydła.

Dawno już, dawno, przed trzema wiekami, stała w szczerem polu daleko poza wsią nędzna chałupa; należała ona do Wawrzyńca Cousin i jego żony Marji Laroche. Pan Bóg nie obdarował ich dobrami doczesnymi, ale zato zesłał im wielkie bogactwo, aniołka z nieba, córeczkę. Germana urodziła się w roku 1579. Uczciwaj rodzice wychowywali ją po bożemu, matka uczyła prawd wiary i modlitw, jakie sama umiała.

Dobrze było dziewczynce w domu rodzicielskim, ale to szczęście niedługo trwało: zaledwie Germana osiem lat skończyła, umarła jej matka, a ojciec ożenił się powtórnie w bardzo krótkim czasie. Od tej chwili zaczęły się dla dziecka dni smutku i trwały bez przerwy aż do śmierci. Ma-

cocha kochała tylko swoje dzieci, o swoje tylko dbała, a pasierbicę poniewierała, jakby jaką przybłądę.

Biedna Germana miała i bez tego wiele gorzkich cierpień: słabowita, skrofuliczna od urodzenia, rosła nędzna i wątła. Ją to raczej należało pielęgnować i dobrze żywić, nie tamte zdrowe dzieci; ale macocha ani chwilki się o nią nie troszczyła. Owszem, gniewał ją widok bladej, chorej dziewczynki, a jej ręka wykrzywiona i bliznami skroful pokryta, budziła w tej nielitościwej kobiecie tylko odrazę.

— Ty wstrętne krzywulo! — fukała na Germanę. Nie było dnia, żeby jej nie łajała z pogardą, żeby nie wymyślała na nią jakich nowych przezwisk. Patrząc na nią nie mogła bez obrzydzenia; to też odpędziła ją od siebie i od swoich dzieci, jak zapowietrzoną.

Świat sądzi, że takie udęczenia, liche zdrowie, niesprawiedliwe postępowanie są prawdziwym nieszczęściem; ale w rozumieniu chrześcijańskim znaczą one co innego. Dla Germany były to obfite błogosławieństwa Boże, bo dając jej łaskę cierpliwości, Pan Jezus wzbogacał ją cnotami i prowadził ku niebu.

Mimo tak nielitościwego zachowania się macochy, Germana słuchała we wszystkim jej rozkazów, była pracowitą i pojętą. Żebyż tem pilnem wykonywaniem roboty, zawsze za ciężkiej na jej dziecięce siły, pozyskała choć czasem ja-

kieś dobre słowo, albo przychylnie spojrzenie... bynajmniej. Cokolwiek zrobiła, co powiedziała, zawsze dostawała szorstką nagane; złośliwa macocha pobudzała nawet ojca do gniewu na biedne dziecko. Zdołała wmówić w niego, że przebywanie w jednej izbie z dziewczyną skrofuliczną szkodzi na pewno jej dzieciom; i póty go trapiła, aż ustąpił i zgodził się wydalic córkę z domu. Macocha zapowiedziała dziewczynce, że odtąd będzie pasac owce daleko na leśnej polanie.

Wychodziła więc Germana ze swą trzódką wczas rano, a wracała późnym wieczorem. Co się nacierpiało dziewięcioletnie słabe dziecko, to się opisać nie da. Na wiosnę i w jesieni ranki i wieczory były chłodne, a ona bosa, w lichej polatanej płóciennej sukience; w lecie upał, odbierający siły, często burze z piorunami i gradem, naokół ani żywego ducha, a głód codziennym towarzyszem! O suchym kawałku chleba wypędziała ją macocha do roboty; a gdy wróciła pod noc do domu, nieraz przemokła do nitki, albo przeziębła, rzucano jej znowu kromkę chleba ze wzgardą, zamiast ciepłej pokrzepiającej stawy.

Dawniej sypiała w izbie na górcie razem ze swem przyrodnim rodzeństwem; ale odkąd macocha uznała jej chorobę jako zaraźliwą, przeznaczyla Germanie kącik w sieni pod schodami, na wiązce słomy. W zimie nie mogło tam dziecko wytrzymać i uciekało do stajni między owieczki, gdzie było cieplej.

Nie na tem koniec: gdy szła, lub wracała ze swą trzódką, złośliwe dzieci wiejskie zaczepiały małą pastuszkę szyderczemi przezwiskami, obrzucały ją grudkami ziemi, biegły za nią drwiąc i wyśmiewając. Za przykładem głupich dzieci poszli i starsi; dziwiono się z początku, że małe, wątłe dziecko skazane jest na taką męczącą robotę; ale że się nikomu nie poskarżyła, nie słyszano ani słówka narzekania, ten i ów posądził ją, że musi być nieznośnym bębniem i sprawiedliwie ją rodzice zrobili za karę pastuszką. To mniemanie rozpowszechniło się we wsi, i odtąd do zimna i głodu przyłączyła się nieprzyjaźń ludzka.

A Germana znosiła wszystko w milczeniu, z anielską cierpliwością. W lesie, samotna wśród swych owieczek, żaliła się cichutko Panu Jezusowi, ale Go nigdy nie prosiła o polepszenie doli.

— Ty mię tak kochasz, o Panie Jezu, że dla mnie cierpiełaś męki i śmierć krzyżową, czemuż ja biedne dziecko mogę Ci okazać, że Cię nad wszystko w świecie miłuję? przyjmij w podarunku mój głód i to zimno i to ludzkie dokuczanie. Wszystko zniosę wesoło, abyś widział, Panie Jezu, że Cię kocham z całej duszy!

I biegła ze swemi owcami z twarzyczką pogodną, zawsze spokojną. A ludzie przezywali ją idjotką, bo nie rozumieli, jak może się uśmiechać, gdy jej źle na świecie.

Dojrzał kto czasem, jak pod drzewem kłęczała, odmawiając różaniec, to do innych wy-

zwisk dołożono jeszcze świętoszkę, i tak nie było końca prześladowaniu.

W jednej rzeczy przeprowadziła swoją wolę: oto nie pierwaj wyruszała na pastwisko, aż wysłuchała mszy św. Zrobiła sobie krzyżyk z dwóch patyczków, umocowała go w lesie na drzewie i klęcząc przed tym krzyżykiem, zapominała przy modlitwie o swej niedoli. Choćby nawet nie miała tego wizerunku męki Pańskiej przed oczyma, cała otaczająca ją przyroda porywała jej duszę ku niebu. Patrząc na promienną jasność poranku, rozmyślała, jaki Bóg dobry, że dał ziemi słońce złociste, co rozgrzewa rolę, zbożu i wszelakim roślinom rósnać pomaga; wszak i dla niej także to słońce świeci. I ten strumyczek taki czysty, z szumem płynący po kamieniach, ożywia trawy, kwiaty i jej spieczone usta zimną wodą ochładza. A drzewa takie rozłożyste, zielone, tak miło siedzieć w ich cieniu podczas upału. Tyle kwiatów, każdy inaczej przystrojony z łaski Stwórcy, a wszystkie pachną, wdzięczą się Panu Jezusowi i Matce Boskiej. A te gwiazdy roziskrzzone wieczorem na niebie! A biały księżyc! Ach jaki wielki, jaki dobry Bóg, co to wszystko stworzył!

Codziennie modlitwy i rozpamiętywania dobroci i wszechmocy bożej pomnażały z każdym dniem miłość wzgardzonej przez ludzi pastuszki do Ojca niebieskiego. Codziennie też odnawiała postanowienie sprawowania się pocziwie ku chwale tego najlepszego Ojca. Przemyśliwała,

czemby to przypodobać się Bogu, a czego się wystrzegać, aby Go nawet niechęcy nie obrazić.

Tak święte, aniołom podobne dziecko musiało i Matkę Bożą kochać gorąco. Germana odmawiała codziennie różaniec, zastanawiała się chwilę nad każdą tajemnicą, wielbiła Marię i Jezusa w części radosnej i chwalebnej, w bolesnej opłakiwała mękę Zbawiciela. Każde święto Marii Panny obchodziła uroczyście w swem serduszkę; starała się dowieść Matce Boskiej, jak ją kocha, pełniąc uczynki miłości bliźniego. Nędzny kawałek chleba, jedyne swoje na cały dzień pożywienie, przełamywała na dwoje, jedną połowę zjadała sama, drugą oddawała kalekom ze wsi, albo opuszczonym sierotom. W ten sposób zjednała sobie przywiązanie tych najbiedniejszych. Przybiegały do niej na łękę, obsiadywały ją kołem, a Germana uczyła je pacierza, katechizmu, opowiadała o Bogu. Przestrzegała starsze dziewczynki przed próżnością, mówiła jak obrzydliwym jest grzech wszelki i jak trzeba unikać sposobności do złego. Dzieci niezawsze chętnie słuchały jej rad; śmiały się i przezywały ją kaznodzieją. Ale Germany nic nie zrażało.

Za te uczynki miłosierne dla ciała i dla duszy nagrodził ją Pan Bóg cudownem zdarzeniem, zapisywanem także w żywotach niektórych innych świętych. Zdarzenie to rzuciło niebiański blask na pokorną pasterzkę.

Doszły uszu macochy pogłoski, że Germana rozdaje chleb ubogim. Ani przypuściła złośliwa kobieta, by to z własnego, skapo wydzielonego pożywienia pasierbica jej czyniła jałmużnę. Posądziła dziecko, że zabiera chleb pokryjomu, czyli poprostu kradnie. Może całemi bochenkami wynosi? Trzeba ją złapać na gorącym uczynku, póki go jeszcze nie rozdała i ma przy sobie.

Pewnego dnia, ledwie Germana zaszła na łąkę, już macocha pogoniła za nią. Spotkała po drodze dwóch znajomych wieśniaków, ale nie witając ich, biegła zdyszana z roziskrzonemi złością oczyma. Domyślili się gdzie idzie, i choć sami nieraz dokuczali Germanie, jakoś ulitowali się nad nią i poszli wślad za macochą powstrzymać ją, gdyby chciała bić pasierbicę. Stanęli za drzewem i patrzyli, co się będzie działo.

Cousinowa dopadła Germany i chwyciła ją za rękę krzycząc:

— Ty krzywulo... ty świętoszko... Pięknych się rzeczy dowiaduję!

Dziecko patrzyło na macochę osłupiałe z przerażenia.

— Nie wytrzeszczaj oczów na mnie, nie udawaj, że nie rozumiesz! Jałmużnę dajesz? Dziadów pasiesz moją pracą... ty złodziejko!

— Matusiu... widzi Pan Jezus, żem nigdy nie nie ukradła... — wyjąknęła dziewczynka ze łzami w oczach.

— Nie ukradłaś? A skąd bierzesz chleb dla dziadów? A co tam chowasz we fartuchu? Pokaż zaraz!

Szarpnęła ze złością fartuszek zatknięty dolnemi rogami za pasek, gdzie Germana chowała zwykle chleb i różaniec jak do kieszeni... Z połatanej szmatki wysypały się na ziemię śliczne woniejące kwiaty. Były one jakieś dziwne, bardzo piękne, nikt jeszcze we wsi takich nie widział.. A zimna jesień strącała już liście z drzew, nie pora była na kwiaty...

Za dębem stali dwaj wieśniacy, świadkowie z woli bożej.

Wszak to cud!.. Ach ileż razy święta dziewczyna była przedmiotem ich szyderstwa!

Wrócili do domu przejęci żalem za swe niepoczciwe postępowanie, rozpowiadając po całej wsi co widzieli. Odtąd nie ośmielił się nikt rzucić przykrego słowa Germanie.

Gdy się ojciec o wszystkim dowiedział, i jego oczy się otworzyły: Bóg go udarował takim skarbem, a on tego skarbu nie umiał cenić. Teraz wszystko będzie inaczej. Zapowiedział żonie surowo, żeby się nie ważyła tknąć palcem dziecka, a gdy Germana wracała do domu, wyszedł naprzeciw niej z poszanowaniem i po raz pierwszy od dawnego czasu uściskał ją serdecznie.

— Córka moja, — rzekł pokornie — wstyd nam i żal, żeś nie miała dotąd ciepłego kąta do

spania. Od dzisiejszego dnia powrócisz znów do izdebki na górę; matka ci przyrządzi dobre posłanie, już się nie będziesz poniewierała po kątach.

— Bóg wam zapłać, tatusiu — odpowiedziała Germana i mile się uśmiechając pocałowała ojca w rękę. — Mnie się wcale nie przykrzy w stajni; ciepłuchno mi między owieczkami. Ostawcie wszystko jak było.

— Zali z mściwości upierasz się przy swoim? Tak to cię w katechizmie uczono?

— A niechże mię Bóg zachowa, abym was miała dobrowolnie rozgniewać! — rzekła serdecznie. — Wszakże sam Pan Jezus raczył się urodzić w ubogiej stajence między bydłatkami; zezwólcie, abym miała mieszkanie na podobieństwo Najświętszego Dzieciątka.

Nastały teraz lepsze czasy dla Germany. Ludzie przypominali jedni drugim, co to za święte dziecko żyło wśród nich niepoznane, prześladowane. Żal im było swej złości, postanowili wynagrodzić jej życzliwemi słowy dawniejsze drwiny i gorzkie przezwiska. Ale Opatrzność Boża inaczej zarządziła.

Pewnego ranka, słońce się już wzbilo wysoko ponad góry, a Germana jakoś ani się nie zbierała do kościoła, ani owiec nie wypędzała ze stajni. Macocha posłała jednego ze swych synów, żeby ją zbudził. Gdy wszedł do szopy, ujrzał siostrę śpiącą; nie poruszyła się, choć na

nią wołał. Dotknął jej ręki, była zimna jak lód. Twarz jej uśmiechnięta jaśniała nadziemskim weselem. Germana nie żyła.

Działo się to w roku 1601.

Pochowano ciało jej święte na cmentarzu w Pibrac.

Niewiadomo, kto pierwszy prosił Boga o łaskę za jej przyczyną i został wysłuchany, dość, że w niedługim czasie nauczyli się ludzie szukać jej pośrednictwa w smutkach, w chorobie i we wszelkich potrzebach. Za łaską Boską działy się cuda u jej grobu.

Gdy po czterdziestu trzech latach otworzono trumnę, zmarła leżała niezmieniona, jakby śpiąca.

W roku 1853 zaliczył papież Germanę Cousin w poczet błogosławionych.

* * *

Czego cię uczy ta wielka święta? Jak ci się zdaje? Cierpliwości, niezachwianej, niezwykłej cierpliwości, gdy się ktoś z tobą źle obchodzi, dokucza ci, gardzi tobą. Ona czerpała siłę w rozważaniu męki Pana Jezusa, który znosił w milczeniu tak straszne zelżywości, kłamstwa ohydne i okrutne udęczenia. Czynił to na za-dośćuczynienie Bogu za ludzkie grzechy, a zatem i za twoje. Jeżeli nie będziesz usiłował iść w Jego ślady, to chyba napróżno cierpiał za ciebie.

Więc pamiętaj: gdy doznasz od kogo przykrości, nie wyrzekaj, nie szukaj pomsty, nie roz-

powiadaj temu i owemu, jaki jesteś pokrzywdzony, tylko sobie westchnij cichutko z całego serca. Ofiaruj swój smutek Panu Bogu, a wkońcu pamiętaj, co Zbawiciel powiedział:

„Miłujcie nieprzyjacioły wasze, czyńcie dobrze tym, którzy was prześladują“.

ŚWIĘTY FRANCISZEK SALEZY.

Franciszek był potomkiem szlacheckiej rodziny de Sales w Sabaudji; urodził się dnia 21 sierpnia 1567 roku.

Gdy go przyniesiono po chrzcie z kościoła, matka wzięła go na ręce i z przepelnionego wiarą serca tak przemówiła do maleństwa:

— Już teraz jesteś towarzyszem aniołów, braciszkiem Najświętszego Dzieciątka Jezus, świątynią Ducha Św., członkiem Kościoła katolickiego. Bogu cię poświęcam i ofiaruję.

I rosło dziecko ciche, słodkie, skromne, posłuszne, istny anioł z nieba. Pobożna matka strzegła go z troskliwością największą, można śmiało powiedzieć, że go prawie z oka nie spuszczała. Dała mu wychowanie twarde, nie rozpieszczała synka, nie karmiła go przysmaczkami; dbała tylko, aby jadł dosyta potrawy proste i zdrowe. Gdy już mógł trochę rozumieć jej mowę, opowiadała mu przystępnemi słowy o Bogu, zwłaszcza o tem, jaką wielką miłością ukochał Jezus Chrystus wszystkich ludzi. Mały Franuś



ŚW. FRANCISZEK SALEZY.

(Kwiaty bożego ogrodu.)

FOTODUKATY ODRUKI I REPRODUKCYJE
W WARSZAWIE W POLSKIM

słuchał uważnie, może i niewszystko rozumiał; ale najmniejsze nawet dziecko łatwo pojmuje, gdy słyszy, że je ktoś kocha. To też chłopczyzna, który zaledwie oderwane jakieś słowa z trudnością wymawiał, złożył pewnego dnia całe zdanie bez niczyjej pomocy i zawołał:

— Bóg i mama kochają mnie bardzo!

Możeście się nigdy nłe zastanowili nad rzeczą bardzo prostą, że znieść zasłużoną karę pokornie i cierpliwie, jest cnotą. Właśnie następujące zdarzenie dowiedzie wam tego:

Mały Franuś bawił się raz w korytarzu zamkowym i z ciekawości pobiegł aż na strych. Tam spostrzegł na skrzyni kaftan murarza, którego przywołano dla jakiejś naprawy. U jednego guzika wisiała przywiązana czerwona jedwabna wstążeczka. Aż się dziecku oczka zaśmiały do świecidełka. Odczepił wstążeczkę i schował w zanadrze.

Przebierając się po skończonej robocie, murarz zauważył, że mu się gdzieś wstążka podziała. A że mu była potrzebna, szukał jej i rozpytywał służbę, czy mu jej kto ze żartu nie zabrał i nie schował. Ale nikt jej nie widział, nawet się służący pogniewali za takie posądzenie. Właśnie gdy się sprzeczano, przechodził tamtędy trabia de Sales, ojciec Franusia. Zapytał o co chodzi i zaraz mu przyszło na myśl, że taką rzecz bez wartości a jaskrawą mogło zabrać tylko dziecko.

— Zawołaj mi tu zaraz panicza — rzekł do pokojowca.

Malec przybiegł zmieszany, bo mu sumienie nie dawało spokoju.

— Ktoś ukradł wstążeczkę temu człowiekowi — rzekł ojciec i spojrzał nań badawczo. — Może to ty?

— Ach ja, tatusiu, ja! — zawołał chłopczyk, rzucając się ojcu do kolan. — Tak mi się podobala, że ją sobie wziąłem. Oto jest, oddaję... strasznie się wstydzę... Żal mi... niech mi tatuś przebaczy!

— Przebaczę, boś się przyznał szczerze i odrazu; ale ukarać cię muszę, abyś dobrze pamiętał, i nigdy już nie uczynił czegoś podobnego.

— Ach nie uczynię, tatusiu! Nigdy, przeminę!

Franuś płakał, całował ojca po nogach; stary odźwierny i niańka pańskich dzieci i sam oskarżyciel, wstawiali się za malutkim winowajcą, nie pomogły niczyje prośby, Franuś dostał w skórę. Mniejszy to był ból, niż wstyd i upokorzenie; wiedział ojciec dlaczego tak surowo postąpił: od tego dnia poszanowanie cudzej własności zapisało się w duszy dziecka ognistymi głóskami. Nie tknął najmniejszej drobnostki, jeżeli nie miał do niej prawa; nie ośmielił się nawet zrywać owoców w sadzie bez pozwolenia matki albo ojca.

Aby zawczasu wpoić w syna miłość cnoty, pani de Sales czytywała mu wyjątki z żywotów świętych, wybierając takie ustępy, które mogły zająć małego słuchacza. Tłumaczyła mu wyrażenia, których nie rozumiał, zwracała jego uwagę na to, jak wielu świętych odznaczało się pokorą, pobożnością, miłosierdziem, już od wczesnego dzieciństwa.

Pewnego razu słuchając czytania, Franuś przerwał matce okrzykiem:

— Ach, mamusiu, jaby'm tak chciał zostać także świętym!

Ze łzami w oczach odpowiedziała:

— Moje dziecko drogie, chciej tylko szczerze, a Pan Bóg z pewnością nie odmówi ci Swej łaski. Dziś zapamiętaj sobie jedną, a najważniejszą rzecz, że drogą do świętości jest P r a w d a. Pan Jezus, nasz mistrz i wzór, powiedział o sobie: „J a m j e s t P r a w d ą“. Kłamstwo czyni człowieka podłym w obliczu Boga, ludzi i samego siebie. Kto mówi prawdę, jest dzieckiem Boga, kto kłamie, jest dzieckiem szatana. Wybieraj.

I Franuś wybrał. Nigdy w życiu nie wymówił słówka, któreby się najściślej nie zgadzało z prawdą; nawet, gdy czasem zawinił i wiedział, że będzie ukarany, nie szukał ratunku w kłamstwie ani w wykrętach. Takim strachem przejmowała go myśl, że mógłby się stać dzieckiem szatana.

Ani dwóch lat nie miał jeszcze, a już zakwitła w jego serduszku miłość bliźniego. Gdy spotykał na przechadzce ubogich, a zwłaszcza małe dzieci, oddawał im wszystko co miał w ręku, czy zabawki, czy jedzenie. Jeżeli nie miał do darowania, zwracał się do niańki i póty ją prosił, często z płaczem, aż mu dała grosik dla ubogiego. Weszło w zwyczaj, że niańka wybierając się z dzieckiem na przechadzkę, kładła do kieszeni chleb i owoce, żeby Franusowi nie zbrakło jałmużny. Czy się bawił na pokojach matki, czy siedział przy stole, skoro tylko usłyszał jękliwy głos żebraka, zrywał się czem prędzej i zanosił mu co mógł, najczęściej połowę swego obiadu...

Miał kilku rówieśników, którzy go często odwiedzali; bawiono się zawsze wesoło i zgodnie, bo Franus nie upierał się przy swojej woli, owszem ustępował towarzyszom we wszystkim; największą miał uciechę w sprawianiu przyjemności drugim. Nie mógł znieść, gdy które z dzieci płakało. Raz brat jego stryjeczny Kasper de Sales nie umiał zadanej lekcji i nauczyciel wziął się do różgi. Wtedy Franus przytrzymał go za rękę, wołając z płaczem:

— Ach panie... zaklinam pana, proszę nie bić mego braciszka!

— Muszę go ukarać — odpowiedział nauczyciel surowo — szkaradny leniwiec, różga mu się należy.

— Błagam pana... już lepiej mnie dać w skórę; ja silniejszy i zdrowszy, mnie to nie zaszkodzi, a on gotów się rozchorować.

Po długich naleganiach postawił wreszcie na swoim i został obity, a Kasperek wyszedł cało. Inni koledzy szemrali między sobą, wychodząc ze szkoły, jak mogli nauczyciel zgodzić się na taką niesprawiedliwość. Ale Franuś przekonywał ich najusilniej, że właśnie stało się zadość sprawiedliwości, bo zdrowszemu łatwiej ból przecierpieć, a dopiero teraz Kasper zacznie się dobrze uczyć, choćby tylko ze strachu, aby znów brat nie dostał za niego różgą.

Św. Franciszek Salezy miał trzech rodzonego braci; na imię im było Gall, Ludwik i Jan. Kochał ich bardzo i uważał za swój święty obowiązek nakłaniać ich do dobrego i jako najstarszy wykorzeniać ich wady. Rozumiał, że dzieci nie mając obowiązku słuchać go, mało sobie będą ważyły jego napomnienia. Użył tedy niezawodnego sposobu: stał się im niezbędnym. Bawił się z nimi, wymyślał im różne miłe niespodzianki, dogadzał we wszystkim, co tylko nie sprzeciwiało się rozkazom matki; jednym słowem tak ich przyciągał do siebie, że obyć się bez niego nie mogli. Wtedy wystarczało jedno jego słówko, aby go natychmiast usłuchali. Niekiedy trafiało się, że któryś okazywał upór, wtedy Franciszek usuwał się od zabawy i odchodził od braciszków zasmucony. Była to kara tak

ciężka, że skutkowałą odrazu, dziecko przyrzekało poprawę i starało się zachowywać grzeczność, żeby nie pogniewać Franusia. Tak to, niczem Anioł Stróż, prowadził braci na drogę cnoty.

Zarówno kolegom i rówieśnikom najlepszy, dawał przykład. Sama jego obecność wystarczała, aby ich wstrzymać od złego.

— Dajcie spokój, nie dokazujcie, bądźmy grzeczni, patrzcie, święty idzie — mawiali, gdy się zbliżał. I ustawały kłótnie, bitki, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Gdy który z chłopców zaklął, albo wymówił nieskromne słowo, Franuś napominał go łagodnie; a taki wstyd odzwierciedlał się w jego twarzy, jakby to on sam lekkomyślnie Boga obraził. Po wielu latach, gdy owi przyjaciele byli już dojrzałymi ludźmi, wspominali zawsze, mówiąc o swych dziecinnych latach, że tylko wpływowi Franciszka zawdzięczają zamiłowanie obowiązku i cześć dla cnoty.

Często urządzali razem przechadzki w pole, albo do pobliskiego lasu, gdzie Franuś miał ulubioną polankę; klękali wszyscy pod drzewem i odmawiali różaniec, albo litanję do Najśw. Marii Panny. Potem przemawiał do nich Franuś, zachęcając do dobrego, a tłumacząc, jak trzeba unikać z całych sił sposobności do grzechu. Często wkońcu dodawał:

— Moi drodzy, uczmy się zamlodu służyć Panu Bogu; nie ociągajmy się, któż nam zaręczy, jak długo pożyjemy?

Opowiadał im także rozmaite przykłady z żywotów świętych, które były jego najmilszym czytaniem.

Skończywszy szkoły wstąpił Franciszek do stanu duchownego. Jako kapłan oddał się całem sercem nawracaniu kalwinów, przyczem narażony był z ich strony na wiele przykrości i prześladowań. Ale święte jego słowa, a bardziej jeszcze przykład cnotliwego życia działały cuda: około 72.000 heretyków przyciągnął do katolickiego Kościoła.

W roku 1602 został Franciszek biskupem Genewy i umarł przeżywszy lat 55. Jest on założycielem wizytek, zakonu poświęconego wychowaniu dziewcząt.

* * *

Niekażde dziecko bywa powołane do tak wzniosłych celów; ale też i tego nie wiesz, jakie są zamiary Boga względem ciebie. Staraj się więc od dziś naśladować św. Franciszka Salezego: bądź posłusznym rodzicom, pobożnym, kochaj prawdę. Niech młodsze dzieci mają z ciebie dobry przykład, może zdołasz powstrzymać niejedno z nich od grzechu. Co to za szczęście! Rozmawiaj z kolegami nie tylko o zabawie i błahostkach, mów im czasem o wielkiej cnocie mi-

łości prawdy. Tak często dzieci nieostrzeżone przez starszych grzeszą kłamstwem! Jakaż będziesz miał wielką zasługę przed Bogiem, jeśli choćby tylko jedno powstrzymasz od złego. Możesz także modlić się na intencję swoich znajomych, albo łagodnie i cierpliwie pracować nad ich poprawą. Niejedno dziecko daleko chętniej posłucha rady rówieśnika, aniżeli rozkazu starszej osoby. A posiew, rzucony małą rączką w serce przyjaciela, wyda plon dobry i przyniesie ci błogosławieństwo Boże.

ŚWIĘTA ELŻBIETA TURYNGLJSKA.

Elżbieta była królowną węgierską, córką Andrzeja II i Gertrudy. Urodziła się w Presburgu, ówczesnej stolicy państwa, w roku 1207. Życie jej miało upływać wśród ciężkich smutków i udręczeń, by tem obfitszą stała się jej nagroda w niebie.

Już od najmłodszych lat otaczał Elżbietę blask łaski bożej, której działanie przyrównać można do rzeźwego wietrzyka w słonecznym ogrodzie. Te same cnoty, któremi się odznaczała w dojrzałym wieku — miłość Boga i bliźniego, już ją zdobiły w dzieciństwie. Ledwie jej usteczka poczęły wymawiać pierwsze wyrazy, już sobie składała modlitewki; a nie miała trzech lat jeszcze, gdy już dawała jałmużnę ubogim.

Kronikarz zapisuje, że z urodzeniem królowny ustały wojny i zaburzenia na Węgrzech; głos powszechny twierdził, że przyście na świat tego błogosławionego dziecka przyniosło pokój ojczyźnie.

Pewien zakonnik opowiadał, jak od wielu lat ociemniał i stracił władzę w ręce. Mała księż-



ŚW. ELŻBIETA.

(Kwiaty bożego ogrodu.)

WYDAWCA DUKAŃ I KSIĘGARNI
EX. WŁAŚCICIELA I POZNAŃ

niczka dała mu jabłuszko; jakieś przeczucie ka-
zało mu potrząść sobie oczy i rękę sokiem z tego
jabłuszka. W tej chwili przejrzał i odzyskał siłę.

Przeróżne tego rodzaju wieści doszły do
uszu Hermana landgrafa Turyngji. (Niektórzy
książęta małych państweczek niemieckich nosili ty-
tuły Landgrafów; np. dziedzic prowincji
nadreńskiej nazywał się Rheingraf. Był także
Pfalzgraf, Landgraf Turyngji i t. d.). Postanowił
szukać synowej w rodzinie króla Andrzeja i wy-
prawił w tym celu poselstwo do Presburga. Do
prośby o rękę Elżbiety dodał drugą, by król An-
drzej raczył oddać już dziś córeczkę do Wartbur-
ga, gdzie wedle ówczesnego zwyczaju, przyjętego
na książęcych dworach, miała być otoczona oso-
bliwszą pieczołowitością i wychowywana społem
ze swym przyszłym małżonkiem.

Słyszał i król Andrzej wiele o zacności land-
grafa, niemniej o jego znaczeniu i bogactwach, nie
dziwota więc, że przyjął najuprzejmiej poselstwo
złożone ze szlachetnych rycerzy i niewiast zna-
komitych rodów. Po naradzie z małżonką zgodził
się na propozycję i powierzył ukochane dziecko
przybyłym z Turyngji niewiastom. Czteroletnia
Elżbieta opuszczała dom rodzicielski, by doń już
nigdy nie wrócić. Matka przydała jej na towa-
rzyszki kilkanaście szlacheckich dziewcząt we-
gierskich, a ojciec rozkazał wyładować skrzy-
nie podarunkami, wspaniałą wyprawą i sprzęta-
mi; liczne podwozy wiozły za odjeżdżającą z po-

selstwem narzeczoną bogate wiano królowny Elżbiety.

Zajechali zdrowo i szczęśliwie do miasta Eisenach. Tutaj oczekiwali swej przyszłej synowej oboje rodzice Ludwika, hrabia Herman i żona jego Zofja. Nie posiadali się z radości i na kolanach dziękowali Bogu, że ich prośba została wysłuchana. Hrabia wziął dziecko na ręce, przycisnął je do serca, zwąc swą umiłowaną córką.

Trzy lata już przebywała Elżbieta na turyngijskim dworze, gdy pewnej nocy miała sen straszny: ukazała się jej matka, królowa Gertruda z krwawą raną w piersiach i tak do niej przemówiła:

— Dziecko moje najdroższe... patrz, otom poniosła śmierć z ręki morderców. Cierpię męki czyścowe za czas zmarnowany, a nie ku zbawieniu użyty, za czyny przeciwne woli Bożej, za niepoczciwe zamiary. Módl się za mną gorąco, aby miłosierny Bóg raczył policzyć na zaśluchanie Swej sprawiedliwości haniebną śmierć moją i skrócił te straszne męczarnie.

Dziecko obudziło się z płaczem wielkim i długo nie mogło się uspokoić. Niestety sen okazał się prawdą; przywieziono do Turyngji wiadomość o zamordowaniu królowej Gertrudy.

Elżbieta nie ustawała w modłach błagalnych, aż znów pewnej nocy ujrzała matkę, ale już z radosnem obliczem i usłyszała te słowa:

— Dzięki twemu wstawieniu się, córko miła, przebaczył mi Bóg i resztę kary darował. Idę do nieba.

Hrabia Turyngji sam przeznaczył stosownych opiekunów dla węgierskiej królowny i strzegł jej wychowania z pieczołowitością prawdziwie rodzicielską. Wybrał sześć dziewczynek ze znakomitych rodów, z niemi razem miała się Elżbieta uczyć i bawić. Stare kroniki dworskie zapisały niejedno o tych dzieciennych latach księżniczki; mianowicie przytaczają wspomnienia jej towarzyszek. Jedna z nich opowiada takie szczegóły:

„Pięcioletnia królowna nie umiała jeszcze czytać, ale szła razem ze starszymi do kościoła; prosiła, żeby jej otworzono księgę z psalmami, odmawiała pacierz klęcząc i całowała ziemię. Nieraz także, gdyśmy się bawili w gry, i jak to dzieci lubią, skakałyśmy na jednej nodze, Elżbieta ząganiała nas nieznacznie, jak stado gąsiąt, w stronę zamkowej kaplicy. Jeżeli zastała wrota zamknięte, klękała w przedsionku i ściany i drzwi ze czcią całowała. To znów bawiłyśmy się w chowanego; przegrywające dawały fanty; nasza królowna nigdy innych wykupów za te fanty nie naznaczała, tylko „przeżegnać się“, „zmówić Ojczy nasz“, „zmówić Zdrowaś Marja“ i t. p.

„Nie mogła znieść nieobyczajnego zachowania się, albo słów nieskromnych. Gdy która z nas powiedziała przypadkiem jakąś nieprzy-

zwoitość, musiała płacić karę z pieniędzy przeznaczonych na łakocie; a te kary szły potem dla ubogich“.

Inna znów towarzyska św. Elżbiety opowiada co następuje:

„Chodziłyśmy z ochmistrzynią na dalsze spaceru; czasem wstępowałyśmy na cmentarz. Pewnego dnia księżniczka tak do nas przemówiła: Patrzcie ile tu grobów... jakie mnóstwo! Tu pod ziemią leżą ciała ludzi zmarłych przed laty i takich, co umarli niedawno... takich, których pochowano wczoraj. Przyjdzie kolej i na nas, będziemy musiały umrzeć. Powinniśmy kochać Boga i sprawiać się pocziwie, aby śmierć nie była nam straszną“. Uklękła i modliła się głośno, a myśmy za nią powtarzały: „O Panie Jezu, błagamy Cię przez Twą gorzką mękę i za przyczyną Twej Najświętszej Matki, racz wyzwolić dusze w czyścju cierpiące, a nam żywym daj łaskę, abyśmy postępowali według Twych przykazań i znaleźli się po śmierci w niebie, gdzie wieczna radość i wieczne wesele. Amen“. W kościele często powtarzała taką modlitewkę: „O Jezu Chryste, Boże mój, Panie mój, któryś cierpiał męki za mnie biedną grzesznicę, nie dopuść abym Cię obrażała. Niech święte pięć ran Twoich będą mojem zbawieniem!“

Dzieci są zazwyczaj bardzo tkliwe na podarunki i te osoby najbardziej kochają, od których otrzymują zabawki albo przysmaczki. Kto chciał

pozyskać serduszko Elżbiety, uczył ją jakiej nowej modlitwy albo pieśni pobożnej. Wybrała kilka psalmów, litanję, koronkę i inne modlitwy, które postanowiła odmawiać codziennie; i gdy jej co przeszkodziło wśród dnia spełnić ten obowiązek, niepierwej kładła się do łóżka, aż odmówiła wszystkie modlitwy.

Nieraz wśród najweselszej zabawy stawała nagle i mówiła:

— Dość już. Dla miłości Pana Jezusa nie będę się dalej bawiła.

Unikała tańców nawet najniewinniejszych; ale gdy obyczaj dworski tego wymagał, brała w nich udział, aby nie zwracać uwagi. Najczęściej jednak, przetańczywszy raz wkoło, odchodziła nieznacznie i kryła się w dalszych komnatach. Zapytywana przez towarzyszki, czemu to robi, odpowiadała:

— Jeden taniec wystarczy dla zadośćuczynienia światowym wymaganiom; reszty sobie odmawiam. Zdaje mi się, że to małe umartwienie podoba się Bogu.

W niedziele i święta, kiedy wszystkie niewiasty książęcego dworu stroiły się bogato, ona przeciwnie w duchu pokory ubierała się jak najskromniej. Nie przywdziewała złotem szytych rękawiczek, ani sukienek misternie haftowanych; gdy już koniecznie trzeba było ubrać się pięknie, czyniła to dopiero po skończonem nabożeństwie. Nie lubiła trefić włosów, ani przystrajać głowy

kosztownemi wstęgami lub drogiemi kamieniami, a piękną twarz swoją tak osłaniała welonem, że prawie nie można było dojrzeć rysów.

Hrabia i hrabina obsypywali ją podarunkami, dawali pieniądze na kosztowne stroje; ale Elżbieta ubierała się tak skromnie, jak tylko się dało bez ubliżenia stanowisku swych opiekunów, a każdy zbywający grosz obracała na jałmużnę. Podobna ptaszkowi, co się troszczy o swe pisklęta, albo mrówce gromadzącej zapasy dla mrowiska, zaglądała do spiżarni, do kuchni, zbierała po obiedzie resztki ze stołu i wszystko zanosila swym ukochanym ubogim.

Zaledwie Elżbieta skończyła dziewięć lat, skończyło się zarazem jej błogie i swobodne życie na dworze turyngijskim — umarł landgraf Herman. Był on tak przywiązany do świętego dzieciątka, że nikt, nawet najwyżej postawione osoby, nie ważyły się ubliżać przyszłej żonie Ludwika czynem ani słowem. Z chwilą śmierci hrabiego zmieniło się wszystko. Odtąd życie Elżbiety miało być pasmem zmartwień, ciężkich ofiar i upokorzeń. Bóg prowadził ją drogą ciernistą przez ziemię, aby tem większą chwałą uwieńczyć ją w niebie. Za gorycze i lzy nagroda wieczna i nieśmiertelne królowanie. Serce jej tak było przepełnione miłością Stwórcy, że najcięższe udrczenia były jej miłe, gdy je znosiła dla Niego. Miłość była jakby ogniem w kadzielnicy, a cierpienie wonnem ziarnem kadzidla, rzucanem na żar.

O ile sam hrabia Herman kochał Elżbietę jak rodzone dziecko, o tyle żona jego wkrótce po przybyciu królowy na dwór wartburski straciła do niej serce, niemal nienawidziła jej. Nie dziw; całe zachowanie się księżniczki było jakby żywą naganą jej własnego postępowania: Elżbieta skromna, pobożna, miłosierna, oddana Bogu, hrabina Zofja, kobieta pyszna, zamiłowana w strojach i w światowych próżnościach. Takie dwie wręcz odmienne dusze musiały pozostać sobie obcemi; a po stronie hrabiny budziła się i coraz wzrastała nieprzyjaźń. Tak samo źle usposobioną dla Elżbiety była i córka Zofji, Agnieszka. Obie te niewiasty ani myślały o Bogu, o wieczności, tem więcej też drażnił je widok bogobojnej dziewczeczki, a nie było już tego, co ich złe zamysły poskramiał w zarodzie.

Zaczęły obie ganić jej pokorę, wyrzucały prostotę ubrania, szydziły z jej częstych i długich modłów; zdaniem ich wszystko to właściwsze było jakiejś dziewczęce chłopskiej, niżli przyszej żonie panującego księcia.

Zły przykład idzie z góry: dworacy rychło się opatrzyli, że osoba królowy przestała być niedościgłą szyderstwu, a za brak uszanowania kara nikogo nie czeka. Pochlebcy tedy przeszli wszyscy na stronę hrabiny i jej córki i prześcigali się w lekceważeniu Elżbiety. Młodziutkie towarzyszki, którym nieraz przykrzyła się jej pobożność, opuściły ją, a wolały zabawy i tańce

z Agnieszką. Nawet dziewczki i służba dworska stawiali się zuchwale małej królownie.

Pobożne dziecko, przedmiot zelżywości, stało smutne wśród tej zgrai jak wąż roślina na szczycie góry, którą wichur pomiatą i gnie ku ziemi, albo jak łagodne jagnię, co znosi głód i bicie, a nie umie się zemścić.

Jeżeli jednak prześladowcy liczyli, że postawią na swoim, czyli skłonią księżniczkę do odmiany trybu życia, to się srodze zawiedli. Elżbieta nie zważała wcale na dokuczliwe ukłócia szpilek i szła spokojnie raz obraną drogą. Wobec hrabiny Zofji zachowywała się z uszanowaniem, zносиła jej docinki i szorstkie obejście łagodnie, a miłość Boża, jakby podsycana przeciwnościami, rosła i potężniała w jej sercu.

I znowu zaszła zmiana; tym razem korzystna dla świętej królowny. Elżbieta dorosła do lat przepisanych prawem i obyczajem, poślubiła Ludwika i tem samem została hrabiną Turynji. Ucichły złośliwe języki, rzesza dworaków korzyła się przed nową panią, nawet Zofja i Agnieszka zapanowały nad swą złością.

Niestety, ziemskie szczęście niedługo trwało; po kilkoletniem pożyciu z dobrym i kochającym małżonkiem Elżbieta owdowiała w dwudziestym roku życia. Nikczemna rodzina rzuciła się na nią z nową zajadłością; doszło do tego, że wygnano ją wraz z dziećmi z zamku i z kraju. Nędza jej była tak wielką, że dla wyżywienia

trojga malutkich dzieciątek siadała zebrać na schodach kościelnych. Zniosła i to dopuszczenie Boże z weselem dla miłości Chrystusa Pana.

Żyła lat 24, zmarła w dniu 19 listopada 1231 roku.

* * *

Zdarza się nieraz, że i dzieci mają dużo do przecierpienia. Święta Elżbieta wiedziała gdzie szukać rady i pomocy. Nie skarżyła się ludziom, tylko Bogu; a wszystkie swoje smutki składała w podarunku najdroższemu Zbawicielowi i błagała Go o siłę i wytrwanie. Tym sposobem skarbiła sobie zasługi i wieczną nagrodę w niebie.

Rozważ, drogie dziecko, czy niema w twojem życiu jakich smutnych dni? Może zdrowie masz liche? Albo ubóstwo rodziców i tobie dotkliwie dokucza? Głodny bywasz często, marzniesz w zimie. A może jakaś wada w twojej powierzchowności, jakaś ułomność cielesna jest powodem głupich żartów i drwinek? To Bóg zsyła na ciebie próby; czy znosisz je cierpliwie, z poddaniem się Jego woli? Ile razy chce ci się narzekać, ile razy jakie bunty budzą się w sercu, wspomnij na świętą Elżbietę.

ŚWIĘTY PASCHALIS BAYLON.

Marcin i Izabella Baylonowie, rodzice Paschalisa, byli ubogimi ludźmi i musieli ciężko pracować, aby wyżywić siebie i pięcioro dzieci. Mieszkali we wsi Torrerosa w Hiszpanji.

Najmłodszy synek urodził się w dniu 17 maja 1540 roku; a że poprzedniego dnia przypadała kościelna uroczystość św. Paschalisa biskupa, rodzice uważali, że pięknie będzie nadać dziecku to imię.

Idąc w pole, albo do bogatszych gospodarzy na robotę, Baylonowa nie chciała zostawiać małego Paschalisa w domu, brała go więc ze sobą. Nawet przy pracy mogła uważać na dziecko, inaczej nie miałyby chwili spokoju. Po drodze wstępowała codziennie na mszę do kościoła. Zastanawiała ją i cieszyło, że niemowlętko ledwie kilkomiesięczne rozpatruje się ciekawie po kościele, spogląda uważnie na księdza przy ołtarzu, jakby chciało zrozumieć wszystko co widzi.

Najczęściej istoty wybrane dla nieba wcześniej już wyróżniają się od swego otoczenia; kło-

potali się nieraz rodzice z czworgiem starszych dzieci, Paschalis był im tylko umileniem życia i pociechą. Podrastał zdrowo, bawił się grzecznie, nikomu nie zawadzał. Pewnego dnia matka wyszła po coś do sąsiadów, a że ojciec był w domu i starsze dzieci także, nie bała się zostawić maleńkiego przy nich. Za powrotem spostrzegła ku wielkiemu swemu przerażeniu, że dziecka nie ma w izbie. Pyta, szuka, nikt nie zauważył, kiedy wyszło i gdzie się podziało.

— Jakże wyjść mogło — zawołała z płaczem — przecie chodzić jeszcze nie umie!

Rozesłała dzieci na wieś, aby pytały po wszystkich domach, czy kto nie widział małego Paschalisa, a sama z mężem przeszukała ogródek, szopę, stajenkę, nie było go nigdzie. Zrozpaczona biegnie do kościoła prosić Boga o zmiłowanie, i tam na stopniach wielkiego ołtarza znajduje zgubę. Jakim sposobem roczne dziecko zaczęło się na czworakach przez kamieniste ścieżki, jakim cudem nie zmyliło drogi, nie stoczyło się ze stromego wzgórza, to już wiedział chyba Anioł Stróż Paschalisa.

Gdy się nauczył dobrze chodzić, biegał często sam do kościoła i nikt mu tego nie bronił, przekonawszy się, że idzie i wraca zdrowo, jakby go kto prowadził za rękę. Z matką co rano siuchał mszy św. i rozpytywał o wszystko. Co to za śliczna pani w złocistej sukience? Dlaczego świece zapalają? Co mówi ksiądz? Dlaczego

dzwonek dzwoni i t. d. Matka opowiadała mu o Bogu, miłosiernym ojcu wszystkich ludzi, pokazywała krzyż na ołtarzu i tłumaczyła co ten krzyż znaczy, mówiła o Matce Najświętszej, a dziecko słuchało chciwie i uczyło się kochać Boga.

Za ubodzy byli rodzice Paschalisa, aby mogli posyłać dzieci do szkoły; ledwie trochę podrosły, już musiały iść do obcych ludzi na służbę. Przyszła kolej i na najmłodszego; przyjął go któryś z zamożniejszych gospodarzy za pastuszka. Pilnując bydła na łące, po całych dniach samotny, Paśchalis przemyślał, jakimby tu sposobem nauczyć się przynajmniej czytać. Z książek pewnieby się dowiedział o Bogu, o świętych, o tem, jak trzeba się sprawiać, aby się Panu Jezusowi przypodobać, jakim sposobem unikać złego; a on biedny, nieświadomy niczego.

Pewnego dnia znalazł w domu jakąś starą książkę i wziął ją ze sobą na pastwisko; a gdy tylko spostrzegł kogo przechodzącego niedaleko, biegł i prosił, żeby mu dwie albo trzy litery pokazał i powiedział jak się nazywają. Przypatrywał im się uważnie i powtarzał je póty, aż doskonale zapamiętał. Gdy już w taki mozolny sposób nauczył się abecadła, próbował znów z ludzką pomocą składać wyrazy i tak powoli, bardzo powoli, przecież postawił na swoim, umiał czytać. Matka wystarała mu się o książeczkę z nabożeństwem do Matki Boskiej. Co to była za radość,

gdy zobaczył ile tam pieśni, modlitw, litanij! Aby móżdż je odczytywać spokojnie, zabrał swoje owce ze wspólnego pastwiska, gdzie inni chłopcy dokazywali, bawili się, i przepędził je na odosobnioną łączkę koło starej kapliczki przydrożnej. Tam zasiadł na schodkach i z wielką pobożnością modlił się. Któryś z pasterzy doniósł gospodarzowi, że Paschalis obrał najgorszy kawałek łąki dla jego owiec; rzeczywiście grunt był tam kamienisty, ziemia słońcem przepalona, ledwie gdzie-ś gdzie kępka trawy zieleniała. Wieśniak wybiegł czem prędzej z domu zląjąc niedbałego pastuszka.

— Jak można być tak głupim, żeby głodzić biedne zwierzęta! — krzyczał ze złością na dziecko. — Kamienie ci będą jadły, czy co? Wynosź mi się stąd zaraz!

— Pod okiem Boskiej Matki miałaby się stać krzywda owieczkom? Co też powiadacie, gospodarzu! — odpowiedział Paschalis naiwnie. — Miejcie ino cierpliwość i pozwólcie mi je tutaj pasać, a zobaczycie, że nigdy głodu nie zaznają.

Zastanowił się chłop, nie śmiał przeczyć pobożnemu dziecku, a po niedługim czasie przekonał się, jak dobrze zrobił ustępując mu; na całą wieś nie było tak pięknych tłustych owieczek, jak jego własne, z lichej łąki pod kapliczką.

Pewna zapobiegliwa gospodyni chciała i swoje chude kozy utuczyć i poszła do Paschalisa nakłonić go, by przechodząc wedle jej chaty, zabie-

rał razem i jej trzodę. Ale chłopiec odmówił bez namysłu.

— Dlaczego nie chcesz? — ofuknęła go. — Jedna ci robota pędzić piętnaście sztuk, czy dwadzieścia pięć; a zapłata podwójna. Nie rozumiesz, że ci dobrze radzę?

— Owieczki mnie słuchają, a kozy uparte — odpowiedział, ruszając ramionami.

— Wyćwiczysz je prętem raz i drugi, to cię będą słuchały.

— Tylu jest pastuchów we wsi, zgódźcie sobie innego, ja nie chcę.

Pobiegła do Baylonowej na skargę i ta jej naturalnie przyrzekła wszystko załatwić po jej woli. Tymczasem Paschalis i matce nie dał się przekonać. Pogniewała się.

— A jak ci każe, to musisz! — krzyknęła — gadasz, że kozy uparte, tyś sam kozioł. Jutro zabierzesz ze sobą trzodę Janowej i basta.

— Nie gniewajcie się, matusiu — odpowiedział chłopczyk pokornie i pocałował ją w rękę. — Ja nie z uporu, ale z czego innego to czynię.

— Ciekawam bardzo.

— Wiecie, siedzę sobie u drzwi kapliczki, czytam na tej książce, coście mi podarowali, myślę to o Panu Jezusie, to o Matce Boskiej; wyuczam się modlitewek napamięć, a moje owce pasą się spokojniuszko tuż koło mnie; jak dzień długi żadna mi nie ucieka. Już tam widno Najświętsza Panienska przykazuje aniołkom uważać

na nie. A kozy co? Jedna w prawo, druga w lewo, do lasu blisko, porozbiegają się, musiałbym szukać, gonić, ale nie o to mi chodzi. Gorzej, że wleżą gdzie w szkodę, a choćby tego nikt nie spostrzegł, i tak będę miał krzywdę ludzką na sumieniu. Nie przykazujcie mi, matusiu najmilejsza, pięknie was proszę. Przecie sama nie chcecie abym grzeszył, prawda?

— Prawda, synku, nie pomyślałam o tem; zarobek mi był w głowie. Ale teraz cię nie przyzaglam, bo widzę, że sprawiedliwie mówisz.

I Janowa musiała szukać dla swych kóz innego pastuszka.

Tak to od wczesnych dziecinnych lat wystrzegał się Paschalis najmniejszego grzechu, unikał sposobności do złego. A starał się przytem posłużyć każdemu, był zawsze łagodny, cierpliwy, wszyscy go lubili. Rówieśnicy nie śmieli traktować go poufale jak towarzysza, tak w nich wzbudzał szacunek.

Kilka lat przebył w służbie u tego samego gospodarza a potem powędrował do dalszej wsi, bo mu się tam trafiło dobre miejsce, a chciał dopomagać swą pracą rodzicom i mieć czasem jakiś grosz na jałmużnę. Zgodził się za pasterza u zamożnego właściciela folwarku, Marcina Garcii. Służył mu pilnie i wiernie, a całym postępowaniem tak sobie zjednał jego serce, że ów chciał go przyjąć za syna i cały majątek mu zapisać. Ale Paschalis odpowiedział mu, że dla miłości Bożej

woli pozostać ubogim. I dalej pełnił swoją służbę. Cała okolica podziwiała jego prostotę, pokorę i czyste życie; zwano go powszechnie świętym pasterzem.

Gdy mu się zdarzyło zbłądzić przez zapomnienie, zaniedbać niechcący jakiego obowiązku, albo zniecierpliwzić się w duszy, natychmiast robił węzełek na sznurku, który nosił przy sobie. Nie czekał aż się tych węzłów zbierze wiele, ale biegł czem prędzej skruszony i żałujący do spowiedzi. Inni pasterze dziwili się bardzo, co on może mieć do powiedzenia księdzu, bo żaden z nich nawet cienia grzechu w nim nie zauważył.

Wiązał też Paschalis zgrabne kulki z giętkiego sitowia, nawlekał je na sznurek i w ten sposób sporządził sobie różaniec, na którym się codzień modlił. Klękał wtedy zwrócony twarzą do pustelni w górach, gdzie słynął cudowny obraz Matki Boskiej i kędy chadzały kompanje pielgrzymów kilka razy do roku. W wolnych chwilach zrobił więcej takich różańców jak swój i rozdawał je znajomym. Tłumaczył, jak on sobie te modlitwy wyobraża: pięć Ojczy nasz w każdej części różańca, to pięć ran Pana Jezusa, pięć ognisto czerwonych róż, a każdy dziesiątek Zdrowaś to różę białą, cnoty Najśw. Panny. Miał zawsze pod ręką mały ołtarzyk, który sporządził w następujący sposób: u samej góry swego pasterskiego kija przymocował poprzeczne drewnienko, to tworzyło krzyż; poniżej wyrzeźbił postać Matki

Boskiej. Wbijał ten krzyż w ziemię pod drzewem, klękał i modlił się z tak gorącym przejęciem, jakby widział niebo otwarte przed sobą. Inni pasterze podsłuchiwali nieraz tych jego natchnionych modlitw, ale gdy to spostrzegł, milknął i smucił się; anielska jego pokora bała się pochwał ludzkich.

I tak, choć niezawsze mógł być w kościele, codzień myślą i sercem słuchał mszy św. klęcząc przed swoim ołtarzykiem. A widno miłym Bogu był ten jego kij pastuszy, bo go uczynił narzędziem Swej łaski. W okolicy, w której Paschałiś przebywał, znajdowały się dość gęste bajora i stawy, w których wieśniacy poili swe bydło, ale daleko trudniej było o wodę źródlaną, zdrową do picia dla ludzi. Nieraz pasterze cierpieli pragnienie, bo trzeba było biegać daleko po wodę. Pewnego dnia narzekali na to przed Paschalisem, a on słuchał tych żalów i przykro mu było, że pomóc nie może. Wreszcie rzekł:

— A gdyby tak przewiercić kijem dziurę w ziemi, możebyśmy natrafili na wodę? Spróbuj Manuelu.

Manuel wpakował swą łaskę w ziemię aż po rękajeść, nie tylko się woda nie pokazała, ale nawet śladu wilgoci nie było.

— Może tam dalej, ku lasowi, niech Jakób szuka wody, albo każdy z osobna.

Czterech było pastuszków, próbowali wszyscy, ale daremnie.

— Ot, coś gadasz nie do rzeczy; — rzekł najstarszy — ludzie głębokie studnie kopią i nieraz nie dokopią się wody, a tobie się śni, że to tak łatwo.

Nie odpowiadając, wziął Paschalis swój kij z krzyżykiem i z trudem go począł wpychać w ziemię, tuż obok miejsca, gdzie Manuel czynił to pierwaj bezskutecznie. Ledwie go zagłębił do połowy, szara sucha ziemia pociemniała, zwilgotniała, pokazały się kropelki, trysnęło źródło. Oniemieli z podziwu patrzyli na towarzysza jak na czarodzieja. Lecz on spokojny zupełnie pocałował krzyżyk i im go podał do pocałowania, mówiąc:

— Dziękujmyż Panu Jezusowi i Matce Jego; zrozumieliście chyba, że to Oni w Swej łaskawości udarowali nas wodą.

Gdy się dosyła napili, odeszli.

— Coś wam powiem... — szepnął Pietrek i obejrzał się, czy go Paschalis nie słyszy. — On to dobrze wiedział gdzie źródło; siedzi tu wiecznie sam z owcami, wymacał którego dnia wodę, potem zasypał ziemią i przydeptał, a teraz cuda wyrabia. Zawołajcie go jutro na Łąkę c z t e r e c h d e b ó w, tam jeszcze nigdy nie był; niech dłubie kijem, ciekawym czy co wskóra.

Zgodzili się i pobiegli nazajutrz z propozycją do Paschalisa.

— Poszedłbym chętnie — odpowiedział — ale krów i owiec nie mogę zostawić samych.

— Józek ich przypilnuje — rzekł Manuel — umyślniem go tu z domu przyprowadził; chłopak już mądry, da sobie rady; zresztą twoje bydło spokojne, niema z niem kłopotu.

Pobiegli wszyscy pędem na Łakę czterech dębów. Paschalis nie szukał miejsca, nie wybierał, gdziekolwiek stanął i swoją laskę zatknął, z szumem i bulgotaniem wybuchało źródło. Ale pokorny młodzieniec nie przypisywał tego widocznego błogosławieństwa Bożego swej zasłudze, tylko najlitościwszej Opatrzności.

Nic nie miał miłszego dla siebie, jak słuchać mszy św. i w dzień powszedni, gdy mu na to pan jego pozwolił. Wtedy zatopiony w uwielbieniu Najśw. Sakramentu zapominał o całym świecie, ciężko mu było rozstawać się z Panem Jezusem. Za powrotem do domu dziękował gorąco gospodarzowi i szedł z wesołością do roboty.

Starannie pilnował, aby powierzone mu bydło nie zachodziło w szkodę, tak się bał cudzej krzywdy. Jednak zdarzyło się raz, że pozostawszy ze swą trzodą na noc na pastwisku, zdrzemnął się, i owce tymczasem wlażyły w zasiane pole, napasły się i podeptały sporo zboża. Skoro świt pobiegł Paschalis do gospodarza, przeprosił go i żądał obliczenia szkody, którą przyrzekł zwrócić co do grosza skoro tylko dostanie swą roczną zapłatę. Lecz gdy w parę miesięcy później przyszedł z pieniędzmi, ów gospodarz nie chciał ich przyjąć.

żadną miarą, bowiem z tego właśnie zdeptanego pola otrzymał w żniwa najwięcej snopków i wymłócił najpiękniejsze ziarno.

Święty pastuszek nosił zawsze przy sobie sierp i pomagał żniwiarzom przy robocie, by tym sposobem wynagrodzić szkody, jakie może kiedy wyrządziły jego owce.

Czyste miał serce, czyste myśli, kochał prawdę. Gdy ktoś pozwalał sobie mówić nieskromnie w jego obecności, uciekał z obrzydzeniem. Dałby się raczej porąbać w kawały, zanimby wymówił słowo kłamliwe. Zdarzało się czasem, że mu ktoś niedowierzał; wtedy zapewniał słowami: „Dopawdy tak jest jak mówię“. Więcej to u ludzi znaczyło, niż przysięga przed sądem niejednego człowieka bez sumienia.

Martwił się, że pasterze, z którymi chcąc nie chcąc musiał przestawać, klócili się, przeklinali, nieraz przysięgali, wzywając imienia Boskiego w rzeczach małej wagi. Dręczyła go myśl, że część winy ciąży i na nim, ponieważ słyszy te bezbożne mowy, a nie umie nakazać milczenia swym towarzyszom. Długo przemyślał i zastanawiał się, jakby się wyrwać z tego otoczenia, i znalazł tylko jeden ratunek dla swej duszy, życie w klasztorze. Skończywszy lat 20, wstąpił do zakonu św. Franciszka z Asyżu; tam w ubóstwie i zaparciu się własnej woli mógł lepiej Bogu służyć, niż na świecie.

Tak się też stało: Paschalis jako zakonnik wznosił się do wielkiej świętości; Bóg udarował go łaską cudów za życia i po śmierci.

* * *

Chciej naśladować tego świętego w której z jego cnót, kochane dziecko. Np. postanów sobie przy rannym pacierzu, że przez cały dzień będziesz się strzegł najmniejszego grzechu; że dobrowolnie, nawet złą myślą nie obrazisz Boga. Przyjdzie na ciebie pokusa, to sobie pomyśl: Pan Bóg jest przy mnie, widzi mię, czyta w mem sercu; nie chcę grzeszyć, nie chcę zasłużyć na karę. A wieczorem spytaj swego sumienia, czy w ciągu dnia nie popełniłeś dobrowolnie jakiego grzechu. Jeżeli sobie coś takiego przypominisz, przeproś odrazu Pana Jezusa i obiecaj Mu, że jutro postarasz się być lepszym.

ŚWIĘTA AGNIESZKA.

To święte dziecko było czczone od pierwszych wieków chrześcijaństwa we Włoszech, w Hiszpanji, Francji; wielcy uczeni naszego Kościoła opisywali jej życie i sławili jako najpiękniejszy wzór dziewiczej niewinności. Święty Ambroży, biskup medjolański, powiada o niej: „Wszystkie narody wielbią jednogłośnie Agnieszkę, bo- wiem odniosła zwycięstwo nie tylko nad srogim tyranem, ale i nad słabością swych młodych lat“.

Opowiem wam co jest przechowane w sta-
rych księgach o jej króciuchnem życiu:

Bogata narzeczona.

Urodziła się w Rzymie w r. 291 z bogatych i znakomitych rodziców. Piękną miała postać i urodziwą twarzyczkę, której szczególnego wdzięku dodawała skromność i szlachetna prostota. Jako mała dziewczynka złożyła w ofierze swą niewinną duszyczkę Zbawicielowi i przysięgła, że ziemskiego oblubieńca znać nie chce.

Od tej chwili modlitwa i miłosierne uczynki stały się treścią jej życia.

W owych dawnych wiekach zwyczajem było tak w zamożnych jak i uboższych domach, wydawać córki młodo zamaż, a zaręczać je czasem nawet w dzieciennych latach. Pewnego dnia, gdy trzynastoletnia Agnieszka szła ulicą z domu, gdzie pobierała nauki, spotkał ją syn prefekta (naczelnik miasta nazywał się u Rzymian prefektem); od pierwszego wejrzenia tak mu się podobała, że bez długich namysłów postanowił ją zaślubić. Odwiedził rodziców Agnieszki i prosił o rękę ich córki. Ale dziewczynka, zawsze pokornie posłuszna rodzicom, tym razem odmówiła stanowczo.

— Dlaczego nie chcesz być moją małżonką? Powiedz, uczynię wszystko, aby twe serce pozyskać — rzekł młodzieniec.

— Nie mogę i nie chcę być twoją, — odpowiedziała — mam już narzeczonego, nie złamię danego słowa.

Nie wiedział, że jest chrześcijanką i o swym boskim oblubieńcu Jezusie mówi. Odszedł smutny do domu, lecz nazajutrz powrócił, a słudzy nieśli za nim wspaniałe klejnoty i strojne szaty. Cieszył się nadzieją, że te bogate podarunki skłonią serce dziewczynki ku niemu. Lecz odtrąciła i dary i osobę jego po raz drugi, mówiąc:

— Idź precz ode mnie, strawo śmierci! Ten co mię kocha i którego ja nad wszystko miłuję, obdarzył mnie kosztowniejszemi upominkami.



ŚW. AGNIESZKA.

(Kwiaty bożego ogrodu.)

PHOTOGRAFIA DZIEŁNAJĄCICH
W WARSZAWIE

Jest szlachetniejszy rodem i znaczeniem od ciebie.

Wrócił do domu rozżalony i z rozpaczą zachorował ciężko. Wtedy prefekt posłał po Agnieszkę, a gdy się przed nim stawiała, usiłował rozczulić ją, prosił by się nad synem jego, chorym z miłości dla niej, ulitowała.

— Patrz, oto umiera przez ciebie! — zawołał.

— Czyż dlatego mam zerwać dawniejsze przyrzeczenie? Napróżno żądacie, panie, abym to uczyniła.

Po jej odejściu prefekt zasięgał wieści u znajomych, ktoby to miał być ów narzeczony, którego Agnieszka wyżej ceniła nad jego syna. Nikt go nie znał, o nikim takim nie wiedziano. Dopiero któryś z domowników prefekta odezwał się:

— Dziewczyna jest chrześcijanką od urodzenia; zapewne czarodziejskimi sztukami omamiona, Bogu chrześcijan oddała swe dziewictwo i jego nazywa oblubieńcem.

Słowa te napęłniły otuchą serce zasmuconego ojca; rozumiał, że prośbą, czy groźbą postawi na swoim. Po raz wtóry kazał przyprowadzić Agnieszkę, przyjął ją na osobności i łagodnie przedstawiał, jak źle czyni, sprzeciwiając się, gdy wie, że siła po jego stronie i gdyby tylko chciał, mógłby ją przymusić. Milczała z obojętną twarzą, jakby wcale mowy jego nie słysząc. Zniecierpliwiony począł grozić, że ją żywcem spalić każe,

jeśli nie wyprze się swej wiary. Gdy groźby zarówno nie pomagały jak przyjazne namowy, kazał ją wlec skrępowaną do świątyni, by tam przed ołtarzem pogańskiego bóstwa sypała kadzidło na wiecznie tlejące ognisko. Ale skoro tylko pacholek rozwiązał jej ręce, zamiast złożyć hołd bałwanom, przeżegnała się pobożnie, stwierdzając znakiem krzyża swą niezachwianą wiarę.

Rozwścieczony prefekt rozkazał ją oddać w ręce nieuczciwych kobiet, aby zhańbiona przebywaniem w ich domu, tem pokorniej przyjęła jego wielką łaskawość. Ale ona spokojna i ufna rzekła do swego prześladowcy:

— Jezus Chrystus nie opuści mnie. On moja obroną. Anioł stróż także czuwa; gdziekolwiek jestem, nic mi się złego nie stanie.

Syn prefekta wyzdrowiawszy poszedł do domu, gdzie z musu pozostawała, i zbliżył się do niej zuchwale; w tejże chwili siła niewidzialna odtrąciła go, padł na ziemię martwy, jakby gromem rażony. Słudzy poskoczyli czem prędzej zawiadomić o strasznym wypadku prefekta. Przybiegł i rzucił się z krzykiem na ciało syna.

— Tyś zabiła czarami moje dziecko... nikczemna guślarko! — zawołał oszalały z gniewu i żalu.

— O nie, Panie; — odpowiedziała Agnieszka — nie uczyniłam krzywdy waszemu synowi, anioł Boży ujął się za mną i pokarał go śmiercią.

— Jeżeli mówisz prawdę, — odparł prefekt — tedy rzeknij aniołowi, aby mu wrócił życie.

— Ustąpcie stąd, panie, wszyscy niech się oddalą.

Gdy odeszli, Agnieszka upadła na kolana i błagała Boga z płaczem, aby przebaczył winę grzesznikowi i zbudził go do życia. I ukazał się promienny anioł, pocieszył ją, uspokoił i jak poprzednio dotknięciem swej prawicy zadał śmierć młodzieńcowi, tak samo jednym skinieniem przywrócił mu życie i zdrowie. Syn prefekta wybiegł na ulicę, gdzie ojciec i służba oczekiwali nań i wołał głosem wielkim:

— Jeden tylko jest Bóg prawdziwy! Bóg chrześcijan! Bałwany, którym się kłaniacie, niczem są i nic nie mogą!

Słyszając te słowa, słudzy świątyni Jowisza zapalali straszną nienawiścią i natychmiast udali się do namiestnika cesarskiego, żądając śmierci niebezpiecznej czarownicy. Prefekt nie śmiał przemówić za nią, choć zawdzięczał jej życie syna, bo lękał się zemsty kapłanów. Odesłano Agnieszkę do sędziego. Niedługo ją badał, zgóry wiedząc, że ma wydać na nią wyrok śmierci.

Męczeństwo.

Wyprowadzono Agnieszkę za miasto, siepacze ułożyli stos ze suchego drzewa, podpallili, a gdy już wielkim ogniem płonął, rzucili nań Ag-

nieszkę. Lecz płomienie rozstały się na dwie strony, nie tykając szat świętej dziewicy; natomiast srodze poparzyły katów i tych, co najbliżej stali. Ona uklęknęła spokojnie ze złożonemi rękoma i modliła się głośno. Ogień malał, przycichał, aż z ostatnimi słowami modlitwy zupełnie wygasł. Nawet widok tego cudu Boskiego nie ułagodził wrogów; kapłani i lud, przez nich podburzony, domagali się śmierci Agnieszki. Więc sędzia skazał ją na ścięcie. Przyjęła wyrok z radością.

Tłum się rozstał. Niektórzy patrząc na młodzieńką dziewczynkę, owieczkę bezbronną wśród srogich wilków, płakali z litości. Sam kat stał zawstydzony i nie śmiał jej dotknąć. Rzekła doń:

— Czemu się wahasz? Nie obawiaj się zabić mnie; śmierć jest początkiem nowego, wiecznego żywota.

Uklęknęła, zmówiła ostatnią modlitwę, a kat ściał jej głowę mieczem.

Stało się to w roku 303 po narodzeniu Chrystusa.

Grób świętej.

Piękna męczeńska śmierć córki nie zasmuciła rodziców. Przyszli na miejsce stracenia, zabrali jej ciało ze czcią wielką, zanieśli do swej małej wiejskiej posiadłości za bramami Rzymu i tam pogrzebali.

Do grobu męczennicy ciągnęły wielkie rzesze chrześcijan na modlitwę, a do nich przyłą-

czyła się rówieśnica i przyjaciółka Agnieszki, imieniem Emerencjana. Dziewczynka ta nie była jeszcze ochrzczoneą, ale знаła już Boga prawdziwego i przygotowywała się do przyjęcia św. sakramentu.

Spostrzegłszy te codzienne procesje, poganie wyruszyli zbrojno, aby je rozproszyć. Dzieci rzucały kamieniami na modlących się, zraniono kilkoro ludzi. Emerencjana stanęła nieustraszona w pośrodku drogi naprzeciw tłumowi i w ostrych słowach czyniła poganom wyrzuty. Ta mowa dziecka rozjątrzyła ich jeszcze bardziej; wszyscy porwali za kamienie, posypał się grad gładów na głowę Emerencjany. Padła martwa na ziemię, przyjmując krwawy chrzest męczeństwa.

W tejże samej chwili dał się słyszeć huk straszny, ziemia zadrżała, błyskawice rozdarły strop niebieski a pioruny biły raz za razem. Wielu pogan zginęło od tych piorunów, reszta rozbiegła się w popłochu.

W nocy złożono ciało Emerencjany do grobu tuż obok Agnieszki, a rodzice i krewni strzegli kolejno świętych relikwii przed nowym napadem ze strony pogan. Gdy tak modlili się pewnej nocy, ukazał im się liczny zastęp dziewic w blasku niezmiernym. Odziane były w lśniące złociste szaty. W pośrodku szła Agnieszka, wiodąc przy sobie baranka białego jak śnieg. Wszystkie te dziewice zatrzymały się przed rodzicami Agnieszki, a ona tak przemówiła:

— Nie smućcie się moją śmiercią, nie płaczcie, ale owszem radujcie się razem ze mną; otrzymałam w niebie tron wspaniały i na wieki przebywać będę z Tym, którego umiłowałam ponad wszystko, żyjąc na ziemi.

Kościół katolicki obchodzi pamiątkę tego zjawienia w dniu 28 stycznia.

Ta wielka siła wobec mąk i śmierci jest prawdziwie cudowną u tak słabej dziewczeczki. Ale nie myślcie, kochane dzieci, by Agnieszka miała ją sama ze siebie. Duch Św., który jest Mocą, naplnił jej duszę męstwem, a ona pracowała wspólnie z łaską boską, jak tylko mogła najgoręcej.

Wszystkim nam słabym, nędznym ludziom potrzeba mocy w życiu. Bez niej nie jesteśmy w stanie kroku postąpić na drodze cnoty. Np.: Powinniśmy kochać Boga nad wszystko w święcie, nad krewnych, rodziców, nad siebie samych. A czyżbyśmy to potrafili bez łaski Ducha Św.? Albo np.: chciałbyś się modlić tak, aby twoja modlitwa miłą była Bogu. Nie umiesz, Duch Św. jedynie może cię tego nauczyć. Albo jeszcze inny przykład: trzeba słuchać rodziców, nauczycieli, nawet wedy, gdy nam nakazują coś trudnego, nie raz coś przykrego do spełnienia. Nie zdobędziesz się na takie posłuszeństwo nigdy, bez pomocy Ducha Św.

Pozostawieni sami sobie, popadlibyśmy z łatwością w grzechy, możebyśmy je nawet pokochali, bo natura ludzka skłonniejsza jest do złego,

niż do dobrego. Duch Św. sprawia, że uczuwasz obrzydzenie do grzechów, żałujesz za nie, przepraszasz Boga i starasz się poprawić. Ach, ile dobrych natchnień, ile łask otrzymujesz z niezmiernej dobroćliwości Ducha Świętego! Więc też módl się pokornie, módl się z prostotą, boś jest biedne, małe, słabe dziecko. Staraj się nie czynić, ani nawet nie myśleć nic takiego, czembyś sprawił przykrość Duchowi Św. A gdy ci coś w duszy doradza, żebyś spełnił jakiś dobry uczynek, usłuchaj zaraz, ani się wahaj, to Bóg mówi do ciebie.

Ach gdybyś mógł zrozumieć, jak bardzo Bóg cię kocha! Stokroć więcej, niż ty kochasz sam siebie.

Jeżeli poddasz swą wolę, temu dobremu głosowi wewnętrznemu, jasna pogoda i wesele zapanują w twem sercu. Jako najpiękniejsze różnobarwne kwiaty zakwitną w niem cnoty chrześcijańskie. Anioł stróż, i sam Bóg w Trójcy Świętej jedyny spoglądać będą na ciebie z upodobaniem, tak samo jakbyś i ty się cieszył widokiem słonecznego ogrodu pełnego kwiecia.

Pan Jezus powiedział, że w duszy takiej On i Ojciec uczynią sobie mieszkanie.

ŚWIĘTY JAN BERCHMANS.

W miesiącu sierpniu roku 1621 leżał ciężko chory młody zakonnik w małej celi klasztoru jezuitów w Rzymie. Pielęgnujący go brat widząc, że choroba się wzmaga, wspomniiał mu ostrożnie o śmierci. Lecz on, wcale nie przerażony tą myślą, kazał sobie podać krucyfiks i książeczkę z regułami zakonu, zdjął z szyi różaniec, a przyciskając do serca te trzy przedmioty, rzekł spokojnie:

— Oto są trzy rzeczy, które najbardziej kochałem w życiu, z temi chętnie umieram.

Tym młodzieńcem był Jan Berchmans.

Urodził się 13 marca 1599 r. w Diestheim, małej niderlandzkiej mieścinie; rodzice jego nie posiadali wielkiego majątku, ale byli zacnymi, uczciwymi ludźmi, wychowali syna po chrześcijańsku. Początkowe nauki pobierał najpierw w szkole miejskiej, a potem przez trzy lata w zakładzie wychowawczym pewnego księdza.

Jako czternastoletni chłopczyk dostał się do Mechlinu do domu zakonnika Froymonda, który

w podeszłym wieku będąc, potrzebował roztropnej usługi i towarzystwa. Ale nie bronił dziecku uczyć się; owszem, sam go posyłał do nowo otwartego przez księży jezuitów gimnazjum. Gdy skończywszy szkoły, młody człowiek zastanawiał się nad wyborem stanu, uczuł nieprzewyciężone powołanie do zakonu. Zaraz też w r. 1616 wstąpił do nowicjatu oo. jezuitów w Mechlinie, tam przebył dwa lata, złożył śluby i wyjechał dla wyższych studjów teologicznych do Rzymu. Cieszył się, że zostanie księdzem, lecz Bóg inaczej zarządził: w sierpniu 1621 dostał gwałtownej gorączki i umarł po kilkodniowej chorobie.

Jeżeli policzymy lata św. Jana Berchmansa, to krótkiem było życie jego; ale widzimy tyle cnót i zasług, zdobytych usilną pracą w tym niedługim czasie, że nagrodą za nie stało się niebo.

Jak pracował, by tę szczęśliwość wieczną zaskarbić sobie? Naśladował wiernie Jezusa Chrystusa, wzór świętości i czcił całym sercem Marię, Matkę Jego.

Opowiem wam nieco o jego życiu, to zrozumiecie, dlaczego miło mu było umierać z krzyżem i różańcem w ręku.

Krzyż.

Jeżeli masz portret zmarłego ojca lub matki, to nie dlatego jest on ci drogim, że ma np. złoczone ramy, ale że przedstawia ukochaną osobę;

prawda? Otóż i św. Jan Berchmans dla tej samej przyczyny lubił mieć krzyż przy sobie; patrząc nań, wspominał na Tego, który życie oddał z miłości dla nas i z miłości dał się przybić do krzyża. Trudno mu było oderwać się od tych rozmyślań.

Mechlin posiada stacje drogi krzyżowej na górze zwanej Kalwaryjską; to było najmilsze dla Jana miejsce, gdzie codzień spędzał wolne od nauki chwile. Modląc się z wielkiem skupieniem, obchodził te stacje boso, aby nie tylko myślą cierpieć razem z Panem Jezusem, ale aby przez umartwienie ciała łączyć się z Nim w tej kalwaryjskiej drodze. Ciągłe rozważanie męki Pańskiej uczyło go pojmować miłość Zbawiciela, i w jego też sercu gorzała coraz płomienniejsza miłość dobrego dziecka ku wszechmocnemu Ojcu. Wielka jej siła nie polegała na samem jedynie uczuciu, ale objawiała się w chętnem dźwiganiu codziennego krzyża.

Cóż to jest codzienny krzyż? To są owe małe lub większe zmartwienia i przykrości, których pełne jest życie nasze. Nie tylko ludzie dorośli mają troski i kłopoty; dzieciom także nieraz bywa bardzo smutno; a uniknąć tych smutków niepodobna, ani uciec przed nimi, musimy je zność czy chcemy czy nie. W tem właśnie polega wielka różnica, jak przyjmujemy nasz krzyż codziennie. Jeżeli cierpisz, bo musisz, jak skazaniec znosi kajdany i więzienie, z niecierpliwością, wstrętem, wyrzekaniem na los i Opatrzność, to

cierpienie twoje obraża Boga, jest grzechem, i tak samo nie przysparza zasługi twej duszy, jak męki piekielne duszom potępieńców. Przeciwnie zaś, jeżeli dźwigasz krzyżyk codzienny z poddaniem się woli Boskiej i z miłością ku Panu Jezusowi, mniej odczuwasz jego ciężar, nabywasz cnót, jednasz sobie coraz większą łaskę Bożą, słowem, pracujesz na wieczną szczęśliwość w niebie, jak św. Jan Berchmans.

Jednym z ciężkich krzyżów dla dzieci jest obowiązek posłuszeństwa. Jan poddawał się ochoczo rozkazom swych rodziców; wystarczyło im powiedzieć słowo, aby usłuchał natychmiast. Tak samo było w szkole, następnie w nowicjacie. W czasie pobytu w Rzymie poszedł raz z braćmi zakonnymi do sadu jezuitów; pozwolono im na tę przechadzkę pod warunkiem, że nie będą zrywać owoców. Naturalnie żaden z kleryków nie przekroczył tego zakazu, ale gdy znaleźli kilka orzechów pod drzewem leżących, jeden z nich schylił się, by je pozbiierać i zjeść.

— Zapomniałeś, że nie wolno nam tykać owoców — przestrzegł go Jan.

— Nie zrywam przecie, — odpowiedział tamten — same spadły; z ziemi wziąć wolno.

— Mnie się zdaje, że ubliżyłbym sobie, przekraczając w ten sposób wyraźny zakaz na swoją korzyść.

Przyczyną, że ściśle i sumiennie wypełniał rozkazy przełożonych, było głębokie przekona-

nie, że słuchając starszych, słucha samego Boga. W zapiskach jego znajduje się taki ustęp:

„Posłuszeństwo polega na zjednoczeniu woli naszej z wolą Boga. W osobie moich przełożonych widzę samego Chrystusa Pana i dlatego nigdy mi przez myśl nie przejdzie żądać, aby mi się tłumaczyli, dlaczego coś rozkazują“.

Drugim codziennym krzyżem jest praca. Nauka wypełniała życie naszego świętego; już w domu rodziców zrywał się przed wschodem słońca, żeby móc uczyć się dłużej. W szkole na pauzie, gdy koledzy bawili się, on siedział nad książką. I w konwiktie odznaczał się taką samą pilnością. Przełożony szkoły tak o nim pisze: „Trzy lata pozostawał pod moim kierownictwem i ani razu nie zasłużył na karę, ani nawet na naganą. Jedynie w zamiłowaniu do pracy umysłowej trzeba go było powściągać; często prosił o pozwolenie, by móc się zabrać do lekcji przed końcem rekreacji. Przy obiedzie zawsze miał otwartą książkę przed sobą. Świetne postępy w naukach były mu też obfitą nagrodą tej pilności“.

Wstąpiwszy do zakonu uczył się dalej z takim samym zapalem. Nie była to pospolita żądza wiedzy, która dodawała bodźca, ale głębokie przeświadczenie, że wolą Bożą jest, aby umiał jak najwięcej, i że ta usilna jego praca podoba się Bogu. W tych samych zapiskach, o których już wspomniałem, znajdują się także następujące słowa:

„Celem dobrego ucznia powinna być jedynie chwala Boża. Ma być przekonany, że jeśli się uczy z tą myślą przewodnią, praca jego staje się hołdem miłym Bogu“. — A dalej: „O mój Boże, ofiaruję wszystko czego się uczę i każdą inną pracę mego życia na cześć Twoją i ku chwale Najśw. Panny. Ponadto przyrzekam całym sercem, że w pracach moich nigdy słuchać nie będę podszeptów złego ducha, ani też własnych złych skłonności“.

Trzecim codziennym krzyżem bywa często o b c o w a n i e z l u d ź m i. Kto chce żyć po chrześcijańsku w zgodzie z bliźnimi, musi im często ustępować, wyrzec się nieraz własnej woli, nie to czynić, co jemu samemu dogodnie, ale co chcą inni. Tak musi przełamywać miłość własną, aby uniknąć niepokoju, niezgody i najrozmaitszych nieporozumień. Kto się nie zdobędzie na takie zaparcie się siebie, nawet pokorę, nie zdoła żyć spokojnie w społeczeństwie, obraża Boga i sam się unieszczęśliwia. Zobaczmy co o tem myśli nasz święty:

„Staraj się nie być bliźnim ciężarem, ale umi leniem życia“.

„Postanawiam sobie strzec w mem sercu miłości bliźniego jako żrenicy oka, dopomagać kolegom w czem zdołam, pożyczać im książek, skryptów i t. d.“.

„Nie waź się sądzić drugich, ani się mieszać w cudze sprawy. Jeżeli się stało coś godnego po-

tępienia, ubolewaj w duszy i lituj się, a bacz na własne postępowanie“.

„Zmów na intencję poprawy tej osoby Zdro-
waś Marja albo inną modlitwę“.

„Nie pamiętaj uraz!“

Tak pisał św. Jan Berchmans i tak żył. Uni-
kał najpilniej w obcowaniu z drugimi wykroczeń
przeciw miłości bliźniego. Tym sposobem i sam
zachował błogi spokój duszy, posiadał przyjaźń
kolegów i dawał im budujący przykład. Wesołe
usposobienie i brak zarozumiałości jednały mu
wszystkie serca. Gdy się bawiono w gry podczas
rekreacji, uważał na siebie, aby jakimś zanie-
dbaniem albo niechęcią nie psuć zabawy. „Do-
czegokolwiek się bierzesz, czyń to dobrze i chęt-
nie“, taką miał zasadę.

Czwartym krzyżem codziennym są choro-
by, przeciwności, przykre niepo-
wodzenia i t. d. Tutaj przedewszystkiem
trzeba zapamiętać słowa Boże: „W cierpli-
wości posiędziecie władzę nad
sercem waszem“. Berchmans uporządkował
swe codzienne życie stosownie do tej rady:

„Cierpliwość polega na tem, byśmy znosili
niedole życia ze spokojem, nie poddając się zbyt-
niemu smutkowi, ani innym grzesznym uczuciom“.

„Przyjmij wszystko co cię spotyka, nawet
najprzykrzejsze, z pamięcią, że to jest z ręki Bo-
żej“.

„Nie okazuj niecierpliwości na zewnątrz, ani też sercu swemu nie pozwalaj na niezadowolenie, niepokój, smutek lub najlżejsze pragnienie zemsty“.

Myśli tu przepisane były gwiazdą przewodnią w życiu Jana. Że postępował ściśle według tych zasad, świadczyli towarzysze jego, z którymi przeżył pięć lat pod jednym dachem. Żaden nie mógł sobie przypomnieć faktu godnego nagany.

Każdy z was rozumie, że takie stosowanie się do drugich, zaparcie się siebie, łagodność, cierpliwość, nie przychodzą łatwo; zwłaszcza, gdy się jest młodym, żywego temperamentu, inteligentnym i utalentowanym człowiekiem. Kto inny dałby uczuć swą wyższość drugim; możecie być pewni, że tego rodzaju ofiary kosztowały wiele Jana Berchmansa. Pamięć na Zbawiciela, dźwigającego krzyż bez szemrania, i miłość ku Niemu, to źródło, z którego czerpał siły.

Różaniec.

Do umierającego Jana Berchmansa przystąpił jeden z zakonników i pytał:

— Powiedz mi, bracie, co ci szczególnie dopomogło w pracy nad swym udoskonaleniem?

Święty odpowiedział:

— Chętnie ci się przyznam, od czego zacząłem. Początkiem i podwaliną było mi nabożeń-

stwo do Najśw. Panny. Jeżeli zrobiłem jaki krok na drodze cnoty, Jej to zawdzięczam jedynie. Życzę ci bracie, a nawet chcę, byś i ty czynił to samo. Bądź zawsze i niezmiennie wiernym synem tej błogosławionej Matki.

Z ust umierającego świętego płynie rada dla młodzieży. Najpierwszą kierowniczką w poczciwym, chrześcijańskim wychowaniu dzieci jest Marja.

Berchmans lubił od dzieciństwa nawiedzać cudowne obrazy Matki Boskiej w kościołach i tam rozpamiętywał tajemnice różańca. Nierzadko odmawiał sobie jakiej ulubionej potrawy, aby w ten sposób, choć małym umartwieniem okazać swą miłość Najśw. Pannie. Jezuici w Mechlinie założyli bractwo Dzieci Marji, do którego dopuszczali tylko przykładnych i pilnych uczniów. Jan Berchmans prosił o przyjęcie; w bardzo krótkim czasie i tam odznaczył się chlubnie ponad innych członków. Obrany przełożonym bractwa, stał się apostołem Marji, korzystając z każdej sposobności, by rozszerzać Jej cześć i nabożeństwo do Niej. Sam zaś spełniał gorliwie przepisane w tem bractwie obowiązki.

W zakonie starał się najusilniej naśladować cnoty Matki Boskiej, aby w ten sposób zaskarbić sobie Jej miłość.

Jeden z jego towarzyszy opowiada: „W Rzymie chodziliśmy razem na przechadzkę, a Jan zawsze taką wybierał drogę, aby koniecznie prze-

chodzić koło kościoła lub kaplicy. Wstępowaliśmy obaj, klękali przed ołtarzem, lecz modlitwa Jana lepsza niż moja, porywała jego duszę w niebo; zapominał o całym świecie, nie wiedział, że czas upływa, i dopiero gdym głośno zawołał, że pora już wracać do domu, powstawał spiesznie napół przytomny, jakby ze snu zbudzony“.

Z przepelnionego serca mówiły usta. Czytał dużo, wyszukiwał budujące powieści, cudowne legendy o Matce Boskiej, i te opowiadał współuczniom tak mile i zajmująco, że nigdy im się nie przykrzyło go słuchać.

Pewnego razu opowiadał jednemu z kolegów w klasztorze, jak zakamieniały jakiś grzesznik, który bluźnił przeciw Marji, popadał w coraz cięższe zbrodnie i wreszcie haniebnie życie zakończył.

— Wolałbym — odparł tamten — żebyś mi raczej przytoczył zdarzenie, świadczące o dobrotliwej łaskawości Matki Boskiej.

— Owszem, miłosierdzie Jej nie ma granic, a łaska Jej jest bez miary. Chcesz przykładu? Wszak powołanie do zakonu nie jest twoją ale Jej zasługą. A któż umacnia twą wolę i wytrwałość? Marja.

Zwyczajem było jezuitów wysyłać kaznodziejów na ulice miasta, aby w przystępny sposób nauczali lud i dzieci. Przyszła raz kolej na Berchmansa; wziął ze sobą drugiego brata i poszli. Zaraz na najbliższym placu trafili na zbiegowisko:

jacyś podpici robotnicy klócili się z wrzaskiem, uliczne wyrostki grały pod murem w kości, a reszta pospólstwa gapiła się na zwadę, dorzucając obelżywe słowa to tym, to owym.

— Umykajmy stąd — szepnął towarzyszy Jana — jeszcze nas wyłają albo pobiją.

— Ufam w pomoc Matki Boskiej, że im każe umilknąć i słuchać mnie, gdy tylko zacznę do nich mówić.

Przeżegnał się, zmówił Zdrowaś i stanąwszy na podwyższonem miejscu, rozpoczął kazanie.

W teże chwili ustały krzyki, rzesza zwróciła oczy na młodego zakonnika, starzy i młodzi obstąpili go kołem i słuchali uważnie. Gdy skończył, odprowadzono go, dziękując za naukę, aż do drzwi klasztornych.

Nie tylko we własnych potrzebach biegł ufnie do Marji, prosił ją także za drugimi. Powiadał często: „Jeżeli miłuję Marję, wszystko otrzymam od Boga; jestem wszechmocny“.

Proszony o wstawienie się, miał zwyczaj spisywać na karteczce treść sprawy, o którą chodziło, kładł ten papier u stóp obrazu Matki Boskiej i modlił się jak natarczywe dziecko. Nie było przykładu, żeby go nie wysłuchała.

Bliską śmierci, zdobył się jeszcze na siłę, by uklęknąć przed Komunią św. i odmówiwszy Confiteor, tak dalej mówił:

— Wierzę i wyznaję, że tu przy mnie jest obecny Syn jednorodzony Boga Ojca wszechmo-

gącego, Syn przeczystej Dziewicy Marji. Wyznaję, że pragnę umierać jako wierne dziecko matki mej, katolickiego Kościoła, jako wierne dziecko Marji, Matki Najświętszej, że chcę żyć i umierać jako prawy syn zakonu Jezusowego.

Po tych słowach przyjął Komunię św. z najwznieściejszą pobożnością.

W nocy z 12 na 13 sierpnia, na krótki czas przed śmiercią zaczął śpiewać hymn „Witaj gwiazdo morza“. Przy słowach „Okaż mi się matką“ przerwał nagle i zawołał:

— Módlcie się! Czuję zbliżanie się złych duchów... boję się!

Jeden z ojców uspokajał go, mówiąc o dobroci Matki Najśw., a Jan mu rzekł:

— Gdybym miał tysiąc serc, tysiącem serc kochałbym Marię.

W chwilę później usiadł na łóżku z oczyma w górę wzniesionemi i zawołał głosem rozdzielającym:

— Nie, nie... tego nie uczynię! O Panie... Ciebie miałbym obrazić? Nigdy! O Marjo... nie chcę obrazić Twego Syna; wolę umrzeć! Wolę tysiąc razy umrzeć!

Opadł na poduszki, zwrócił głowę, jakby mówiąc do kogoś i znów mocnym głosem zawołał:

— Precz ode mnie, szatanie!

Wziął krzyżyk, różaniec, książeczkę zakonną i relikwje i pokazał te rzeczy wrogowi swej duszy, mówiąc:

— Oto broń moja! — potem obejrzał uważnie każdy przedmiot z osobna, jak żołnierz bada swój rynsztunek przed bitwą i rzekł ciszej: — Czegoż się boję? Krzyż zwyciężył piekło... różaniec, Matka-Dziewica starła piekielnego węża; moje reguły... nato są, by królestwo szatana burzyły. Relikwje... triumf świętych nad piekłem.

Jeden z ojców rozpoczął litanję do Matki Boskiej. Chory odpowiadał głośno i wyraźnie „Módl się za nami“. Przy słowach „Panno nad pannami, Matko najczystsza, Matko niepokalana“ wpatrywał się z uwielbieniem w obraz Marji nad łóżkiem wiszący. Wkońcu opuściły go siły, ze słowami Jezus, Marja... oddał Bogu niewinną swą duszę.

Stało się to w dniu 13 sierpnia 1621. Żył lat 22 i pięć miesięcy. Papież Leon VIII zaliczył go w poczet świętych 1888 roku.

ŚWIĘTA LIDWINA.

Lidwina urodziła się w Kwietną Niedzielę roku 1380 w mieście holenderskiem Schiedam. Ojciec jej pochodził ze starego szlacheckiego rodu, ale tak był ubogi, że musiał zarabiać na utrzymanie rodziny jako miejski stróż nocny. Matka pracowała ciężko w domu i wychowywała po Bożemu dziewięcioro dzieci, ośmiu chłopców i jedną dziewczynkę.

Bóg przeznaczył Lidwinie krzyżową drogę życia; z woli Jego miała iść śladami Zbawiciela, a przez cierpliwe znoszenie strasznych chorób zapracować na obfitą nagrodę w niebie. Niemowlątkiem w kołysce pierwszy raz zaniemogła; była to jakaś ciężka i niebezpieczna choroba, pojawiająca się tylko u starszych ludzi; niezmiernie się dziwiono, skąd jej tak małe dziecko dostało. Rodzice stracili nadzieję zachowania jej przy życiu, ale jak gorączka przyszła niespodziewanie, tak równie nagle nastąpiło polepszenie w sposób niemal cudowny.

Ledwie poczęła mówić i rozumieć, już chętnie słuchała opowiadań matki o Bogu, o Jezusie Chrystusie, Odkupicielu świata i o Najświętszej Pannie. W serduszkach Lidwiny zbudziła się rychło miłość ku Matce Bożej; rano witała Ją radośnie Pozdrowieniem anielskim; wśród dnia powtarzała tę modlitwę, ile razy jej na myśl przyszła. Stawała przed obrazem Matki Boskiej i wpatrywała się w Jej oblicze, biegała szukać Jej w kościele, jak tylko mogła najczęściej. A właśnie ufundowano ołtarz w kościele św. Jana Chrzciciela i tam schodzili się ludzie codzień wieczorem na modlitwę. Rodzice Lidwiny nie opuszczali tych nabożeństw, a dziecko brali ze sobą. Przykład powszechnej pobożności jeszcze ją bardziej pociągał i miłość do Najśw. Panny pomnażał.

W siódmym roku życia już była przydatną do małych posług. Matka posyłała ją ze śniadaniem do szkoły, dla dwóch starszych braci. Przechodząc koło kościoła, nie mogła się oprzeć chęci odwiedzenia Królowej niebieskiej w Jej domu, i wstępowała choć na krótką chwilę. Pewnego dnia tak się zapomniała na serdecznej modlitwie, że o wiele później niż zwykle wróciła do domu. Matka strzegła córeczki troskliwie przed złem towarzystwem; tknęło ją podejrzenie, że Lidwina bawiła się może z ulicznymi dziećmi i skrzyczała ją za to surowo.

— Nie gniewajcie się, mamusię złota — odparło dziecko, patrząc jej śmiało w oczy — ni-

gdzie nie chodziłam, tylko do szkoły jak codziennie i do kościoła, pokłonić się Matce Boskiej. Żebyście wiedzieli jak ślicznie uśmiechnęła się do mnie!

Lidwina nie umiała kłamać, szczerowość i prostota cechowały ją od pierwszych lat życia; można sobie zatem wyobrazić, jak błogie uczucie ogarnęło serce matki na myśl, że Panna Najświętsza raczy darzyć Swą łaską jej dziecinę.

Bieda w domu naganiała całą rodzinę do pracy; matka zawczasu uczyła dzieci, by każde przyczyniało się jak mogło do zarobku na domowe potrzeby. Mała Lidwina umiała już w dwunastym roku wybornie pomagać przy gospodarstwie, czy to praniem, czy szyciem, czy inną robotą. A zawsze chętna, pilna, zgadywała myśli matki i służyła jej ochoczo. Oboje rodzice kochali ją bardzo.

Jakkolwiek młodziutka latami, miała sposobność widzieć niejedno i rozważać, jak światowe życie przeciwieństwem jest życia prawdziwie chrześcijańskiego. Jej rówieśnice rozmawiały tylko o strojach, zabawach, tańcach, każda chciała wyjść zamaż jak najprędzej, a żadna się ani zatroskała, czy te głupie rozrywki, ła zalotność i próżność nie są błotem, w którym tarzają swą drogocenną szatę niewinności. Znajome dziewczęta zapraszały ją często na zabawy, a na takich pohulankach o grzech nie trudno. Z początku serce Lidwiny zdawało się lgnąć do tych rozrywek; ale

bardzo rychło przysłała rozwaga. Prawa jej dusza odczuła niebezpieczeństwo i tem goręcej zwróciła się po ratunek do Boga.

— O Panie Jezu, Boże mój — modliła się Lidwina — zabierz ode mnie wszelką miłość przewrotną; nie chcę kochać nikogo prócz Ciebie! Strzeż mnie i broń, abym nie grzeszyła.

Lidwina w dwunastu latach była silna, hoża, zdrowo rozwinięta, miłej twarzyczki; rozumiała się na gospodarstwie, a robota paliła jej się w rękach. Przytem skromna, obyczajna, nic dziwnego, że nawet z bogatszych domów młodzieńcy zwracali swe oczy na tę dzielną dziewczynę i nie jeden pragnął posiadać taką żonę. Kilku z nich zachodziło do ojca panienki, a każdy prosił o pierwszeństwo do jej ręki, gdy dorośnie. Ojciec rad słuchał tych propozycji, bogaty zięć bardzo mu był pożądanym. Przywołał raz córkę do siebie i opowiedziawszy o tych zamożnych konkurentach, pytał, którego z nich wybierze; zawczasu można będzie sprawić zaręczyny, a ze ślubem poczekać parę lat. Lidwina wysłuchiwała ojca spokojnie, a potem odpowiedziała z dziecięcą ufnością:

— Ojczy drogi, nie mam nijakiej chęci do małżeństwa; proszę was, jeżeli mię kochacie, nie wspominajcie mi o narzeczonym.

Na te jej słowa weszła matka, dawniej już wtajemniczona w postanowienia córki i ze swej strony dodała:

— Ot, lepiej dajmy spokój dalekim projektom; dziewczyna jeszcze za młoda, poco jej tem głowę zaprzętać, zwłaszcza, że sobie co innego zamyśla.

— Cóż takiego? — mruknął ojciec niechętnie.

— Ano, ofiarowała serce Panu Jezusowi i chce tak wytrwać przez całe życie. Wszakci to nasza jedynaczka, niechże ma swoją wolę.

Pobożny ojciec nie śmiał sprzeciwiać się tym zamiarom Lidwiny i rzeczywiście od tego dnia zaprzestał mówić o wydaniu jej za mąż. Ale spodziewał się w duchu, że czas wiele zmienia, a dziewczyna jest młoda i ładna.

Ona zaś gorąco prosiła Boga, aby Sam raczył pokierować jej losem podług Swej najświętszej woli. Zbawiciel wysłuchał tej modlitwy, ale w sposób niespodziewany i w owej chwili bardzo dla Lidwiny przykry. Jednakowoż dopuszczenie Boskie, tak w początkach swych gorzkie, miało stać się później pociechą już tu na ziemi, a wieczną szczęśliwością w niebie.

Uspokojona, że rodzice nie będą jej przymuszali do małżeństwa, Lidwina usunęła się jeszcze bardziej od ludzi, podwoiła swą pilność w służeniu matce, wyřęcała ją w najcięższych robotach, każde swoje zajęcie ofiarując Bogu na chwałę; otrzymywała coraz nowe łaski nieba, i coraz piękniejszymi kwitła cnotami.

Tak przeminęły dwa lata. Nagle, bez żadnego wyraźnego powodu Lidwina zachorowała ciężko. Dziwna ta choroba zaznaczyła się najpierw zupełnym upadkiem sił, aż do bezwładności, a później ze zdrowej i kształtnej dziewczyny zrobiła pokrzywioną kalekę. Po niejakiem czasie zdrowie zaczęło powracać zwolna, tak że wstawiała na krótko z łóżka i wychodziła na świeże powietrze. W parę miesięcy później czuła się już prawie zupełnie uleczona.

Aż tu pewnego dnia właśnie w samo święto Matki Boskiej Gromnicznej przybiegły sąsiadki odwiedzić Lidwinę. Zima była ostra, rzeki i stawy pokryły się grubym lodem.

— Chodź z nami na ślizgawkę — namawiały ją dziewczęta.

— Nie umiem; nigdy się jeszcze nie ślizgała; a przytem chora byłam niedawno, boję się, że znów sobie jaką biedę sprowadzę — odpowiedziała.

— Dziwaczka z ciebie — rzekła jedna.

— Nie umiesz, to cię nauczymy — dodała druga.

— A zresztą nikt cię nie zmusza — zakończyła trzecia; — staniesz sobie przy brzegu i będziesz się przypatrywała. To tak ładnie wygląda, przekonasz się.

— Nie marudź, odziej się ciepło i idź — zachęcił Lidwinę ojciec. — Rozerwiesz się, zdrowsza wrócisz.

Uległa tym namowom i poszła z koleżankami na łód. Stała sobie na uboczu i przypatrywała się ślizgającym; ruch, wesołość, śmiechy, żarty, wszystko ją bawiło.

Wtem... jedna z dziewcząt mknąc z rozpędem, nie zauważyła na swej drodze Lidwiny, i z całym impetem uderzyła w nią silnie. Dziewczynka niebardzo jeszcze mocna po chorobie, zachwiała się i runęła na kupę brył lodowych. Zemdloną odniesiono do domu.

Przerażeni rodzice posłali po lekarza; okazało się, że Lidwina złamała żebro. Cierpiała bardzo, a stan jej nie tylko że się nie poprawiał, ale z każdym dniem było gorzej. Wezwano kilku doktorów, ci także nie mogli nic poradzić. Jakiś wrzód strasznie bolesny tworzył się pod złamaną kością i sprawiał dziecku niewypowiedziane męczarnie. Wiła się na łóżku z bólu, miejsca sobie znaleźć nie mogła, jęczała, płakała, to znów przychodziła bezsilna, zdawało się, że umiera.

Pewnego dnia ojciec pochylił się nad nią, głaszcząc ją po twarzy i pocieszając. Lecz właśnie w owej chwili Lidwina miała wrażenie, że się dusi. Dobyła ostatnich sił, dźwignęła się w górę i objąwszy ojca za szyję przytuliła się do niego mocno. Ten ruch nagły przyspieszył pęknięcie wrzodu: brudna zepsuta krew buchnęła jej z ust strumieniem. Rodzice byli pewni, że już kona.

Jednak nie umarła. Od tego dnia poczęły na nią spadać nieprzerwanym łańcuchem coraz no-

we, straszne, niebywale choroby, a trwał ten stan niezmiernych dolegliwości — trzydzieści osiem lat!

W początkach miała jeszcze tyle siły, że się zwlekała z łóżka i chodziła powoli o lasce, albo posuwając zydel przed sobą; czasem czołgała się na czworakach jak dziecko, co chodzić nie umie. Lecz po niedługim czasie i do takiego nędznego poruszania się zbrakło jej sił; leżała bezwładna i zboleła. Kiedy się chciała spowiadać przed Wielkanocą, bracia musieli ją zanieść do kościoła. Wśród nieopisanych cierpień, które dla kogoś innego byłyby właśnie przyczyną do grzechu, bogobojna dziewczyna strzegła pilnie swych myśli, swej mowy, by w niczem Boga nie obrazić. Zdarzyło się pewnego dnia, że dwóch ludzi posprzeczwawszy się na mieście, w coraz większy wpadali gniew, a wkońcu jeden z nich dobył miecza i rzucał się wściekle na przeciwnika. Tamten bezbronny uciekał co sił; zawrócił w boczną ulicę, a widząc drzwi otwarte, wskoczył do sieni. Było to właśnie mieszkanie Lidwiny. Matka jej schowała czem prędzej struchlałego człowieka w izbie chorej córki; zaledwie to uczyniła, nadbiegł nieprzyjaciół.

— Niema tu nikogo obcego? Nie schronił się tu jaki człowiek? — krzyknął srogim głosem.

Ale matka zapewniła go, że nikogo prócz niej w izbie nie było. Niedowierzając jej słowom,

pchnął drzwi od komory, gdzie leżała chora, i powtórzył swoje pytanie.

— Ten którego szukacie, ukrył się tutaj — odpowiedziała Lidwina z prostotą.

O dziwo... jakby tych słów nie słyszał, cofnął się morderca natychmiast i pobiegł szukać swej ofiary gdzie indziej.

Tymczasem matka oburzona szkaradną zdradą, a co najmniej głupotą Lidwiny, przystąpiła do łóżka i z gniewem uderzyła ją silnie w twarz. Dziewczyna przyjęła policzek spokojnie i rzekła:

— Pewna byłam, mamó, że moc prawdy osłoni biednego człowieka nieprzebitym pukle-rzem.

Zawstydzona matka nie śmiała już ani słowa przemówić i od tego dnia zachowywała się względem córki z wielkim szacunkiem i miłością.

Biedna Lidwina długo nie mogła pogodzić się ze swym smutnym losem. W zaraniu życia wyrzec się nie tylko przywilejów młodości ale jeszcze cierpieć męczarnie i być bezwładną jak martwe drewno, to za ciężkie brzemie dla czternastoletniego dziecka! Słyszac nieraz dolatujące z ulicy głosy dziewcząt swych rówieśnic, ich wesole rozmowy, śmiechy, Lidwina zalewała się rzewnymi łzami. One biegają, cieszą się wiosną, zrywają kwiaty, dla nich pogodne lato, jagody w lesie, kąpiel w strumieniu, a ona... zawsze sa-

ma, zawsze smutna, chorobą do łóżka przykuta jak więzień. Często wtedy przychodziła matka ze słówkiem pociechy, albo ojciec siadał przy niej i starał się ją rozweselić; nieraz i koleżanki przybiegały okazać jej swe współczucie, znosiły nowinki; nic to wszystko nie pomagało. Dopiero Bóg zlitował się nad nieszczęśliwą i wskazał jej, że tylko u Niego i w Nim znajdzie prawdziwe ukojenie.

Spowiednik Lidwiny, ksiądz Jan Pot, odwiedzał ją często i wysiłał się, by serdecznemi słowy rozpraszać jej czarny smutek i podnosić ją na duchu. Widząc jednak, że wszystko co czyni jest bezskuteczne, tak raz przemówił:

— Trzeba koniecznie, moje dziecko, zmusić swoją wolę do poddania się temu dopuszczeniu Bożemu; staraj się rozpamiętywać mękę Pańską, stokroć boleśniejszą od twojej choroby, a zobaczysz, jak myśl o krzyżu Zbawiciela uczyni lekkim twój krzyż własny.

— Spróbuję posłuchać was, ojcze — odpowiedziała — nauczcie mnie jak to mam czynić.

Zaczęła tedy rozmyślania według wskazówek spowiednika, ale nieustanne okropne dolegliwości rozpraszały jej uwagę, nie umiała skupić myśli; wszystko pozostało po dawnemu, a płaczom, jękom i wyrzekaniom nie było końca. Gdy znowu raz ksiądz Pot przyszedł do niej, zmartwił się tym rozpaczliwym stanem jej duszy i potwórną najusilniej ją zachęcał, by sobie zadała

przymus, nie ustawała w rozpamiętywaniu drogi krzyżowej, nie ustawała nawet wtedy, gdy się jej będzie zdawało, że Bóg zapomniał o niej i nie chce jej zsyłać pociechy. Gorąca wytrwałość dotrze do celu.

Tym razem Lidwina wzięła bardziej do serca słowa księdza, przemogła zniechęcenie i powróciła myślą do cierpiącego Pana Jezusa. Po niedługim czasie zaczęło jej być miłym to rozważanie. Podzieliła sobie godziny męki Pańskiej na siedem części, według oznaczonych pór dnia w kapłańskim brewjarzu i odmawiała codziennie to rozmyślanie w takim samym porządku. Rychło otworzyły się jej oczy, poznała jak niesłusznie narzekała na chorobę przez Boga zesłaną i ze łzami modliła się o przebaczenie. Wzamian otrzymała z nieba łaskę mocy i cierpliwości; i tak się jej serce odmieniło, że nie tylko przestała trapić siebie i drugich wyrzekaniem, ale nawet ukochała swoje cierpienie. Wszak jemu tylko zawdzięczała oderwanie się od ziemskiej próżności; chętnem niesieniem krzyża zasługiwała na bezcenne skarby szczęśliwości wiecznej. Często mawiała:

— Gdybym przez jedno Zdrowaś Marja ofiarowane na tę intencję mogła odzyskać zupełnie zdrowie, jużbym tego dziś nie uczyniła.

Z każdym dniem przybywało jej coraz wznioślejszych cnót chrześcijańskich, aż po długich trzydziestu ośmiu latach męczarni zasnęła w Panu dnia 14 kwietnia 1433, w 53 roku życia.

Kochane dziecko! Może i na ciebie ześle kiedy Pan Bóg jaką chorobę; może długą i ciężką. O chorobę nie trudno, a sprowadza ją najczęściej nasza własna wina. Zaziębiłaś się, boś nie posłuchała starszych i lekko ubrana wyszłaś z domu; albo zjadłaś za wiele, albo zaszkoziłaś sobie w czem przez nieuwagę. Tak bywa często u dzieci.

Polecam ci trzy myśli jako pociechę w takim razie.

Po pierwsze: pamiętaj, że nasz Ojciec niebieski wie o twojej chorobie i że nic się nie dzieje bez Jego woli, albo dopuszczenia.

Po wtóre: bądź pewną, że zezwolił na to jedynie dla twego dobra. Jakie to jest owo dobro, nie zrozumiesz może w pierwszej chwili; tak samo i święta Lidwina lata całe musiała przecierpieć, zanim pojęła myśl Bożą. Staraj się więc poddać pokornie woli Boskiej i znoś cierpliwie chorobę, a przyjdzie czas, kiedy poznasz, w jakim celu była na ciebie zesłana, i równie jak Lidwina całym sercem za nią podziękujesz.

Po trzecie: ucz się od św. Lidwiny umacniać swą cierpliwość rozpamiętywaniem męki Chrystusa Pana. Spoglądaj często na obrazek Ukrzyżowanego i uprzytomniaj sobie, jak straszne Syn Boży poniósł katusze, aby świat zbawić, a zatem, abyś i ty dostała łaski chrztu św., odpuszczenia grzechów, darowania kar za nie,

i wiecznego królestwa w niebie. Po takim rozmyślaniu rozmawiaj w sercu z Panem Jezusem, proś Go o wytrwanie, cierpliwość, proś, aby ci dopomógł osiągnąć te łaski, jakie ci zamierzył dać przez dopuszczenie na cię choroby. Tym sposobem stanie się ona prawdziwym twojem zdrowiem tu na ziemi i w wieczności.

ŚWIĘTY BERNARDYN SIENNEŃSKI.

Kropla rosy nie ma w sobie światła, ani barwy; ale gdy rankiem padnie na nią promień słońca, jakaż jasność, jaki blask w tej kropelce! Można by powiedzieć „małe słońeczko“. Jeżeli człowiek myśli z miłością o Bogu, o świętych, gdy ich cnoty rozważa i naśladuje, dusza jego staje się coraz podobniejszą do tych wzorów, staje się świętą. Przykładem tego jest Bernardyn. Ukochał od najpierwszych lat dzieciństwa najświętszą Dziewicę, to też młodość jego stała się odzwierciedleniem jej doskonałości.

Bernardyn przyszedł na świat we włoskiem mieście Siennie w r. 1380 szczególnem zrządzeniem Bożem w dniu 8 września, w którym przypada uroczystość Narodzenia Najśw. Marji Panny. Trzy lata miał za ledwie, gdy mu umarł ojciec, w siedmiu stracił matkę. Ciotka wzięła do siebie sierotę i zajęła się jego wychowaniem. Pokochała go jak rodzzonego syna, a najpierwszą jej pracą było wszczepić w serce chłopczyka miłość Bo-

ga i nabożeństwo do Marji. Posiew padł na dobrą rolę; Bernardyn przyjmował nauki ciotki z posłuszną gotowością, wielbił Matkę Bożą i starał się naśladować Jej cnoty.

Umyślił sobie pościć co sobotę na cześć Królowej Aniołów, nawiedzać Jej wizerunki i przed niemi się modlić. Jeden z najpiękniejszych posągów znajdował się za miejską bramą; mały Bernardyn chodził tam codzień, klękał na stopniach i modlił się długo i gorąco. Zauważyła te jego przechadzki za bramę Sienny jedna z jego krewniaczek i spytała go raz, co tam robi.

-- Modłę się do Najświętszej Panny o wszystko, czego pragnę, a najbardziej o to, żeby mnie ani na chwilę nie wypuszczała ze Swej opieki, żeby mię chroniła od niebezpieczeństw. Jestem młody, lękam się utracić przez grzech niewinność, a miłuję ją, jako skarb najdroższy.

Święty Bernardyn zachował przez całe życie tę synowską miłość Marji; w każde Jej święto spełniał jakiś dobry uczynek. Autor jego żywota przytacza taki ustęp z kazania, które słyszał: „Ja, brat Bernardyn, czczę Marię odkąd żyję; urodziłem się w dzień Jej narodzenia, przywdziałem suknię zakonną ósmego września, w tym samym dniu śluby złożyłem, w tym dniu odprawiłem pierwszą mszę św., oby mi Bóg pozwolił życie zakończyć w dniu ósmym września!“

Ten sam pisarz dodaje: „Prawdziwie mogę zaświadczyć, że nigdy nie słyszałem kaznodziei,

któryby słaWił z ambony Najświętszą Pannę tak wznośle i serdecznie, jak brat Bernardyn“.

Tej miłości w połączeniu z bojaźnią Bożą, zawdzięcza Bernardyn swe uświęcenie od młodych lat. Już jako dziecko łagodny był, poważny, skromny, garnał się do modlitwy; biegał do kościoła pokłonić się Zbawicielowi, jak tylko mógł najczęściej. Służył do mszy z takim przejęciem, że obecni w kościele budowali się jego widokiem. Słuchał kazań uważnie, chował w pamięci każde słowo, a potem zgromadzał dokoła siebie rówieśników i powtarzał im usłyszaną naukę.

W dniu św. Onufrego przypadał odpust w jednym z kościołów Sienny; zeszła się ludu moc wielka, jedna część zaledwie zmieściła się w świątyni, reszta musiała pozostać na zewnątrz. Przyszedł i mały Bernardyn na nabożeństwo, a widząc tłumy spragnione Słowa Bożego, użalił się w swem sercu nad niemi; nie próbował już wejść do kościoła, tylko stanął na pagórku i zaczął mówić. Z duszy, pałającej ogniem miłości Bożej, płynęły słowa święte i porywające, słuchano dziecka z zapartym oddechem. Kilku tylko młodych chłopców, jego znajomych, wyśmiewało się zeń; ale później, po latach, gdy sami na sobie doświadczyli cudownych skutków jego natchnionej wymowy, uznali, że owo kazanie w dniu św. Onufrego było jej błogosławionym początkiem.

Dwie cnoty Najsw. Panny obrał sobie głównie za wzór do naśladowania: Jej mi-

łosierdzie dla nędzy ludzkiej i Jej niepokalaną czystość.

Pewnego dnia stanął żebrak pod drzwiami mieszkania jego ciotki. Ale w domu był tylko jeden bochenek chleba, który miał starczyć dla całej rodziny; odprawiła więc ubogiego z niczem. Serce Bernardyna ścisnęło się żalem.

— Na miłość Boską, ciociu, dajcie co temu biedakowi, bobym nie mógł jeść ani obiadu, ani wieczerzy! — zawołał z płaczem. — Niech już ja będę głodny, byle nie on.

Słowa dziecka wzruszyły ciotkę, ukroiła kromkę chleba i dała chłopcu, aby sam zaniósł ubogiemu.

Zdarzało się także kiedy indziej, że spotkawszy ubogiego, a nie mając mu nic do dania, żebrał u starszych póty, aż wyprosił jakieś wsparcie dla biedaka.

Jeszcze rzewniej i troskliwiej strzegł swej niewinności. W jedenastym roku życia oddano go do szkoły. Jeden z jego nauczycieli zapewnia, że nie miał w ciągu całego swego zawodu lepszego ucznia nad Bernardyna. Odznaczał się zwłaszcza anielską skromnością; z ust jego nie wyszło nigdy słowo nieobyczajne, a gdy posłyszał między kolegami takie niepocziwe rozmowy, rumienił się, jakby go kto w twarz uderzył.

Z usposobienia był ustępliwy, łagodny, nie szukał zwady; jedyna rzecz, której nie umiał znosić w milczeniu, to było właśnie bezwstydné gadanie.

Pewien zamożny i szanowany mieszczanin pozwolił sobie raz przy nim na gruby dwuznaczny żart, co tak oburzyło Bernardyna, że nie bacząc na różnicę wieku, zganiał ostro owego pana. Takie to na onym zrobiło wrażenie, że natychmiast oddalił się ze wstydem. Upłynęło lat kilkanaście, Bernardyn już jako kapłan miał kazanie w tem samem mieście, a ówże obywatel znajdował się w kościele. Przypomniawszy sobie swą winę, surową naganę daną przez dziecko i zdjęty żalem rozplakał się w głos.

Ta czystość duszy Bernardyna trzymała na wodzy jego młodych przyjaciół. Sami lekkomyślni i niedbali o swe zbawienie, szanowali jego cnotę i przynajmniej w jego obecności zachowywali się przystojnie. Gdy który z nich dokazywał za nadto, koledzy go przestrzegali: „Bernardyn idzie!” Milknął natychmiast.

Znalazł się raz podły człowiek, który go namawiał do grzechu; gdy mu się za pierwszym razem nie udało, próbował swych nagabywań kilkakrotnie. Widząc, że się go nie pozbędzie, Bernardyn zwierzył się swym przyjaciołom i prosił, by mu pomogli odegnać kusiciela. Gdy ten się pojawił niebawem, począł schlebiać chłopcu, dawał mu nawet pieniądze, lecz Bernardyn zaczął krzyczeć z całych sił, koledzy nadbiegli, obrzucili nieszczemnika błotem i kamieniami, że ledwie z życiem uciekł.

W siedemnastu latach skończył chlubnie szkolną naukę. W tymże czasie nawiedziło Sienę straszne morowe powietrze. Młodzieniec oddał się cały pielęgnowaniu chorych, nie zważając na niebezpieczeństwo. Nie tknęła go zaraza.

Kilka lat później, w 22 roku życia wstąpił do zakonu św. Franciszka z Asyżu. Pędził żywot w pracy nad zbawieniem własnym i bliźnich i umarł, mając lat 73. Gdy konał, zakonnicy śpiewali hymn „Wielbij duszo moja Pana i rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim“. Przy tych słowach dusza świętego uleciała do nieba.

* * *

Wielkie nabożeństwo do Matki Boskiej ustrzegło Bernardyna od ciężkich grzechów. Marja kocha dusze czyste i dlatego zawsze spieszy z najdobrotliwszą pomocą, gdy Jej wzywamy na ratunek. Znam krótką modlitewkę, której skuteczności wielu już ludzi doświadczyło. Rano i wieczór po pacierzu, zmów jeszcze jedno Zdrowaś Marja, a potem tak się módl:

O Pani moja, o Matko moja, cały się Tobie ofiaruję; a na dowód, że jestem cały Tobie oddany, ofiaruję Ci oczy moje, uszy moje, usta moje, serce moje i całego siebie najzupełniej. Gdy przeto Twoim jestem, o dobra Matko, zachowaj mnie, broń, jako rzeczy i własności Swojej.

ŚWIĘTY MAJORYK I INNI MALI MĘCZENNICZY.

W roku 477 po narodzeniu Chrystusa, po śmierci króla Wandalów Hunneryk, syn jego, objął rządy. Był on zwolennikiem herezjarchy Arjusza, który zaprzeczał bóstwa Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi. Oczywiście że Hunneryk, wyznawca takiej sekty, musiał być zaciekłym wrogiem prawowiernych chrześcijan. Rozpoczął od tego, że wypędził ze swej służby wszystkich dworzan katolików, pozostać im nawet w państwie nie pozwolił, lecz skazał na wygnanie do dalekiego obcego kraju. Nieco później kazał pojmać blisko dwa tysiące katolików, wśród swych poddanych, i tych wyprowadzić na puszcę. Znajdowało się między nimi dużo bardzo dzieci; a że wymienione były po nazwisku, przeto niepodobna było uchronić je od tego wyroku. Matki towarzyszyły swym dzieciom, jak tylko im pozwolono najdalej. Niektóre mimo bólu rozstania weseliły się myślą, że ich drogie dziatki dostąpiły zaszczytu męczeństwa i mają niebo zapewnione. Inne

znów rozpaczały, przewidując srogie niebezpieczeństwa pustyni i wygnania i chciały przechrzcić swe dzieci na arjanizm, byle im tylko zachować życie. Ale żadne z tych malutkich nie dało się odwieść od prawdziwej wiary.

Spędzono skazańców najpierw do dwóch miast, Sicca i Lāra; tam wrzucono ich do tak ciasnych więzień, że leżeli jedni na drugich, jak snopy zboża. Nory, gdzie trzymano tych nieszczęśliwych, cuchnęły zgnilizną. Wreszcie, pewnej niedzieli otwarto drzwi obrzydłej kaźni i wyprowadzono chrześcijan, ale nie na wolność, tylko na gorsze jeszcze udęczenia. Więźniowie zaczęli natychmiast śpiewać psalmy; ze wszystkich stron zbiegali się współwyznawcy z zapalonemi świecami; tłumy zaległy wzgórza i doliny, matki prowadziły swe dzieci do stóp męczenników, prosząc o błogosławieństwo.

Pewien biskup, który także przecierpiał to prześladowanie, tak opowiada: „Gdyśmy szli drogą, ujrzeliśmy jakąś kobietę z worem napelnionym odzieżą na plecach, prowadzącą małego chłopczyka za rękę. Zawołała do niego:

— Biegnij, biegnij, dokońmy ich, to są święci, co idą po koronę niebieską.

Przedstawiliśmy jej, że jest za słaba, nie nadąży mężczyznom, że zresztą nie ma obowiązku łączyć się dobrowolnie z męczennikami; odpowiedziała:

— Pobłogosławcie mnie i mego wnuczka, a stanę się mocna.

Opowiedziała nam, kim jest i skąd pochodzi. Była córką człowieka z wysokiego rodu. Rzekłem:

— Dlaczegożeś tak nędznie odziana i poco chcesz iść tak daleko?

— Uciekam z dzieckiem na wygnanie; żeby go wrogowie nie sprowadzili z prawej drogi na manowce wiecznej śmierci.

Na te jej słowa rozplakaliśmy się, a ja rzekłem:

— Pójdź z nami; niech się dzieje wola Boża.

Rzesza wygnańców ciągnęła długim sznurkiem; szli przeważnie nocami, dla niezmiernej spiekoty. Odpoczywali w jaskiniach; często w drodze brakło sił starcom i dzieciom, wtedy eskortujący żołnierze kłóli ich spisami, albo rzucając kamieniami napędzali ich do pospiechu. Gdy i to nie pomagało, a osłabieni długim marszem, lichem pożywieniem i upałem padali w omdleniu na ziemię, wiązano im nogi i ciągniono jak nieżywe zwierzęta po zeschłej grudzie i kamieniach. Odzież darła się w strzępy, poranione ciało znańczyło krwią drogę. Wielu męczonych w ten sposób marło i rzucono ich bez pogrzebu. Ledwie mała cząstka dostała się żywo na miejsce przeznaczenia. Lecz i tam obchodzono się z nimi jak z bydłem i jak bydło żywiono nędznie owsem.

Za mało tych zbrodni było Hunnerykowi, ponowił prześladowania w r. 484, z większem jeszcze okrucieństwem. Ułożył sobie, że albo wszystkich katolików przeciągnie na arjanizm, albo ich wypleni doszczętu. Rozesłał katów po całym swem państwie z rozkazem, by nie zwadzali na wiek ani na płeć, nie oszczędzali nikogo, kto nie zechce wyznać się arjaninem. Jako się to zawsze dzieje na świecie, niwieszyscy posiadali wiarę mocną w obliczu mąk i śmierci; znalazło się wielu, którzy tylko połową serca kochali prawdę; ci dali się nastraszyć i sprzedali to święte dobro za marną łaskę śmiertelnego człowieka. Prawdziwi zaś wyznawcy Chrystusowi wytrwali w swej wierze mimo najstraszniejszych męczarni.

Jednych ubito kijami na śmierć, innych spalono żywcem; innych znów omotywano sznurami, wieszano na postronkach ze strychów domostw i bujano nimi jak tobołami w lewo i w prawo, ku zabawie zdziczałego pospólstwa. Nierzadko sznur się zrywał, ofiara padała z wysokości na bruk uliczny, ponosząc śmierć albo łamiąc ręce i nogi. Obcinano katolikom uszy i nosy, odrąbywano ręce i nogi, przypalano im ciało rozżarzonemi blachami.

Dostała się w szpony katów Dagila, żona dworzanina królewskiego; smagano ją najpierw różgami, a potem bito grubemi kijami, aż do utraty przytomności. By zaś udrczenie duszy wy-

równało bólowi ciała, odebrano jej malutkie dzieci i wysłano je z innymi skazańcami na pustynię.

Szczególniej nieludzko postępowano z kapłanami katolickimi i z klerykami. W Kartaginie mieszkał pewien zaprzaniec imieniem Elpidophorus. Jeżeli człowiek z własną duszą obchodzi się tak bezlitośnie, że ją odrywa od prawdziwej religii, od Boga, źródła wiecznego życia, a śmiertelnym grzechem dobrowolnie ją zabija, jakoż się dziwić, że serce jego przepelnia wściekłość prawdziwie tygrysia na tych, co nie chcą upodlić się jak on. Takimi uczuciami właśnie miotany był ów Elpidophorus. Hunneryk polecił mu nakłaniać do odszczepieństwa kapłanów; on też chętny i posłuszny, rozkazał męczyć srodze około 5400 duchownych, ponieważ nie dali się w żaden sposób odwieść od wiary św. Przyprawdzono przedeń pewnego młodego księdza nazwiskiem Muritta. On to właśnie przed niewiele laty udzielił chrztu św. dzisiejszemu swemu prześladowcy. Gdy siepacze rzucili się na Muritę, by zerwać zeń suknie i biczować go, kapłan dobył z zanadza białą płócienną szatę, w którą sam przyodziął był niegdyś po chrzcie Elpidophorusa. Rozłożył ją przed oczyma apostaty i rzekł:

— Spójrzyj na to poświęcone odzienie; będzie ono twym oskarżycielem, gdy sędzia najpotężniejszy zawezwie cię przed swój trybunał. Będzie świadkiem twego odstępstwa. Nieszczę-

sny... ta szata niewinności okrywała cię, gdy omyty wodą chrztu św. stałeś u stóp ołtarza; ona pomnoży twe męki w piekle, będziesz wiecznie gorzał i wiecznie sobie wyrzucał złamanie świętych przysiąg, obleczonej w klątwę i potępienie!

Wszyscy obecni wpatrywali się w zhańbioną śnieżną szatę i płakali głośno. Jeden tylko Elpidophorus milczał zatwardziale.

Drugi taki sam nikczemny heretyk nazywał się Theukarius. Miał on powierzonych sobie dwunastu chłopców, których uczył śpiewać. Tych, jako wiernych katolików skazano także na wygnanie. Theukarius żałował, że straci ich piękne głosy i kazał chłopców odwołać z drogi. Ale dzieci obejmowały z płaczem kolana starszych, czepiały się szat męczenników i za nic nie chciały ich opuścić. Dopiero zbrojni żołnierze oderwali je przemocą i przyprowadzili zpowrotem do Theukariusza. Nędzny odstępca spodziewał się zwyciężyć ich stałość pochlebstwem i pieszczotami, lecz łaska Boża zmieniła dzieci w silnych duchem mężów. Więc ich lżył i groził mękami, a gdy to nie pomogło, bił ich bez litości. Wszystko przecierpiał z miłości dla wiary. Gdy trochę później przycichło prześladowanie, miasto Kartagina uważało owych chłopczyków jakby dwunastu apostołów. Cały lud ukochał małych męczenników. Mieszkali społem jako bracia, jadali przy jednym stole i śpiewali w kościele pieśni dziękczynne na chwałę Bożą.

W czasie owych prześladowań przyprowadzono pewnego dnia przed sędziego kobietę imieniem Dionizja. Miała ze sobą synka, jedyne swe dziecko. Majoryk był mały jeszcze i bardzo wątły. Gdy ją siepacze przywiedli na plac kaźni, rzekła do nich:

— Róbcie co chcecie, męczcie mnie jak chcecie, o jedno was tylko proszę, nie czyńcie mi tej hańby, abyście mię ze szat obnażali.

Te słowa rozjątrzyły katów jeszcze bardziej; zaczęli ją biczować z taką wściekłością, że krew tryskająca z ran, płynęła strugą na ziemię. Wtedy powiedziała do nich, wcale nie zalękniona:

— Słudzy szatana! To co czynicie ku poniżeniu memu, stanie się chwałą moją.

A widząc trwozę współwyznawców, przeznaczonych także na męki, krzepiła ich na duchu. Wtem, rzuciwszy okiem na syna, który stał blisko, spostrzegła, że drży na całym ciele. Zachęcała go do wytrwania spojrzeniem i słowami, a gdy mu zdierano sukienkę i bito okrutnie, stała przy nim i podtrzymywała jego odwagę, mówiąc:

— Pamiętaj, synku, żeśmy ochrzczeni w imię Trójcy Najświętszej, jesteśmy dziećmi katolickiego Kościoła; nie tego się mamy bać, co nas boli tu na ziemi, ale strasznych mąk po śmierci, co nigdy nie ustają, wieczne są. A życie szczęśliwe w niebie także trwać będzie wiecznie.

Tą mową i przykładem własnym tak umocniła serce Majoryka, że zniósł bicie i znęcanie się katów z niezłomnym męstwem.

Gdy skołał, wzięła go na ręce i zaniósła do domu. Tam go sama pochowała, by mieć swe dziecko jak najbliżej i łączyć się z niem w modlitwie.

Przyszedł czas pomsty Bożej na straszego tyrana Hunneryka. W tym samym roku 484, gdy z najsrozsza zawziętością mordował katolików, spadła nań ohydna, obrzydliwa choroba: od stóp do głowy pokryły go roje żrącego robactwa, ciało jego psuło się za życia i jak spróchniałe drewno rozlatuje się w kawały, tak odpadało od kości.

* * *

Jak te dzieci kochały Boga! Nad wszelkie uciechy, nad zdrowie, nad życie! Tyle mąk przecierpiałły dlatego jedynie, by nie obrazić Boga.

I my wszyscy, drogie dziecko, otrzymaliśmy to samo przykazanie: powinniśmy kochać Boga n a d e w s z y s t k o. Pamiętaj o tem zawsze.

Np. Bóg wskazuje ci przez usta rodziców, abyś się uczył, a ty właśnie wolałbyś się bawić. Od dziś będziesz już wiedział, że trzeba rzucić zabawki, a wziąć się szczerze do książki. Dowiedziesz tem, że kochasz Boga ponad własne przyjemności. To znowu powiedziała ci mama, żebyś się nie zadawał z pewnym chłopcem, bo jest nie-

grzeczny i niepocziwy. A ty jego właśnie najlepiej lubisz ze wszystkich kolegów. Usłuchaj mamy, tak rób, jak ona ci każe, a znowu dasz dowód, że kochasz Boga więcej niż przyjaciela. I tak postępuj codzień, — zawsze.

Powtarzaj sobie w duchu: Bóg tak chce, kocham Go, więc z radością wszystko uczynię, nawet choćby mi było to przykre.

To będzie znakiem, że kochasz Boga nad siebie samego, nad wszystko w świecie.

Jeżeli cię kto obrazi, jeżeli czasem dokuczają ci inne dzieci, szydzą z ciebie, robią ci na złość, nie dopuszczaj gniewu do serca, nie mścij się. Powiedz sobie: Pana Jezusa obrzucano wzgardą, szyderstwem, zelżywościami, pastwiono się nad Nim, a wszystko znosił z miłości dla ludzi. To i ja będę znosił przykrości i smutki cierpliwie, aby Mu okazać, że Go kocham całym sercem.

BŁOGOSŁAWIONA MARJA TERESA, ARCYKSIĘŻNICZKA AUSTRJACKA.

Marja Teresa urodziła się w Wiedniu 22 sierpnia 1684 roku. Ojcem jej był cesarz niemiecki Leopold I, matką Eleonora Magdalena z książęcego domu Pfalz-Neuburg.

Ta świątobliwa pani wzywała codzień gorącą modlitwą pomocy nieba w wychowaniu ukochanej córki; zajmowała się nią najtroskliwiej, wczesnie uczyła prawd wiary, a co najważniejsza, świeciła dziecku przykładem wzniosłych cnót chrześcijańskich. To też usiłowania jej i praca wydały obfite owoce. Maleńka arcyksiężniczka w pierwszych już latach życia pokochała Boga, a miłość ta objawiała się ciągłą pamięcią, by tylko to czynić i mówić, co się Bogu podoba, a unikać tego, co Go obraża. Zdejmowała ją trwoga przed najmniejszym grzechem; często mawiała:

— Chciałabym żyć tak niewinnie, abym umierając nie wstydzila się, ani musiała żałować tego, że żyłam.

Wytłumaczono jej, że przez chrzest otrzymała skarb łaski uświęcającej, za sprawą której stała się wolną od wszelkiej zmyły, umiłowaną dziecięciem Bożem, że ten błogi stan nazywa się niewinnością, trwa póty, póki człowiek nie popełni śmiertelnego grzechu i tem samym jest najpiękniejszą ozdobą duszy, jej najwyższem szczęściem. Radość ogarnęła serduszek Marji Teresy, gdy zrozumiała tę wielką prawdę; postanowiła strzec z całych sił bezcennego skarbu swej niewinności.

A jakich natto używała środków?

Pierwszym była szczerłość względem spowiednika. Co tydzień opowiadała mu nawet niepytana wszystkie swe myśli, otwierała przed nim najskrytsze tajniki serca; w rzeczach większych, czy mniejszych zasięgała jego rady. Czuła się najszczęśliwszą, że tak postępując, zachowała niezawodnie czystość duszy. Oto jej własne słowa: „Póki jestem zupełnie szczerą wobec mego spowiednika, póty się nie lękam o moją niewinność“.

Drugim środkiem była modlitwa; ta na pewno strzeże człowieka od ciężkich grzechów. Pewnego dnia, zdając sprawę spowiednikowi ze stanu swej duszy, Marja Teresa tak rzekła:

— Codzień proszę Boga najusilniej, by mi nie pozwolił popełnić śmiertelnego grzechu; a jeśli — znając moją przyszłość, wie że kiedyś mogłabym to uczynić, niech mnie wcześniej zabie-

rze z tego świata. Wolę postradać życie niż niewinność.

Trzecią bronią przeciw grzechom było serdeczne nabożeństwo do Najśw. Panny. Oddając się Jej w szczególną opiekę, Marja Teresa codzień odmawiała różaniec. W święta Matki Boskiej i w ich wigilje, a także w soboty, wyszukiwała sobie odrębne modlitewki i inne ćwiczenia duchowne; odmawiała sobie ulubionych przysmaków, umartwiała się w rozmaity sposób, aby nie dopuścić przewodzenia zmysłów nad duszą. Często rozmawiała z dworskimi panienkami o życiu i cnotach niepokalanej Dziewicy, chciwie słuchała, gdy kto o Niej opowiadał, słowem, pracowała nad tem, by miłość Marji rozszerzać wśród swego otoczenia.

Rozumiejąc, że Najśw. Panna żąda od Swych czcicieli przede wszystkim czystości duszy i ciała, powzięła postanowienie ofiarować Jej swe młode niewinne życie na własność. Na intencję wytrwania w tym zamiarze, odmawiała codziennie godzinki o Niepokalanem Poczęciu.

Czwartym środkiem przeciw grzechom była u Marji Teresy cnota wstydlivosti. Nie dozwalała nawet zaufanej służebnicy wchodzić do pokoju, gdy się ubierała lub rozbierała. Zdarzyło się, że doktor zapisał jej w chorobie lekarstwo na poty; trzeba było zmieniać bieliznę, ocierać spotniałe ciało, lecz święta dziewczynka nie dopuściła przez skromność, by się do niej zbliżono. Można-

by przytoczyć jeszcze inne zdarzenia podobne. Słowa, które tak często powtarzała: „Wolać umrzeć, niż utracić niewinność“, prawdziwie streszczały w sobie jej anielskie życie.

Piątym środkiem była pokora. Uroczą postać księżniczki, roztropna mowa, szlachetne zachowanie się, cnotliwe postęпки, zjednywały jej powszechną miłość, podziw, często wywoływały nadzwyczajne pochwały. Maria Teresa nie tylko nie zwracała na to uwagi, ale prawie nie wiedziała o tem. Celem jej dążenia było przypodobać się Bogu, o to jedno dbała, więcej o nic. Nigdy się nie zdarzyło, by powiedziała sama o sobie coś korzystnego.

Temi to sposobami powiodło się istotnie Marji Teresie uchować czystość ciała i duszy w całej niepokalanej krasie, a Bogu podobało się zerwać ten cudny kwiat zaledwie rozkwitły i przenieść go do niebieskich ogrodów.

Zdaje się, że księżniczka wcześniej już wiedziała, jakie są zamiary Opatrzności; gdy bowiem w maju roku 1696 umarła jej służąca, Marja Teresa powiedziała do swego spowiednika:

— Wkrótce i ja pójdę do krainy wieczności za moją pokojową.

Od tego dnia podwoiła czujność nad sobą, troskliwie bacząc na każde słowo, na każdy swój czyn. Widocznem było, że myśli o bliskiej śmierci i zachowuje się tak, aby każdej godziny być gotową na zawołanie Pańskie.

Wkrótce się okazało, że nie myliło jej przecucie. Tego samego roku zachorowała na ospę. Pierwszą jej troską w tej ciężkiej chorobie było zbadanie skrupulatne sumienia. Odbyła spowiedź z całego swego niedługiego życia z budującą skruczą. Gdy spowiednik zapewnił ją, że naprawdę odkąd żyje nie popełniła nigdy śmiertelnego grzechu i może być spokojną, że niewinność jej nie poniosła najmniejszej skazy, dziecko uniesione świętą radością, rozplakało się słodkimi łzami. Poddana we wszystkim woli Bożej, zносиła spokojnie bolesną chorobę, ofiarując swe cierpienia ukrzyżowanemu Zbawicielowi i Jego boleściwej Matce. Krótkie strzeliste westchnienia były w ciężkich chwilach jej pociechą. Nawet gdy ją siły opuszczały, wymawiała wyraźnie:

— O Matko Boska... o moja najświętsza Matko! Oddaję Ci się całym sercem... uciekam się pod Twoją obronę. Bądź mojem pocieszeniem w życiu i w śmierci!.. Tyś po Bogu moja pomoc jedyna... Zwróć na mnie Twe miłosierne oczy... O łaskawa, o litościwa, o słodka Panno Marjo!

Czując zbliżający się koniec, kazała sobie podać obrazek, który jej spowiednik darował; przycisnęła go do ust z miłością i modliła się:

— O Matko najlepsza, ja dziecko Twoje, chronię się pod Twą opiekę; już Cię teraz nie puszcze od siebie.

Powtarzała te słowa kilkakrotnie, ściskając obrazek w martwiejących rączkach.

Oplakiwana przez wszystkich, zesłała ze świata w dniu 28 września 1696, przeżywszy za ledwie lat dwanaście.

Autor jej żywota dodaje na zakończenie: Nie trzeba się zasłaniać wymówką, że jesteś dzieckiem; służyć Bogu, pracować na zbawienie duszy, to konieczność, to obowiązek każdego człowieka, czy młody, czy stary. Nie narzekaj, że nie zdołasz, dobywaj wszystkich sił, a Bóg ci rękę poda. Oto młodziutkie dziecko jak ty, mała księżniczka wskazuje ci drogę. Naśladuj jej cnoty, a zasłużysz tak samo jak ona na wieczne królowanie w niebie.

ŚWIĘTY STANISŁAW KOSTKA.

Ten kochany, anielski święty urodził się w roku 1550. Rodzice jego Jan Kostka i Małgorzata z Kryskich, należeli do starej szlachty polskiej i mieszkali w swej wsi dziedzicznej Kostkowie. Stanisław spędził pierwsze lata pod okiem rodziców; w czternastym roku życia wysłano go wraz z Pawłem starszym bratem, pod opieką nauczyciela Jana Bilińskiego, na dalsze kształcenie do Wiednia. Mieli tam księża jezuici zakład wychowawczo-naukowy; zjeżdżali doń licznie synowie najpierwszych rodzin z Polski, Czech, Węgier i Włoch. Tam też umieścili państwo Kostkowie obu swych synów z nauczycielem. Jeden rok zaledwie mogli tam chłopcy przebywać, skasowano bowiem tę szkołę po śmierci cesarza Ferdynanda, jej założyciela.

Przenieśli się tedy do innej dzielnicy miasta i tam wynajęli prywatne mieszkanie w domu pewnego bogatego luteranina, przy placu zwanym „Am Hof“, tuż obok kościoła Dziewięciu Chórów Anielskich. Prawie dwa lata mieszkali

w tym domu i przez cały ten czas wiele miał Stanisław do wycierpienia od swego starszego brata Pawła, który nie mógł znieść jego pobożności. Ale Bóg nie opuścił świętego dziecka i wśród ciężkich doświadczeń zsyłał mu obfite pociechy. W tym to czasie natchnął go Duch Św. powołaniem do zakonu. Napisał o tem do domu, lecz ojciec ani słyszeć nie chciał z początku o takim postanowieniu syna. Zaś Stanisław silny Bożą pomocą rozumiał, że w tym razie Boga musi słuchać, a nie rodziców. I wyjechał z Wiednia do Dillingen, gdzie był klasztor jezuitów. Tam zwierzył się ojcu Canisiusowi, (który został później zaliczony w poczet błogosławionych). Ten go wysłał niebawem do Rzymu. Różne trudności sprawiły, że Stanisław musiał odbyć tę czterystomilową podróż pieszo. Wielką musiała być wytrwałość i mocna wola szesnastoletniego młodzieńca, że temu podolał. Ówczesny generał jezuitów i założyciel nowicjatu w Rzymie, Franciszek Borgiasz (także w 50 lat po śmierci kanonizowany) zgodził się przyjąć między swych duchownych synów młodego Polaka.

Ledwie dziewięć miesięcy upłynęło, już Stanisław dojrzały dla nieba, zasnął śmiercią świętych w roku 1568.

Krótką drogą jego życia zasiana jest przed cudnymi kwiatami cnót; uczynimy z tych kwiatów wiązanek:



ŚW. STANISŁAW KOSTKA.

(Kwiaty bożego ogrodu.)

Wydawnictwo „Prasa i Książki”
w Warszawie i Poznaniu

Niewinność.

W owym czasie kiedy jeszcze Stanisław chował się w domu rodzicielskim, zjeżdżało tam dużo gości; sąsiedzi dalsi i bliscy nawiedzali dwór kostkowski, bawiono się wesoło i hucznie. Naturalnie przy biesiadzie kielichy krążyły gęsto, rozmowa z początku przyzwoita, zmieniała się w rubaszne żarty, a nawet w niesforne koncepta. Podrastający synowie siadywali u jednego stołu ze starszymi, i te niestosowne mowy obijały się o ich uszy. Ilekroć Stanisław posłyszał coś takiego, ogarniał go niepokój, zmieszanie malowało się na jego twarzy, rumienił się, jakby to on zawinił i spuszczał oczy zawstydzony. Jeżeli wstrętne gadanie trwało dłużej, podnosił głowę i oczy w górę, chwilę trwał jakby zapatrzony w niebo i zaraz potem tracił przytomność. Jeśli go kto nie podtrzymał, spadał z krzesła na ziemię. Zemdlonego wynoszono z komnaty. Działo się to za każdym razem, gdy kto z gości pozwalał sobie na bezwstydną gadanie. Ojciec zwracał na to uwagę, by natychmiast zmieniać przedmiot rozmowy, a najczęściej wręcz upominał winnego by zamilkł, bo „Stanisław znowu oczy wzniesie w górę i zemdleje“.

Ta czystość duszy promieniała z twarzy dziecka. Był tak miły i piękny, że wszyscy co go widywali zeznali, że robił wrażenie anioła w ludzkiej postaci. Uciekał duchem od świata,

czystość myśli objawiała się w mowie i postępowaniu jego. Mimo dziecięcego wieku budził poważanie powszechne, czczono w nim cnotę niewinności.

A jednak z natury był żywego i gorącego temperamentu i trudniej może niż komu innemu przychodziło mu utrzymać zmysłowe porywy na wodzy. Ale pracował nad sobą usilnie. Często pościł, a wogóle mało jadał; wołał samotność, niż zabawę ze swawolnymi rówieśnikami, niż gawędki bezmyślne lub rozpustne. Zadawał sobie umartwienia, i tak wzmacniał panowanie duszy nad ciałem.

Cierpliwość i łagodność.

Często się przytrafia, że rodzeństwo, jednako wychowywane, jest pod każdym względem odrębne i niepodobne do siebie. Paweł Kostka był właśnie zupełnie innym od swego młodszego brata. Ta różnica charakterów najjaskrawiej wystąpiła w latach, gdy opuściwszy szkołę jezuitów w Wiedniu, zamieszkali razem w prywatnym domu.

Paweł prowadził życie nadto swobodne; przyjaźnił się z młodymi polskimi paniczami, którym nic innego nie było w głowie, tylko zabawy hulaszce, wizyty w znakomitych domach, nabywanie układnych światowych obyczajów. Zaproszenia dla wesołych i wykwintnych młodzień-

ców sypały się ze wszech stron, biegali z wieczoru na wieczór, z balu na bal; jak się to powiada „używali młodości“. A czy się Boga takim życiem obraża, czy się popada w coraz cięższe grzechy, bardzo im to wszystko było obojętne. Żaden ani pomyślał o modlitwie, zapominali o swych religijnych obowiązkach, nie przystępowali do sakramentów św., jednym słowem — żyli występnie.

W aktach beatyfikacji św. Stanisława znajduje się ustęp dotyczący Pawła. Sługa jego Pacyfik zeznaje kilkakrotnie, że „Paweł prowadził się trochę nieporządnie“. Takim samym świadkiem był i nauczyciel obu braci, ów Jan Bieliński. Można łatwo pojąć, że zamknięty w sobie, cichy, pobożny młodszy braciszek był dla nich niemy wyrzutem. To też postanowili przyciągnąć go do swego towarzystwa. Ale daremne były wszelkie próby, namowy, perswazje. Upokorzenie i złość przepelniły serce Pawła, tem bardziej, że młodszy koledzy podjudzali go jeszcze drwinkami, że daje przewodzić nad sobą dzieciakowi.

Długie pacierze Stanisława, jego częste przebywanie w kościele, jego milczenie przy stole podczas rozpustnych rozmów, jego skromna odzież, staranne unikanie przyjaciół Pawła, wyraźna niechęć, raczej obrzydzenie do ich pijackich zabaw, czyż nie dosyć tego było, czyż nie zanadto dosyć, by Pawła rozdrażnić do ży-

wego i wzbudzić w nim niepohamowaną chęć zemsty. Nawet nauczyciel zamiast łagodzić złość starszego brata przeciw młodszemu i starać się ten przykry stosunek naprawić, stawał właśnie po stronie Pawła, czynił Stanisławowi te same wymówki, przeżywał jego pobożność prostactwem.

— Przesada nawet w dobrem, jest błędem; — usiłował wpajać weń swe zapatrywania; — życie towarzyskie ludzi szlachetnie urodzonych da się wybornie pogodzić z pobożnością, nie zaprzeczaj temu. Oddaj światu co powierzchowne, zewnętrzne, a Bogu, co duchowe; wszakci On tylko tego wymaga. A co najważniejsze, nie zastanowiłeś się wcale, że urągasz woli ojca, który nie wysłał cię do Wiednia na pacierze, tylko po wykształcenie, po gładkie wykwinne obyczaje; a ty stajesz się z każdym dniem większym prostakiem, dzikusiem.

Nie było dnia, żeby się te przemowy nie powtarzały; ale skutku nie sprawiały żadnego. Stanisław trwał w swej pobożności i skromnem odosobnieniu. Tedy Biliński począł go obrzucać kpinkami i szyderstwem. Paweł ze swej strony, wyczerpawszy cały zasób słów zelżywych, stracił miarę swej zaciekłości i porwał się na nikczemny pomysł znęcania się czynnie nad bratem. Tłumaczył się sam przed własnem sumieniem, że robi to dla dobra Stanisława, bo przełamuje jego upór. Dopuszczał się na cichym i łagodnym chłopcu

prawdziwego okrucieństwa: bił go pięściami z całej siły, często bardzo nawet kijem, rzucał go o ziemię i kopał nogami. Choć starszy o dwa lata, nie był wcale tak silnym, by mu się Stanisław nie mógł oprzeć, albo oddać wet za wet. Ale Stanisław nie bronił się wcale, znosił razy w milczeniu i tem właśnie doprowadzał złość brata do szafu.

Czasami wbiegał do pokoju Biliński i wydzierał Stanisława z rąk Pawła; ale i wtedy zamiast słów współczucia, dostawały się krzywdzonemu wечно te same uwagi, że go słuszna kara spotyka za uparte, zacięte nieposłuszeństwo.

— Upamiętaj się — powiadał doń mentorskim tonem — zastanów się, jak musisz źle postępować, kiedy rodzony brat znieść już tego nie może i wrogiem ci się staje.

To prześladowanie — jak sam Paweł po latach nazywa swe okrucieństwo — nie było chwilowym tylko wybuchem gniewu; jeden dzień nie minał, by Stanisław nie musiał cierpieć bicia i deptania nogami. A trwało to dłużej, niż dwa lata! W marcu 1565 zamieszkali chłopcy w domu „Am Hof“, a w sierpniu 1567 wyjechał Stanisław do Rzymu. Żebyż tylko od brata cierpieć musiał znęcanie! Jeszcze i obcy mu dokuczali. Wspólnie z Kostkami mieszkali dwaj młodzi Polacy, również dla nauki przybyli do Wiednia, a takie samo hulaszcze życie prowadzący jak

Paweł. Jeden z nich był krewnym, tego samego nazwiska, drugi Rozrażewski, późniejszy starosta szremski. Drzwi, prawie zawsze otwarte, łączyły ich pokoje. W procesie kanonizacyjnym św. Stanisława są spisane ich zeznania. Posłuchajmy co mówi Rozrażewski:

„Często bardzo wśród nocy Stanisław korzystając, że wszyscy śpią, wstawał z łóżka, klękał przed obrazem Matki Boskiej, a odmówivszy pacierz, padał twarzą ku ziemi z rozkrzyżowanemi rękoma i w tej pozycji pozostawał długo, zatopiony w modlitwie. Widziałem to nieraz, bo lampka nocna świeciła się w jego pokoju, a ja wstawałem wtedy umyślnie, by świętemu dziecku przeszkadzać. Wchodziłem doń pod jakimkolwiek pozorem i niby to nie spozstrzegając leżącego krzyżem, potykałem się na nim, szturchałem go nogą i potraçałem jak kamień. Tak był zatopiony w modlitwie, że zdawał się martwy; nie odpowiadał ani słowem, ani jękiem na uderzenia“.

Drugi szlachcic sąsiadujący z braćmi, ów Kostka, tak zeznaje:

„Lata minęły od śmierci Stanisława, cześć jego jako świętego już się rozpowszechniała po ziemi polskiej, gdy będąc raz w Jarosławiu, wstąpiłem do klasztoru. Ksieni darowała mi obrazek, przedstawiający mego błogosławionego towarzysza młodości, jeden z pierwszych, jakie były w obiegu. Spojrzałem na te rysy znajome

i załamem się łzami. Ksieni była przekonana, że płacę z rozrzewnienia nad wielką chwałą, jakiej się dorobił u Boga mój krewny, ale upokorzony pamięcią mych win, zaraz ją wyprowadziłem z błędu. „Nie z pociechy ja płacę, matko wielebna, ale z żalu! Ież to razy, ach ile razy deptałem po nim umyślnie, gdy rozciągniony krzyżem na ziemi, noce na modlitwie przepędza!”

Jakże się zachowywał Stanisław w tem prawdziwym i tak długim męczeństwie? Nie zważając wcale, czy się to bratu i nauczycielowi podoba, albo nie, powziął mocne postanowienie tak żyć jak czuł, że wołą Bożą jest aby żył. Nie-raz, gdy Paweł surowo łajał go, że się nie zachowuje jak na szlachcica przystało, jest prostakiem, odludkiem, gdy mu tłumaczył, że powinien być gładkim i uprzejmym, nie gardzić światem, by nawzajem nie doznawać pogardy, Stanisław dawał mu zawsze jedną, godną wiecznej pamięci, odpowiedź:

— Nie dla świata jestem stworzony, ale dla wieczności; dla wieczności chcę żyć, nie dla świata.

Wiedział, że ani brat, ani nauczyciel nie przyjmą nigdy tej jego zasady, ale na wszystkie ich wyrzuty i nagany miał tylko tę jedną odpowiedź.

Tak Paweł, jak Biliński dobrze czuli, że kłamią, zarzucając Stanisławowi lekceważenie

ich napomnień. Tym niepoczciwym wykrętem osłaniali swój wstręt do jego wzniosłych cnót. Postępując sami wręcz przeciwnie, musieli nienawidzić jego bogobożności. On zaś był im najskrupulatniej posłusznym we wszystkim, co tylko nie sprzeciwiało się zbawieniu duszy. Np. z rozkazu Bilińskiego nie wolno mu było wychodzić samemu do miasta, tylko zawsze ze służącym. To rozporządzenie bardzo było Stanisławowi niemiłe, wołałby był nie mieć świadka swych długich modłów w kościele, albo w częstych odwiedzinach klasztoru jezuitów; zawadzał mu ten służący. Jednak przyjął posłusznie rozkaz nauczyciela i stosował się do niego zawsze.

Miał także chęć wstrzymywać się od wszelkiego pożywienia wieczorem w przeddzień komunji św. I tego, jakoby ze względu na zdrowie, zabronił mu Biliński. Choć mu to było bardzo przykro, Stanisław zasiadał posłusznie do stołu i jadł wieczerzę.

Paweł rozkazał bratu chodzić na lekcje tańca. Widział Bóg, że wszystko inne byłby Stanisław chętniej czynił, niż te bezmyślne ćwiczenia próżności światowej; ale nie okazał tego po sobie i godził się z wolą brata. Chciał tem postępowaniem dać dowód, że będzie mu posłusznym we wszystkim, co tylko nie jest grzechem; a jeśli czasem obstaje przy swem zdaniu, to jedynie dlatego, by nie działać ze szkodą dla duszy albo przeciw głosowi sumienia. Tem cen-

niejsze były te ustępstwa, że Stanisław nie miał wcale obowiązku poddawać się woli brata, ani Paweł rozkazywać, będąc tylko o dwa lata starszym.

Łajany, poniewierany, powiedzieć można katowany przez Pawła, Stanisław nie tylko nie czuł do niego niechęci, ale nawet najmniejszego żalu. Owszem, okazywał mu przywiązanie na każdym kroku. Dawał się bić i deptać nogami, ani próbując się bronić; nie płakał, nie skarżył się przed nikim, nie groził, że napisze do ojca albo do matki o tych niesprawiedliwościach. A kochający rodzice na pewno byliby położyli kres prześladowaniu i jeszczeby surowo ukarali wyrodnego brata.

Skoro tylko burza przemijała, Stanisław jakby nigdy krzywdy nie był doznał, najmilej się zachowywał względem Pawła. Nie było posługi, którejby dlań z radością nie pełnił; na każdym kroku dawał dowody, że go szanuje jako starszego. Sprzątał mu sam w pokoju, porządkował jego rzeczy, suknie mu czyścił i buty, słowem, nie wstydził się najniższych posług, a wszystko co robił, spełniał dokładnie i starannie, nie jako płatny sługa to czyni, ale jak ktoś prawdziwie kochający.

Takie postępowanie musiało wkońcu wyrzeć pożądany skutek; Stanisław stosował do siebie rady ewangeliczne: dobrem za złe płacił, przysługą za obrazę, miłością za krzywdę.

Byłby Paweł chyba ze wszelkiej szlachetności obrany, gdyby nie uznał wreszcie, że ta miłość płynęła z pobudek nadprzyrodzonych. Przejrzał też wkońcu o tyle przynajmniej, że uspokajał się powoli, przestał dręczyć brata, i nie bronił mu żyć wedle swej woli i za głosem wewnętrznego natchnienia.

Miłość boża.

Młodziutkie serce, to pączek róży. Czasem wślizga się doń grzech, jak brudny robak i niszczy pączek jeszcze przed rozkwitem. Czasem rodzina albo ludzie, z którymi dziecko żyje, są zimni dla religji, niedbali w spełnieniu obowiązków duchowych; wtedy przychodzi mróz na biedne serduszko i ścina je lodem.

Nie tak było ze świętym Stanisławem. Rodziców miał pobożnych, a matka sama uczyła dziecko prawd wiary, tłumaczyła mu przykazania, on zaś wystrzegał się grzechu jak ognia. Dlatego też wczesnie płynęły w tę duszę przeczystą niezwykle, nadprzyrodzone dary; serce ożywione łaską, rozkwitało miłością Bożą. Od chwili gdy Stanisław przyszedł do używania rozumu i pojął, że Bóg jest jego Stwórcą i Ojcem, od tejże chwili przyrzekł Mu wiernie służyć, i być Mu dobrem dzieckiem. Rozpamiętywanie wszechmocy Boskiej, miłosierdzia Boskiego, modlitwa, były najmilszem zajęciem tego wybrańca łaski. Jeszcze w domu rodzicielskim bę-

dać, zagłębiał się w tych rozmyślaniach z takim przejęciem, że nic poza tem nie zwracało jego uwagi.

W Wiedniu więcej miał jeszcze sposobności do poufnego przebywania z Bogiem. Zdarzało się wielokrotnie, że klęcząc zatopiony w modlitwie tracił rachubę czasu, nie czuł, że go siły opuszczają, aż gdy upadał nawpół zemdlony, z musu przerywał rozmowę z Bogiem. Widzimy w tem wyraźny dowód, jak niebiańską radość sprawiała mu ta miłością pałająca modlitwa, kiedy wszystko inne przy niej niknęło. Nic też dziwnego, że takim weselem się ciesząc, nie tęsknił wcale do ziemskich rozrywek.

Nieraz po obiedzie zasiadał Paweł z Bilińskim i z kolegami do gry w kości lub w szachy, wtedy Stanisław korzystał, że nie zważano na niego i biegł na swoją najmiłszą rekreację. Tuż obok, o kilka kroków od domu, w kościele Dziewięciu Anielskich Chórów, miał ulubiony kącik. Tam klękał, rozpoczynał modlitwę, a niebawem świat przyrodzony znikał z przed jego oczu. Jaśniał anielską pięknnością, ogień wewnętrzny barwił mu lice różami, a łzy jak rosa perliste płynęły cicho po twarzy.

W niedziele i święta uroczyste przyjmował Komunię św.; codzień słuchał dwóch albo trzech mszy św., a idąc do szkoły i wracając do domu, wstępował zawsze do kościoła, pokłonić się Panu Jezusowi w Najśw. Sakramencie. Prosił Go

codzień o pomoc w nauce; czyż mogło tak być, by najlepszy Pan odmówił czegokolwiek swemu pokornemu małemu słudze? Stanisław był jednym z pierwszych uczniów w swej klasie.

Sowiciej jeszcze wynagrodził mu Bóg te codzienne odwiedziny Przenajśw. Sakramentu w bardzo ważnej chwili. W roku 1566 zachorował Stanisław ciężko; prawdopodobnie przyczyniło się do tego najwięcej okrutne znęcanie się nad nim Pawła. Lekarze nie umieli pomóc, stan chorego coraz się pogarszał, zbliżała się śmierć. Czuł to św. Stanisław i bezustannie zaklinał brata i nauczyciela, by mu sprowadzili księdza. Ci zaś wahali się ze względu na właściciela domu, protestanta. Godziny upływały, chory błagał napróżno. Tedy zaczął się modlić do świętej męczenniczki Barbary, o której czytał, że nie dopuści, by ten, co jej opieki wzywa, umarł bez świętych sakramentów. Zwrócił ku niej serce z najgorętszą prośbą. I wysłuchała go.

Od wieczora pogorszyło się tak gwałtownie, że koniec zdawał się niechybny. Nauczyciel czuwał przy łóżku chorego. Wtem około północy zjawiała się Stanisławowi św. Barbara, otoczona zastępem aniołów; promienisty cherubin niósł puszkę złotą. Ledwie go ujrzał chory, mimo śmiertelnego osłabienia ukląkł na łóżku i zawołał do nauczyciela:

— Oddaj cześć Panu Jezusowi w Najświętszym Sakramencie!.. Oto aniołowie i święta

Barbara przyszli do mnie, przynoszą mi Komunię! Po tych słowach skupił się w duchu, na twarzy odmalował się zachwyt błogi... Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł do serca mego... szeptały usta trzykrotnie. Przyjąwszy wiatyk, położył się spokojnie i odmawiał dziękczynienia po Komunii świętej.

Komnata, w której Bóg ten cud sprawił, istnieje do dziś dnia, przemieniona na kaplicę. W ołtarzu znajduje się obraz, przedstawiający owo zjawienie anielskie. W dniu św. Stanisława Kostki i przez całą oktawę odbywają się tam liczne msze św. a wierni przystępują do Komunii św.

Marja, druga matka.

Po tym pierwszym cudzie, o którym wam opowiedziałem, raczył Bóg ucieszyć Stanisława drugim zjawieniem. Sama święta Bogarodzica nawiedziła go w chorobie, gdy już był niemal konający.

Od dzieciństwa uwielbiał Ją i kochał całym sercem. Gdy miał wypracować do szkoły zadanie o dowolnym temacie, z a w s z e wybierał jakąś cnotę, albo jeden z przywilejów Królowej nieba. Rozczytywał się w książkach, opowiadających o Niej; gdzie znalazł napisane imię Marja, całował je ze czcią i miłością. Na marginesach swych książek i zeszytów pisał często: „O Marjo bądź mi łaskawą!“ Gdy w kościele jezuitów śpiewano po nieszpórach pieśń „Witaj

królowo, Matko miłosierdzia“, anielska jego twarzyczka płonęła zachwytem i radością. Zawiązało się w owym czasie w Wiedniu bractwo ku czci Matki Boskiej; Stanisław był najgorętszym jego członkiem. W każdym dniu życia kochał Marię, przemyślał jakby ją ucieszyć, do Niej się zwracał z ufnością, jak do matki. Dlatego też ta umiłowana Matka zeszła z Nieba na ziemię, by odwiedzić swe chore dziecko.

Trzymając na rękach maleńkiego Jezusa, przystąpiła do łóżka łaskawa i dobrotliwa i złożyła na chwilę swe Boskie Dzieciątko w objęciach Stanisława, aby je mógł uściskać i popieścić. Wtedy też powiedziała mu, że życzy sobie aby wstąpił do zakonu Jezusowego; a odchodząc udarowała go zdrowiem.

W parę dni później mógł już o własnych siłach iść do kościoła, dziękować za tyle łask Bogu i Najśw. Pannie, dobrej swojej matce.

Ta dobra Matka dopomogła mu zwalczyć trudności, których wiele stawało na przeszkodzie jego powołaniu. Gdy wreszcie przywdział w Rzymie suknię zakonną, zdało mu się, że nie z rąk ludzkich, ale od samej Matki swej i Pani ją otrzymał.

Rozmawiał jak mógł najczęściej z innymi nowicjuszami o Marii, sławił Jej znaczenie w niebie, rozważał Jej dostojeństwo, wyliczał z nieopisanym zachwytem Jej cnoty, podziwiał skarbiec Jej zasług i władzę niemal wszechmocną, jaką ją Bóg obdarzył. W mowie swej używał

tak zuchwałych, przedziwnie dobitnych zwrotów, że musiano rozumieć, że natchnienie święte przezeń mówi. A jeszcze żałował nieraz, że nie ma zdolności wyrazić się tak mocno, jakby powinien. Wyszukiwał nowe okrzyki hołdu, nowe tytuły dla Najśw. Panny, nieznane porównania dla Jej zasług i godności, a z każdego słowa tryaskała miłość strumieniem. Opowiadał towarzyszom łaski świadczone przez Marję, wydarzenia cudowne, Jej ratunek, obronę, opiekę. Przed rozpoczęciem pracy biegł zawsze do którego z kościołów, (a większość ich w Rzymie wzniesli pobożni fundatorowie pod wezwaniem Bożej Matki) i prosił Ją o błogosławieństwo. Wystarczyło spojrzeć nań wtedy, by wiedzieć, z kim jego serce rozmawia. Przy odmawianiu różańca albo godzinek, taka jasność biła z jego twarzy, jakby widział Marję żywą przed sobą, słyszał Jej głos i odpowiadał na pytania.

Pewnego razu poszedł Stanisław w dzień święta M. B. Śnieżnej z ojcem Emanuelem do kościoła pod tem samym wezwaniem. Ciekawy, jak mu też odpowie, spytał go ksiądz:

— Czy bardzo kochasz Marję?

Stanisław spojrział nań zdziwiony i odpowiedział:

— Czy Ją bardzo kocham? Wszakci to moja Matka!

Cały tą dziecięcą miłością przejęty, modlił się do Matki o wszystko czego pragnął, z nie-

zachwianą ufnością, tak był głęboko przekonany, że prośbom jego nigdy się nie oprze, i niczego mu nie odmówi. Inni nowicjusze polecali się jego wstawiennictwu, przez niego stali swe prośby. Gdy się który żalił, że nie otrzymuje czegoś, o co się modli, mawiali:

— Powiedzże Stanisławowi, niech on zakolała do serca swej ukochanej Matki; Ona uczyni wszystko dla swego benjaminka.

Istotnie, czyniła dlań wszystko. Wysłuchiwała i ostatnią prośbę ukochanego dziecka: chciał umrzeć w dzień Jej Wniebowzięcia, zesłała aniołów po jego duszę w dniu 15 sierpnia 1568.

Miłość braterska mocniejsza niż śmierć.

Jakież były dalsze losy Pawła, prześladowcy swego świętego brata?

Niepodobną pomyśleć, by Stanisław, kochając tak serdecznie brata za życia, zapomniał o nim w niebie. Pamiętał też i kochał go poza grobem, wstawiał się za nim i za swym nauczycielem u Boga póty, aż im wyprosił zupełną odmianę i poprawę.

Paweł doczekał nawet wielkiego szczęścia, że brata jego zaliczył Kościół w poczet błogosławionych. Dzień śmierci Stanisława stał się dniem obfitych łask dla świata wiernych. Obraz jego wzniesiony na ołtarzu doznawał czci powszechnej, a złote i srebrne wota dziękczynne

świadczyły, jak przemożnym był opiekunem tych, co go wzywali. To wszystko widziały oczy Pawła.

Nie upłynęły ani dwa lata od czasu, gdy w Wiedniu razem mieszkali gdy po raz ostatni rękę nań podnosił, a już rozbiegał się po świecie żywot świętego w dwóch językach napisany. Książeczka ta dostała się w ręce Pawła; wyczytał w niej, jak szczególnie doskonałym sługą Bożym był ów chłopczyna, którego gnębił. Wyczytał i swoje imię kilkakrotnie na kartach tej książki, jako imię tego, co się głównie przyczynił do wzniesienia ku niebieskim wyżynom św. Stanisława. Im dokładniej poznawał doskonałość brata, tem jaskrawiej stawało mu w pamięci własne niegodziwe postępowanie. Obwinał się, czuł się potępienia godnym, brzydził się sobą. Gdy mu kto mówił, — a powtarzano mu to często, że jest szczęśliwszym od innych Polaków, bo wielki święty był i jego bratem, że go ludzie szanują i poważają, że mu zazdroszczą tego szczęścia, nie śmiał nic odpowiedzieć, tak bardzo się czuł zawstydzony; bolały go te mowy, a nawet obrażały.

Ojcowie jezuici, żądni dowiedzieć się najdrobniejszych szczegółów o życiu i cnotach Stanisława, wypytywali go wielekroć i prosili, by im wszystko opowiadał, co tylko pamięta; obruszył się pewnego razu i rzekł zniecierpliwiony:

— Moi ojcowie, nie macie to już innych świętych prócz niego! — Lecz w tejsze chwili podniósł oczy ku niebu i zawołał z płaczem:

— O święty, módl się za mną!

Od chwili swego nawrócenia, aż do śmierci, przeproszał codziennie Boga za swe okrutne postępowanie i błagał Stanisława o przebaczenie. Jeszcze na śmiertelnem łożu wylewał gorzkie łzy żalu za wszystkie uderzenia, deptania nogami i ciężkie zelżywości, jakich się tak bardzo często dopuszczał na swym niewinnym bracie.

Że serdecznie żałował swych grzechów i zmywał je nie tylko łzami, ale nawet krwią własną, wyszło najaw mimo jego wiedzy, za bożem zrządzeniem.

Okolo roku 1603 pojechał w odwiedziny do państwa Łaskich. Po wieczerzy odszedł do gościnnego pokoju, gdzie mu przysposobiono nocleg. Rozejrzał się po izbie, a widząc, że jest sam, rozebrał się i ukląkł do pacierza. Nie zauważył za piecem łóżeczka, w którym leżał Staś, synek gospodarstwa. Paweł spędził większą część nocy na modlitwie i rozmyślaniu, a zanim się spać położył, dobył z podręcznego kufierka dyscyplinę i biczował się do krwi, powtarzając z płaczem:

— O mój święty bracie, mój święty bracie, módl się za mną grzesznym! Przebacz mi te okrucieństwa, te razy, których ci nie szczędziłem! Błagam cię, odpuść mi!

Dziecko widziało i słyszało wszystko; z jego ust dowiedziano się, jak ciężko Paweł pokutował za swoje winy.

W tymże duchu pokuty żył dalej, używał majątku na dobre uczynki i pobożne fundacje, a doszedłszy do lat sześćdziesięciu, prosił o przyjęcie do zakonu jezuitów. Lecz chociaż pozwolenie otrzymał, nie mógł zeń korzystać. Bóg zesłał mu śmierć właśnie w dniu, w którym według wyroku papieża Klemensa X świat katolicki obchodzi uroczystość św. Stanisława Kostki.

Tak więc i tu na ziemi i poza grobem w niebie Stanisław płacił dobrem za złe, miłością za prześladowanie.

POWRÓT DO OJCZYZNY.

Ile smutków, bólów, nieszczęść znosi biedne serce ludzkie tu na ziemi! Jednem z wielkich cierpień jest tęsknota za ojczyzną. Nie tylko dorosłych ona dręczy; zdarza się i dziecku żyć zdala od matki, ojca, zdala od rodzeństwa. Marzy ono o dalekich stronach, gdzie najdrożsi mieszkają; nieraz biegnie myślą aż za góry niebotyczne, przelatuje ponad niezmiernym oceanem; ach, gdyby miało skrzydła, leciałoby naprawdę, a tak serce swe i tęsknotę szle do ojczyzny.

I my chrześcijanie, jakkolwiek mamy tu na ziemi kraj rodzinny, w którym mieszkamy, jesteśmy jednakże jakoby wygnańcami. Niebo, to nasza ojczyzna prawdziwa. Króluje tam Wszemmocny Pan i Ojciec nasz najlepszy; — tam Marja Matka nasza, tam święci, bracia i siostry nasze! Ku tej krainie wiecznego wesela posyłaj często twe myśli. Wyobrażaj sobie, jak dobrze, cudnie, błogo być musi u tego Ojca i u tej Matki. Wyobrażaj sobie szczęście świętych, co niegdyś żyli jak ty na ziemi, a dziś, odrzuciwszy precz wszelkie troski, cieszą się radością nieopisaną, — bez końca. Miej nadzieję, że w tym rajku rozkoszy i ty

kiedyś zamieszkasz; niech ci ona będzie równie miłą, jak pilnemu uczniowi myśl o bliskich wakacjach, jak dziecku stęsknionemu za rodzicami myśl, że do nich powraca.

Ale i o tem nie zapominaj, że to niebo radości tylko wtedy może być twym udziałem, jeżeli — żyć będziesz, jako żyli święci.

Pewnego razu, Pan Jezus wyszedłszy na wzgórze nauczał zgromadzone u stóp Swych tysiące ludu; powiedział wtedy wyraźnie, kto ma prawo zwać się błogosławionym. Wyliczył osiem cnót, które pełniąc, dostąpimy nagrody wiekui-
stej. Jeżeli więc chcemy znaleźć się kiedyś w niebie, musimy na nie zasłużyć, bo niebo jest mieszkaniem tylko świętych.

Opowiem wam parę przykładów o tych cnotach, co nas czynią godnymi nieba. Bogobojne życie, to właśnie prosta droga, którą idąc wytrwale, święci dostali się do ukochanej ojczyzny. Chciej tylko szczerze postępować ich śladami, a i ty osiągniesz cel upragniony.

1. Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie.

Ubogi w duchu, to znaczy pokorny. Cokolwiek dobrego czyni, przypisuje to łasce Boga, a nie własnej zasłudze. Mało siebie ceni, nie szuka pochwał, ani uznania; znosi cierpliwie lekceważenie, nawet wzgardę, pomny, że Syn Boży,

Zbawiciel nasz, cierpiał w milczeniu najstraszniejsze zelżywości.

Takim pokornego ducha świętym był Franciszek Regis. Pochodził z wysokiego rodu, odznaczał się byстрыm rozumem i wielką nauką, a jednak, gdy go miano wyświęcić na księdza, błagał przełożonych, by nie czynili tego; aż nadto wielkim dlań zaszczytem będzie posługiwać kapłanom, do niczego innego nie jest zdolnym. Ale starsi w zakonie lepiej znali jego wartość, i biskup udzielił mu sakramentu kapłaństwa. Miewał często kazania, ale nie krasomówcze popisy, tylko nauki pełne prostoty dla najuboższej ludności. Wszelkie pochwały były mu przykre, słuchał ich rumieniąc się ze wstydu. Gdy zaś czynił mu kto wyrzuty, albo przełożony strofował ostro, nie tłumaczył się, choć nagana była niesłuszna, ale milczał pokornie.

Nieraz rzucano nań oszczerstwa, ani próbował się bronić; a gdy raz przyjaciel chciał się ująć za nim, prosił go usilnie, by tego zaniechał.

— Nadarza mi się taka piękna sposobność cierpieć niesprawiedliwie, a ty mię chcesz pozbawić zasługi — mówił do przyjaciela. — Pan nasz Jezus Chrystus milczał, gdy Go spotwarzano.

Zdarzało mu się nieraz, że nosił słomę na posłanie dla ubogich chorych, co wywoływało drwiny przechodniów. Ktoś zwrócił mu uwagę, że niepotrzebnie się naraża na pośmiewisko.

— Tem lepiej — odparł święty — mam podwójny zarobek u Boga: służę bliźnim i znoszę wzgardę dla miłości Pana Jezusa.

2. Błogosławieni cisi, albowiem oni posiędą ziemię.

Słodką cnotą łagodności odznaczał się święty Frydolin. Żył on w Irlandji, około roku 500 po narodz. Chr. Z ojczyzny swej pojechał do Niemiec, głosić poganom boską prawdę. W tej apostołskiej podróży dostał się na wyspę Säckingen wśród Renu. Była to miejscowość bezludna i służyła za pastwisko bydła okolicznym chłopom. Zdawało się Frydolinowi, że właśnie tam dobrze będzie wybudować kościół, który stojąc wpośród kilku osad, byłby dla wszystkich zarówno blisko. Gdy tak raz przechadzał się po dolinie, szukając dogodnego miejsca na dom boży, spostrzegli go pasterze i posadzili, że się zakrada po ich krowy. Nie dali mu się wytłumaczyć, tylko go obili kijami i wypędzili.

Nie odstraszyło to Frydolina; udał się do księcia panującego w tym kraju i otrzymawszy odeń pozwolenie, wrócił znowu w te same strony. Bogaty wieśniak przyjął go do siebie na mieszkanie. Ale żona jego, nieużyta i kłótliva, nierada była gościowi; chcąc się go pozbyć, dokuczała mu jak mogła, a codzień powtarzała, że niema w domu miejsca i nie stać jej na żywienie obcych przybyszów. Frydolin znosił z pokorą przykre słowa, nie skarżył się mężowi, choć

wiedział, że tenby stanął w jego obronie. Jednak właśnie zdarzyło się, że gospodarz, wracając raz do domu z pola, posłyszał grubiaństwa swej żony i z gniewem kazał jej milczeć. Sam zaś, tem uprzejmiej zachowywał się względem świątobliwego gościa; nawet dla okazania mu szacunku, zaprosił go na chrzestnego ojca swego syna. To rozgoryczyło jeszcze bardziej jego żonę; wstyd jej było ubogiego przybłądę mieć za kumotra. Ale cichy spokój, niezachwiana słodycz Frydolina odniosły wreszcie zwycięstwo i nad oporną duszą; otwarły się oczy złośliwej kobiety, poznała, że świętego ma w swym domu. Odtąd zmieniła się zupełnie.

Frydolin wprowadził swój zamiar w wykonanie, wznosił kościół na wyspie Säckingem i zbudował obok niego klasztor. Z tego klasztoru padły pierwsze promienie wiary chrześcijańskiej na Szwabję, Czarny Las, część badeńskiego kraju i Wirtembergji. A niewiasta, co tak zlorzeczyła ojcu chrzestnemu swego dziecka, oddała później Bogu tego samego syna do klasztoru na wyspie Säckingem.

Spełniły się słowa błogosławieństwa Chrystusowego: cichy i łagodny Frydolin wziął w duchowe posiadanie wielkie obszary ziemi.

3. Błogosławieni smutni, albowiem oni będą pocieszeni.

W tem błogosławieństwie Zbawiciel ma na myśli skruszonych grzeszników, oplakujących

swe winy. Przynęka im spokój sumienia. Takim smutkiem ogarnone było serce św. Augustyna. W młodości grzeszył ciężko, i długo dobrowolnie Boga obrażał. Ale matkę miał świętą; Monika modliła się, płakała, żebrała poty łaski dla syna, aż ją Bóg wysłuchał i zesłał Augustynowi poznanie win. Sam święty opowiadał, jakiej niezmierniej radości doznał, nawróciwszy się do cnoty. Tak pisze:

„O Panie, zerwałeś moje okowy, chwalić Cię będę sercem i ustami; powtarzać będę: O Panie, któż Ci wyrówna? Kto ja jestem, a ktoś Ty jest? Czyny moje były złe, złe były mowy moje, wola moja! Aleś Ty Bóg dobrotliwy i miłosierny; pojrzałeś na grób, jaki sobie zgotowałem, i zabrałeś z serca mego przepaść potępienia. Jakże mi błogo dzięki Tobie wyrzec się grzesznych rozkoszy! Dawniej straszno mi było utracić je, dziś wesele się, że je odrzucił. Tyś to je wziął ode mnie, a wzamian dałeś mi Siebie samego ku najśłodszemu rozradowaniu. Nie mogę się nasycić rozpamiętywaniem Twej cudownej dobroci ku zbawieniu człowieka. Śpiewy kościelne rozrzuwają serce moje, płaczę z radości i dziękczynienia.

4. Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni.

Sprawiedliwości łaknie ten, co szczerze chce życiem swem przypodobać się Bogu. Przykład

takiej szczerej chęci daje nam błogosławiona Katarzyna Thomas. Urodzona w r. 1533, nie miała jeszcze lat czterech, gdy straciła rodziców, i krewni wzięli ją na wychowanie. Pobożna matka uczyła swe dzieciątko zawczasu kochać Boga; nowi zaś opiekunowie zupełnie inaczej z nią postępowali. Wyśmiewano jej pobożność, przeszkadzano w modlitwie, a nieraz i karano za próżną stratę czasu, chciano ją oderwać od Boga wszelkimi sposobami, ale daremnie. Gdy ciotka nie dawała jej chwili wolnej, ona przy każdej robocie modliła się cichutko, albo rozmyślała o wiecznych prawdach. Prosiła świętych o pomoc, aby jej praca i modlitwa były zawsze Bogu na chwałę.

Tęskniła za poznaniem prawdy, zbliżeniem się przez cnotę do Najwyższego dobra, i a k n ę ł a sprawiedliwości. Tego jej też Bóg hojnie użyczył. Lecz zdarzały się dni i tygodnie, w których Bóg dopuszczał na nią zwątpienia i trwogę. Zdawało jej się, że się sprzeniewierzyła Panu Jezusowi, że jest niewdzięczną, że zaniedbuje się w służbie Bożej. Takie myśli niepokoiły ją bardzo. Rada była pomówić z kimś rozumnym a dobrym, a nikogo takiego nie знаła. Łaska boska dopomogła jej w tem: spotkała pewnego pobożnego pustelnika, zwierzyła mu się ze swych dręczących myśli, a on ją pouczył, uspokoił, pogoda wróciła do jej serca.

Ale życie wśród ludzi jakkolwiek Bogu oddane, nie wystarczało jej; powzięła postanowienie służenia Mu w zakonie. Lecz ciotka ani słyszeć o tem nie chciała, owszem, robiła wszystko, co mogła, aby ją odwieść od tego zamiaru. Chcąc rozbudzić jej próżność sprawiała jej piękne sukienki, wodziła ją po zabawach; lecz jakkolwiek te pokusy są najniebezpieczniejsze w młodym wieku, Katarzyna zwyciężyła je, a Bóg spełnił jej gorące pragnienie, sprawił, że krewni ulegli nareszcie i pozwolono jej wstąpić do klasztoru. Miała wtedy lat 16. Tam świeciła przykładem cnót, i umarła jak święta.

5. Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

Tysiąc lat temu, żył człowiek świątobliwy imieniem Odilo. Był przełożonym klasztoru, a w żywocie jego zapisane jest, jak bezgranicznie był miłosiernym. Autor tego żywotu powiada: Słепym służył za przewodnika, głodnych karmił, zrozpaczonym dodawał otuchy, smutnych pocieszał; każdy jego krok był dobrem dla bliźnich, w miłosierdziu znajdował najwyższą radość. Przyjaciele wyrzucali mu, że przesadza i niegodnych darzy swą litością. Odpowiadał im nieraz:

— Wolę być nad miarę miłosiernym i spodziewać się miłosiernego sądu bożego po śmierci, aniżeli za twarde, nieużyte serce być potępionym bez litości.

Nieraz oddawał ubogim nawet najniezbędniej potrzebne rzeczy, nie dbając o jutro, a zawsze zsyłał Bóg dobrych ludzi, którzy znów jego i klasztor wspomagali hojną jałmużną. Miłosierny, znajdował miłosierdzie.

6. Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają.

Czystem jest serce, które brzydzi się złem, unika wszelkiej zmazy i pracuje nad tem usilnie, by zawsze być wolnem od grzechu. Czystego serca byli wszyscy ci święci, o których wam w tej książeczce opowiadałem. Dlatego teraz mieszkają w niebie i oglądają Boga twarzą w twarz.

7. Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni będą nazwani synami bożymi.

Takiem dzieckiem bożem była Izabella, królowa portugalska. Mąż jej unosił się często złością na urzędników swego domu, albo na innych dostojników; skoro tylko wiadomem było królowej, że gniew króla jest niesłuszny, natychmiast biegła doń, i póty prosiła, uspokajała, aż go ułagodziła zupełnie. Tak samo postępowała, widząc niesnaski między swymi poddanymi. Wszędzie była aniołem pokoju. Nieraz kłótnie i wyrządzone szkody dochodziły do jej wiadomości; jeżeli zależało na pieniężnem odszkodowaniu, płaciła je sama, byle przywrócić spokój i zgodę.



ODKUPICIEL ŚWIATA.

(Kwiaty bożego ogrodu.)

FOTODUKATURA DZIAŁOŚCI I NIEZŁOŻENIA
W. WYDZIAŁU W POZNAŃU

Pewnego razu doszło do rozdwojenia między królem a jego bratem; spierali się o majątki rodzinne, a każdy uważał siebie za prawego właściciela. Byłoby doszło do krwawego końca, gdyby nie Izabella. Darowała bratu męża własne swe dobra wzamian za tamte, i odrazu doprowadziła do zgody.

Innym razem zdarzyło się znów, że jej rodzony brat poróżnił się z królem Kastylii i wypowiedzieli sobie wojnę. Użyła całego swego wpływu, by przyczynę sporu spokojnie wzajem rozważono, i znowu zażegnała nienawiść, i obaj nieprzyjaciele zawarli przymierze.

Cieźszy cios padł na nią, gdy syn jej własny podniósł broń przeciw rodzonemu ojcu. Dwa wojska wyszły w pole, bitwa zdawała się nieuniknioną. Ale nieustraszona święta królowa dosiadła konia, i choć ją ze wszech stron mogły trafić kule, pojechała najpierw do obozu męża, potem do obozu syna, błagała, zaklinała obu póty, aż zmiękczyła ich serca. Syn poddał się ojcu i ucałował jego rękę, a ojciec przebaczył mu i pobłogosławił. Tak, dzięki wdaniu się królowej, nie przyszło do krwi rozlewu. Później, gdy ten syn jej wstąpił na tron portugalski, groziła mu znowu wojna. I tu królowa chciała pogodzić wrogów, lecz uciążliwa podróż do kraju nieprzyjacielskiego przyprawiła ją o śmierć.

8. Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawie-

dliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie.

Na czele cierpiących prześladowanie dla sprawiedliwości stoi Zbawiciel nasz Jezus Chrystus. Jako Bóg, był, jest, i będzie Panem nieba; lecz przez krzywdy i męczarnie poniesione niewinnie, dostąpił jako człowiek najwyższego królowania. U stóp góry Oliwnej poczęła się Jego męka, a na szczycie Golgoty koniec męki, początek wspaniałości wiecznej.

Tak w ślady Mistrza szedł pierwszy męczennik Szczepan, tak cierpieli wszyscy święci, co ponieśli śmierć za wiarę. O wielu z nich czytaliście w tej książce, kochane dzieci, możecie więc teraz rozumieć, jak nieopisanie wielką jest nagroda, jeżeli dla niej dają się ludzie katować i zabijać. Znosili długie i okrutne męczarnie, o których czytać nawet nie mogliście bez przerażenia.

Chrystus Pan powiedział: „Królestwo niebieskie gwałt cierpi i gwałtownicy zdobywają je“.

Czy które z was zadawało już sobie gwałt, czyli przymus, aby być posłusznym, pobożnym, łagodnym? Aby zachować niewinność, być miłosiernym, cierpliwym?

Jeżeli z łaską bożą dostaniemy się do Nieba, to tylko za ten przymus w pełnieniu uczynków dobrych, a wystrzeganiu się grzechu. Zato

przyjmie nas Pan Jezus pomiędzy Swych Świętych do Nieba.

Ty, który czytasz te słowa, rozważ, pomyśl, jak ci się zdaje, będziesz ty kiedy świętym? Niema pośredniej drogi: albo świętym — albo potępionym.

Ach te dwa słowa powinny być wszystkim dla nas! Zastanów się dobrze.

Za przykładem tych młodziutkich świętych, o których czytałeś, żyj poczciwie, słuchaj starszych, ucz się pilnie, a przedewszystkiem uciekaj od grzechu! Ach, uciekaj od grzechu! Módl się do najmilszego Dzieciątka Jezus, do Jego Matki przeczystej, aby ci przychodzili z pomocą. Zbawiciel oczekuje tego, byśmy go prosili. Przecie nato dał się ukrzyżować, aby nam niebo otworzył.

Pomyśl dziecko drogie, za każdy najmniejszy dobry uczynek, za każdą zwyciężoną pokusę, za każdą przykrość zniesioną cierpliwie, jeżeli były z miłości dla Boga, otrzymasz sowitą nagrodę. Pomyśl nad tem i gromadź skarby na żywot wieczny!

SPIS RZECZY.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!	1
1. Najświętsza Panna Marja	16
2. Anioł Stróż	24
3. Święty Alojzy Gonzaga	30
4. Bartłomieja Capitanio	40
5. Cyryl, mały męczennik	50
6. Błogosławiona Marja Lataste	56
7. Święty Marcin	63
8. Święta Róża z Limy	76
9. Mali męczennicy japońscy	88
10. Święta Teresa	102
11. Święty Kazimierz	112
12. Błogosławiona Germana Cousin	117
13. Święty Franciszek Salezy	128
14. Święta Elżbieta Turyngijska	137
15. Święty Paschalis Baylon	147
16. Święta Agnieszka	159
17. Święty Jan Berchmans	168
18. Święta Lidwina	181
19. Święty Bernardyn Sienneński	194
20. Święty Majoryk i inni mali męczennicy	200
21. Błogosławiona Marja Teresa, arcyksiężniczka au- strjacka	209
22. Święty Stanisław Kostka	215
Powrót do ojczyzny	236



